

MIESIĘCZNIK
SPOŁECZNO-
KULTURALNY

SLASK

CENA 7 ZŁ (w tym 5% VAT)

ISSN: 1425-3917 NR INDEKSU 33328X

www.slaskgtl.pl

Nr 8 (285) • ROK XXV • SIERPIEŃ 2019



SIERPNIOWE
ROCZNICE

ISSN 1425-3917



9 771425 391707



Centralne obchody Święta Wojska Polskiego i 100. rocznicy wybuchu Powstań Śląskich w Katowicach (fot. Astashow Studio/SUW)

Nr 8 (285). Rok XXV. SIERPIEŃ 2019 r.

www.slaskgtl.pl

WYDAWCA
GÓRNOŚLĄSKIE TOWARZYSTWO LITERACKIE
W KATOWICACH

WSPÓŁWYDAWCA

TADEUSZ SIERNY
Redaktor naczelnyANDRZEJ JARCZEWSKI
Zastępca naczelnego redaktoraMARIAN KISIEL
Zastępca naczelnego redaktora

TOMASZ BIENEK Sekretarz redakcji

MARIA KORUSIEWICZ
Kultura, literatura, sztuka

LAURA RYNDAK Korekta

Stali współpracownicy:

EWA BARTOS,
MAGDALENA DZIADEK,
MARIAN G. GERLICH,
RYSZARD JASNORZEWSKI,
PAWEŁ MAJERSKI,
WOJCIECH LIPOWSKI,
JULIA MONTEWSKA,
PIOTR GRELLA-MOŻEJKO,
WIEŚŁAWA KONOPELSKA,
JAN MIODEK,
KATARZYNA NIESPOREK,
JERZY PASZEK,
HENRYK SZCZEPAŃSKI,
JOANNA WAROŃSKAADRES REDAKCJI:
40-036 Katowice, ul. J. Ligonia 7
e-mail: redakcja.slask@onet.plDTP: Tomasz Kowalski
e-mail: tomek1959@tlen.plDruk: Zakład Poligraficzny Moś i Łuczak Sp.j.
ul. Piwna 1, 61-065 Poznań tel. 61 633 71 65Materiałów nie zamówionych nie zwracamy.
Redakcja zastrzega sobie prawo skrótów, poprawek
i zmian tytułów w tekstach przyjętych do druku oraz
skracanie korespondencji.Wydawca nie przewiduje honorariów
za publikowane materiały prasowe.**Warunki prenumeraty:** poprzez Oddziały i Delegatury „RUCHU” – na terenie całego kraju. Bezpośrednio – w Wydawnictwie Naukowym „Śląsk” 40-036 Katowice, ul. Ligonia 7, p. 120. Wpłaty należy dokonywać na konto:GTL – redakcja miesięcznika „Śląsk”
BGŻ BNP Paribas o/Katowice
08 2030 0045 1110 0000 0407 9490

Prenumerata roczna – 84 zł, półroczna – 42 zł, kwartalna – 21 zł. Pismo w prenumeracie jest dostarczane pod wskazany adres bez dodatkowych opłat.

Prenumerata zagraniczna: poprzez Dział RUCH SA Infolinia 0800 120 029. Tel. +48 022 532-87-31
www.ruch.com.plCena egzemplarza – 7 zł (w tym 5% VAT)
ISSN: 1425-3917 Nr indeksu: 33328XEgzemplarze archiwalne można zamówić
pod adresem:
handel@slaskwn.com.pl; tel. 32 258-07-56Czasopismo
„Śląsk. Miesięcznik społeczno-kulturalny”
jest dostępne w wersji elektronicznej
w ŚLĄSKIEJ BIBLIOTECE CYFROWEJ

W NUMERZE

PUBLICYSTYKA

2 *Tadeusz Sierny* OD REDAKTORA4 *Zygmunt Woźniczka* CUD NAD ODRĄ - CZYLI EWENEMENT POWSTAŃ ŚLĄSKICH (1919-1921)8 *Zbigniew Kapala* POWSTAŃCY ŚLĄSCY W POWSTANIU WARSZAWSKIM14 *Piotr Skowronek* KOBIETY RODU LIGONIOW19 *Henryk Szczepański* 100 LAT ŚLĄSKIEJ INSUREKCJI CZ. II23 NA ZAWSZE *Marian Grzegorz Gerlich* OPOWIEŚĆ O 20 SIERPNIA 1939 ROKU, CZYLI RODZINNY PRZEKAZ SPRZED 80 LAT26 HISTORIE PACHNĄCE BETONEM *Dariusz Pietrucha* SCHRON „SOWINIEC” – NAGRODZONY TRUD31 *Tomasz Biemek* BITWA PRZED WOJNĄ40 *Marian Kisiel* PORTRETY HUMANISTÓW PROFESOR ZBIGNIEW JERZY NOWAK44 *Jerzy Paszek* O STYLU KRYTYKA JERZEGO KWIATKOWSKIEGO48 *Lukasz Józef Hubacz* POWSTAŃCZE MANIERKI NA OBSZARZE PLEBISCYTOWYM PODCZAS ŚLĄSKICH53 ŚLĄSKIE TAJEMNICE *Julia Montewska* PAŁAC W WOJCIECHOWIE WIELKIM54 *Maciej Woźniak* „DZIENNIKI” SŁAWOMIRA MROŹKA. KREACJA CZY AUTOREFLEKSJA?58 PO-GWARKI PROFESORA *Jerzy Paszek* WSPOMNIENIA ŻONY MANDELSZTAMA74 *Agnieszka Zielińska* OSIEDLA I KOLONIE PATRONACKIE NA ŚLĄSKU I W ZAGŁĘBIU76 *Dorota Rak* TEATRALNE STULECIA GÓRNEGO ŚLĄSKA ROZMOWA Z PROF. DR HAB. ANDRZEJEM LINERTEM80 BIAŁE KRUKI *Jan Malicki* JASNOGÓRSKIE KSIĘGI PĄTNICZE86 *Radosław Kobierski* CIAŁO, HISTORIA, TOŻSAMOŚĆ

PLASTYKA, MALARSTWO, FOTOGRAFIA

68 *Julia Kempa* MALARSTWO MIĘDZY JAWĄ A SNEM

69 GALERIA: JULIA KEMPA – MALARSTWO

POEZJA I PROZA

3 WIERSZ NA OTWARCIE *Emanuel Imiela* POWSTAŃCY NAPRZÓD11 *Linda Nemeč Foster* KRAJE, KTÓRE SIĘ O MNIE UPOMINAJĄ12 *Linda Nemeč Foster* WIERSZE38 *Janina Barbara Sokolowska* WIERSZE46 *Marian Kisiel* NA BRZEGU MORZA

FELIETONY

35 MIĘDZY NUTAMI. *Magdalena Dziadek* LEON KUBICA (1903-1943)36 MIĘDZY CISZĄ A HAŁASEM *Marian Grzegorz Gerlich* SIERPNIOWE ROCZNICE I ICH ŚWIĘTOWANIE37 ŚLĄSKA OJCZYZNA POLSZCZYŻNA. *Jan Miodek* W PODLESZCZYŃSKICH WŁOSZAKOWICACH O... WODZISŁAWIU ŚLĄSKIM73 JĘZYK W STRUNACH *Piotr Grella-Możejko* NIEZWYKŁY ZWYKŁY CZŁOWIEK

KSIĄŻKI

61 *Marian Kisiel* STARSZY BRAT62 *Gawel Janik* PRZYJEMNOŚĆ CHOROBY64 *Marcin Halaś* WSZYŚTKIE STRONY NOWARY65 *Andrzej Juchniewicz* ŻYCIE W ENIGMIE66 *Karolina Wycislik* DZIECI I RYBY GŁOSU NIE MAJĄ

67 KSIĄŻKI NADEŚLANE

NOTATNIK KULTURALNY

82 CZĘSTOCHOWA, KATOWICE

Na okładce:

Krzyż na Śląskiej Wstędze Waleczności i Zasługi I klasy o wymiarach 43mm x 43mm, wykonany na zamówienie Górnośląskiej Komisji Odznaczeń w Katowicach przy Zarządzie Głównym Związku Powstańców Śląskich w Katowicach w firmie jubilersko-grawerskiej Fryderyka Tabaka, która mieścił się w Katowicach przy ul. 3-go Maja 29. Bity w brązie, srebrzony.

Od Redaktora!

Prawo do zachowania i kultywowania pamięci o przeszłości jest znakiem wolności jaką cieszy się społeczeństwo; wolność bez pamięci przeszłych, minionych zdarzeń jest jedynie trwaniem bez własnej tożsamości i historii skrywającej wartości spajające narody.

Spory o historię, a szczególnie o interpretację dziejów, znaczenie losów bohaterów minionych epok – to w istocie dyskurs o kierunkach i sensie rozwoju współczesnych pokoleń. Udokumentowane fakty historyczne nie muszą podlegać ciągłej weryfikacji, ale dyskusje o ich konsekwencjach i znaczeniu w przyszłości są codzienną płaszczyzną polemik publicystów, naukowców, twórców, polityków, pedagogów. Wszystkich tych osób, które mają możliwość lub obowiązek kształtowania naszej państwowej, narodowej, społecznej świadomości.

Taki zróżnicowany dialog o przeszłości zazwyczaj wzbogaca kulturę, jest także pozytywnym impulsem do promowania zmian cywilizacyjnych. Może być i także często bywa obszarem walki ideologicznej, polem konfrontacji politycznej.

Lecz niepamięć, zapominanie o swoich antenatach — tych chwalebnych i tych mrocznych — szczególnie, w przypadku narodów małych i zdanych na wpływy silniejszych sąsiadów — prowadzi do nieuchronnej dezintegracji tych społeczności.

Mity i legendy oraz jednoczące społeczności fakty historyczne rugowane ze wspólnej pamięci i nie zastępowane innymi, alternatywnymi, powszechnie akceptowanymi z równą -poprzednim przekazom- siłą integracyjną, czynią owe społeczności podatnymi na inercyjne, nie kreatywne trwanie, kontynuowa-

nie swarów i petryfikowanie ról społecznych zupełnie nie przystających do wymogów współczesności.

Przykładów takich sytuacji w historii naszego społeczeństwa oraz narodów ościennych można przywołać bardzo wiele.

Piękny, letni miesiąc sierpień, pozornie skłaniający do nieco leniwej wakacyjnej refleksji wypełniony jest jednak wieloma koniecznymi do pamiętania i przypominania faktami stanowiącymi osie współczesnej historii Polski i innych społeczeństw. W naszym miesięczniku przypominamy fakty związane z: **I Powstaniem Śląskim** sprowokowanym m.in. masakrą górników w kopalni w Mysłowicach, manifestacyjnym pogrzebem przywódcy ludu śląskiego **Wojciecha Korfantego** – zmarł 17.08.1939, heroicznym, ale także tragicznym dla naszej stolicy **Powstaniem Warszawskim** (m.in. śmierć Krzysztofa Kamila Baczyńskiego 4.08.1944, ale także rocznica powstania powszechnie dziś znanej i pamiętanej piosenki z słowami podchorążego Józefa Szczepańskiego pseudonim „Ziutek”: „*Pałacyk Michla*”), niemiecką prowokacją gliwicką i innymi sierpniowymi rocznicami.

Sierpień jest dla naszej historii miesiącem przeciwstawnych zdarzeń, z jednej bowiem strony pamiętamy o radośnym zdarzeniu, gdy przypominamy że 03.08.1914 wyrusza z Krakowa Pierwsza Kompania Kadrowa, a np. w 1959 roku Minister Obrony Narodowej wydaje rozkaz o rozformowaniu Wojskowego Korpusu Górniczego co dla historii śląskich kopalń i górników nie jest faktem bez znaczenia, a także, iż w 1989 Tade-

usz Mazowiecki zostaje premierem PRL powołany na to stanowisko przez Sejm wybrany w częściowo wolnych wyborach.

Ale także w sierpniu 1939 roku podpisany został w Moskwie złowrogi dla Polski Pakt przez Joachima Ribbentropa i Wiaczesława Mołotowa.

Miłośnicy literatury pamiętają o sierpniowych rocznicach odejścia dwóch najwybitniejszych polskich poetów Jana Kochanowskiego (1584) i Czesława Miłosza (2004r).

W historii kultury europejskiej sierpień zapisze się niewątpliwie pamiętną, ogłoszoną w Paryżu, w 1789 Deklaracją Praw Człowieka i Obywatela, ale także jakże ponurą pamięcią o owych pierwszych 20 nieszczęśliwych, czarnych niewolnikach przywiezionych w sierpniu 1619 roku na pokładzie holenderskiego statku do Jamestown w Wirginii, pierwszej stałej osady w Ameryce Północnej – inicjujących haniebną epokę niewolnictwa na tym kontynencie.

Pamięć społeczeństw jest pewnie równie wybiórcza jak nasza indywidualna ludzka, czasem wypiera ze swoich „zasobów” niemiłe fakty, kiedy indziej konfabuluje, bywa stronnicza i niesprawiedliwa, poddaje się manipulacji różnych „inżynierów dusz”.

Nie możemy jednak bez niej funkcjonować jako społeczeństwo. Bez historycznych wzorów pracowitości, heroicznej odwagi, solidarności, zaangażowania i patriotyzmu bylibyśmy jedynie zagubioną we współczesności zdeintegrowaną zbiorowością podążającą do bliżej nieznanego nam celu.

Powstańcy naprzód

Hymn Powstańców Śląskich

muzyka: TADEUSZ SALONI

słowa: EMANUEL IMIELA

Powstańcy, naprzód! Hej w szeregi!
Na ramię broń, do boku stal!
Wytknięta droga: Odry brzegi!
W obronie stańmy modrych fal

Do walki marsz o świętą ziemię
O święte chaty, święty siew
O śląski lud, piastowe plemię
O serca polskie, polską krew

Na bój! Na bój!
Nie spocznem, aż ustąpi wróg
Bo nas na bój prowadzi Bóg

Uzbrójmy dusze w twardość skały
A mięśnie swoje w stali hart
Nie będzie ten, kto zniewieściały
Miłości swej Ojczyzny wart

Zginęło wielu w jej obronie
Nie szczędź i ty więc swoich sił
Bo męski żar ci w piersi płonie
Byś bronił swych, a wroga bił

Na bój! Na bój!
Nie spocznem, aż ustąpi wróg
Bo nas na bój prowadzi Bóg

Wciąż na zachodzie krzyk złowrogi
Na baczną więc! Na ramię broń!
Ojczyzny strzeżmy święte progi
Pokażmy wrogom silną dłoń

Do walki więc, więc marsz w szeregi
By godnym się Ojczyzny stać
Niech wroga gna za Odry brzegi
Piastowski lud, powstańcza brać

Na bój! Na bój!
Nie spocznem, aż ustąpi wróg
Bo nas na bój prowadzi Bóg!

rok 1919

Cud nad Odrą — czyli ewenement powstań śląskich (1919–1921)

ZYGMUNT WOŹNICZKA

Cud nad Wisłą uratował Polskę od zguby, cud nad Odrą dał Polsce Śląsk. Cudu nad Wisłą i cudu nad Odrą nie stworzył żaden dyktator, żaden mocarz, który wziął odpowiedzialność za losy narodu, ale duch narodu, jego solidarność narodowa, duch obywatelski i poczucie odpowiedzialności każdego obywatela

Wojciech Korfanty

Śląsk odpadł od Królestwa Polskiego w XIV wieku. Mimo to wśród ludu śląskiego przetrwało silne poczucie polskości. Symbolicznymi postaciami odrodzenia narodowego Ślązaków w XIX w. byli min. Karol Miarka, Józef Lompa, Stanisław Ligoń czy, w końcu Wojciech Korfanty. Mimo tego wydawało się, że nadal pozostanie w granicach Niemiec. Jednak ich klęska w I wojnie, upadek cesarstwa, załamanie gospodarcze, rewolucja i narzucone przez Traktat Wersalski ograniczenia stworzyły nową jakość na Górnym Śląsku. Ponadto tuż obok odrodziła się niepodległa Rzeczpospolita, która zaczęła silnie oddziaływać w tym regionie.

Czy to były powstania?

Oceniając wydarzenia z lat 1919–1920–1921 polska historiografia w większości używa terminu Powstania Śląskie. Dzisiaj to stanowisko jest podważane i często służy polemikom prasowym, a nawet rozgrywkom politycznym na szczeblu lokalnym.

Inni dowodzą, że Ślązacy powstań nie chcieli i zostały im one narzucone przez przysłanych przez rząd z Warszawy — ochotników. Podobne poglądy wyrażają także niektórzy historycy niemieccy jak np. Guido Hitze. Warto wspomnieć, że stanowisko to historiografia niemiecka lansowała już w pierwszych latach po powstaniach i już wówczas spotykało się ono z kontrakcją ze strony polskiej. Tak o tym w 1925 roku pisał w przedmowie do książki Adama Benisza: „*Walki o Kędzierzyn*” gen. bryg. Stanisław Rostworowski, legionista, były szef sztabu III Powstania Śląskiego: „*Zarzucono Polsce, że to ona nasłala swych emisariuszy, że ona wzburzyła spokojną ludność. Książka dr Benisza jest jasną odpowiedzią na ten zarzut. Na każdej stronie, z każdej kartki biją nazwiska, epizody, cytaty, które dowodzą, że powstańcami byli Fojkis, Woźniak, Leszczyk, Jasiulek, Młynarek i wielu innych, którzy nie potrzebowali*

jechać na Śląsk, by agitować za zbrojną walkę, bo oni sami tworzyli wrosły w ziemię piastowską lud, który powstał i bije się o swoje prawo.” Ten punkt widzenia podtrzymał Benisz w swoich późniejszych pracach wydanych w kraju

przed wojną jak i na emigracji. Inni historycy (np. prof. Ryszard Kaczmarek) uważają, że na Górnym Śląsku w latach 1919–1921 mieliśmy do czynienia de facto z wojną polsko-niemiecką. Najważniejsze decyzje zapadały w Berlinie



fol. Paweł

Pomnik Powstańców Śląskich w Katowicach

i Warszawie a rola Ślązaków i lokalnych działaczy była drugorzędna. W pierwszym i drugim powstaniu doszło do walk w wyniku oddolnego nacisku działaczy POW Górnego Śląska, natomiast trzecie powstanie wybuchło po wielomiesięcznych przygotowaniach kierowanych przez Ministerstwo Spraw Wojskowych. Opracowano koncepcję wysłano broń i instruktorów. Nie wnikając w szczegóły wspomnianych ocen, ale też i sporów, należy stwierdzić, że wynika ją one także ogromnej złożoności wydarzeń jakie miały miejsce na Górnym Śląsku w 1919–1921. Z drugiej strony pobudzają one badania naukowe czego wyrazem jest ostatnia książka prof. R. Kaczmarka i nie pozwalają zapomnieć o tamtych wydarzeniach.

Przebieg wydarzeń

W latach 1919–1921 spór polsko-niemiecki na Górnym Śląsku rozstrzygał się zarówno w wyniku plebiscytu jak i postać będących próbą zbrojnego tworzenia faktów dokonanych.

I Powstanie Śląskie (17–26 sierpnia 1919), wybuchło samorzutnie jako reakcja na represje wobec strajkujących robotników. Zapoczątkowała powstanie tzw. masakra mysłowicka, kiedy to Grenzschutz strzelał do górników w kopalni Mysłowice domagających się zapłaty za pracę. Na czele oddziałów powstańczych stanął Alfons Zgrzebniok. Objęło ono powiaty: pszczyński i rybnicki. Powstanie zakończyło się klęską powstańców, wielu z nich uciekło do Zagłębia Dąbrowskiego. 11 lutego 1920 roku na mocy ustaleń postanowień traktatu wersalskiego władzę na terenie Górnego Śląska objęła Międzysojusznicza Komisja Rządząca i Plebiscytowa. W jej skład wchodził reprezentanci Francji, Wielkiej Brytanii i Włoch. Kierował ją francuski generał Henri Le Rond. Siedzibą komisji było Opole a jej celem było stworzenie jak najlepszych warunków do spokojnego i obiektywnego przeprowadzenia plebiscytu mającego zadecydować o przynależności państwowej Górnego Śląska. 12 lutego 1920 roku w Bytomiu rozpoczął działalność Polski Komisariat Plebiscytowy. Polskim Komisarzem Plebiscytowym został Wojciech Korfanty. Można stwierdzić, że jego najważniejszym przeciwnikiem był Prałat Carl Ulitzka. W okresie powstań i plebiscytu był najważniejszym i najbardziej wpływowym przedstawicielem strony niemieckiej.

W odpowiedzi na niemieckie represje w nocy z 18/19 sierpnia 1920 wybuchło II Powstanie pod wodzą Alfreda Zgrzebnioka i objęło cały okręg przemysłowy oraz część powiatu rybnickiego. Gdy Komisja Międzysojusznicza spełniła polskie żądania tj. doprowadziła do pełnego równouprawnienia ludności polskiej z niemiecką oraz zlikwidowa-



Pomnik Weteranów Powstań Śląskich w Łędzinach

ła niemiecką policję Sipo, i w to miejsce powołała polsko-niemiecką policję plebiscytową zwana Apo, 26 sierpnia 1920 roku Korfanty wydał rozkaz zakończenia walk. Powstanie zakończyło się sukcesem i wzbudziło radość ludności polskiej tym bardziej, że w tym czasie wygrana została bitwa warszawska z Armią Czerwoną. Umocniło to pozycję Polski w regionie, ale nie dawało jeszcze pewności wygrania.

W przeddzień wyznaczonego na 20 marca 1921 roku na Górnym Śląsku plebiscytu, rząd Polski rzucił na szalę dodatkowo dwa ważne atuty: były nimi uchwalenie Konstytucji marcowej oraz zwracanie traktatu pokojowego w Rydze z Rosją Sowiecką.

Miało to być dla Ślązaków ważnym argumentem mówiącym o stabilizacji państwa polskiego i zadaniem kłamu niemieckiej propagandzie o „polskim państwie sezonowym”. Ulitzka nawoływał Ślązaków do głosowania w czasie plebiscytu za „Niemcami”. W wyniku plebiscytu za przyłączeniem do Polski opowiedziało się 40% głosujących a reszta za tj. 60% za pozostawieniem Górnego Śląska w granicach Niemiec. Rząd w Warszawie interpretował to jednak jako swój sukces, eksponując warunki, w jakich odbył się plebiscyt, środki jakimi dysponowali Niemcy i Polacy oraz dopuszczenie do głosowania emigrantów z tego terenu.

Trzecie Powstanie Śląskie (2/3 maja – 5 lipca 1921), miało zapobiec niekorzystnemu dla Polski podziałowi Górnego Śląska. Dyktatorem powstania ogłoszono Wojciecha Korfanteo, a działaniami zbrojnymi strony polskiej kierowała Naczelna Komenda Wojsk Powstańczych. Ciężkie walki toczono min. o Kędzierzyn i Górę Świętej Anny.

Wszystkie powstania miały w zasadzie trzy fazy: wybuch i ofensywa powstań-

ców, obrona i następnie wygaszenie (lub upadek) powstania. Jak już wspomniano, w czasie I i II Powstania Śląskiego, które wybuchło spontanicznie i dowódcy wojskowi oraz polityczni byli porwani przez lawinę wydarzeń. Natomiast III Powstanie Śląskie były przygotowane dobrze. Od samego początku trzymane było twardą ręką przez Korfanteo. Ogłosił on wybuch III Powstania, kierował nim oraz potrafił w odpowiednim momencie je zwycięsko zakończyć. Podporządkował sobie wojskowych i umiejętnie łączył działania militarne z politycznymi i gospodarczymi.

W III Powstaniu Śląskim podaje się następujące szacunkowe dane na temat siły stron walczących: tj. 40–60 tys. po stronie polskiej (POW Górnego Śląska) i od 30 do 50 tys. po stronie niemieckiej (Selbstschutz, oraz wspomagający go Freikorps). Dochodziło do dużych, często rozstrzygających bitew. W III Powstaniu jak już wspomniano, taką była bitwa o Kędzierzyn trwająca od 6 do 10 maja oraz w okolicach Góry Świętej Anny od 21 do 26 maja. Po obu stronach walczyły duże i zwarte oddziały z udziałem artylerii i pociągów pancernych..

W czasie III Powstania Śląskiego udało się zdobyć duży obszar, na którym można było budować strukturę wojskową oraz cywilnej administracji zarówno na szczeblu centralnym jak i terenowym. W Szopienicach urzędowała Naczelna Władza na Górnym Śląsku (tworzył ją Komitet Wykonawczy oraz dyktator Wojciech Korfanty) i Naczelna Komenda Wojsk Powstańczych. Urzędował tutaj naczelny dowódca płk. Maciej Mielżyński.

Pomoc dla Powstań

Polacy jak i Niemcy otrzymywali wsparcie z zewnątrz. Rząd w Berlinie wysłał na Górny Śląsk dywizje wojska i roz-



Pomnik Powstańca Śląskiego w Zdzieszowicach

budowywał organizacje paramilitarne. Przede wszystkim tajny Selbstschutz, powołany po wycofaniu się z terenu plebiscytowego na początku 1920 roku niemieckiego wojska i władz.

Po stronie polskiej byli to ludzie m.in. z: Zagłębia Dąbrowskiego, Krakowa, Lwowa, Warszawy. Na terenie plebiscytowym rozwijano polską pracę wywiadowczą i konspiracyjną. Wydział Plebiscytowy B miał kierować działalnością POW Górnego Śląska, prowadzić wywiad oraz akcje propagandowo-polityczne. Brali w niej udział działacze PPS i Narodowej Partii Robotniczej. Zasilono sztab POW Górnego Śląska fachową kadrą oficerską, wzmocniono jego działania, w tym wywiad. W maju 1920 roku ww. Wydział dostarczył POW Górnego Śląska broń oraz zaczął regularnie wysyłać pod ręczniki z zakresu wojskowości. Zorganizowano także kursy bojowe i polityczne. Dążąc do usprawnienia pracy Wydziału powołano do życia jego agendy przy dowództwach Okręgów Generalnych w: Poznaniu, Kielcach i Krakowie. Departamentem II Informacyjnym, a potem Oddziałem II Sztabu Ministerstwa Spraw Wojskowych kierował Bogusław Miedziński. Prowadził on własną politykę wewnętrzną na Górnym Śląsku, co wywołało konflikt z Korfantym oraz z Narodową Demokracją. W szeregach POW Górnego Śląska dominowali miejscowi, ale była ona kierowana przez oficerów przybyłych z zewnątrz i w ten sposób automatycznie zależna od Józefa Piłsudskiego, a nie od polityków górnośląskich na czele z W. Korfantym. Wśród nich wyróżniali się Michał Grażyński czy Michał Żymierski, wówczas oficer Oddziału III Naczelnej Komendy Wojsk Powstańczych w Sosnowcu. Ten drugi to faktyczny dowódca I powstania, przełożony komendanta głównego POW Górnego Śląska Al-

fonsa Zgrzebnioka. Później zamieszany w aferę z maskami gazowymi, zdegradowany i sądzony, a na koniec sowiecki agent i marszałek Polski z nadania Stalina. Obok nich należy wymienić pochodzących z Wielkopolski Macieja Mielżyńskiego, Kazimierza Zenkellera, Alojzego Nowaka, jednego z dowódców w czasie powstania wielkopolskiego czy Stanisława Rostworowskiego pochodzącego z Krakowa. W sumie było około 800 oficerów, podoficerów i kadetów oraz ponad 7 tys. szeregowców, czyli około 12 procent walczących

W polskich powstaniach w XX wieku częste było „przechodzenie” ludzi, tj. najpierw walczyli w jednym powstaniu, a potem w następnym. Wielu z tych, którzy walczyli wcześniej w Powstaniu Wielkopolskim, potem przeszli do Powstań Śląskich, a później znaleźli się w Powstaniu Warszawskim. Wymienić możemy kilka najbardziej znanych postaci. Np. Remigiusz Grocholski miał bogaty życiorys. Urodzony na Podolu w rodzinie ziemiańskiej, skończył prawo na Uniwersytecie w Petersburgu, w czasie I wojny był szefem oddziału II Sztabu III Korpusu Polskiego na Wschodzie, w wolnej Polsce ukończył pierwszy kurs Wojennej Szkoły Sztabu Generalnego, a następnie uczestniczył w wojnie polsko-bolszewickiej na stanowiskach dowódczych. W marcu 1921 roku został szefem Oddziału III (Operacyjnego) oraz w Dowództwie Obrony Plebiscytu (Naczelnej Komendzie Wojsk Powstańczych) w czasie III Powstania. Był autorem koncepcji III Powstania oraz rozkazu operacyjnego nr 1 o rozpoczęciu walk. Po zakończeniu powstania kontynuował karierę wojskową pełniąc różne stanowiska dowódcze w WP. W czasie II wojny światowej m.in. komendant „Wachlarza”, a potem dowódca pułku AK „Waligóra” w Powstaniu Warszawskim.

Podział Górnego Śląska

15 V 1922 w Genewie podpisano polsko-niemiecką konwencję górnośląską. W okresie od 17 VI do 4 VII 1922 wojska polskie zaczęły przejmować przyznaną Polsce część obszaru plebiscytowego. Kulminacją tego procesu odbyła się 16 lipca 1922 r. w Katowicach na rynku gdzie zorganizowano wielką uroczystość połączenia części Górnego Śląska z Macierzą z udziałem wojska polskiego na czele z gen. Szeptyckim oraz licznej delegacji z Warszawy z Marszałkiem sejmowym Wojciechem Trąmpczyńskim. Zebranych witała delegacja Ślązaków na czele z Wojciechem Korfantym. Już 15 lipca 1920 roku Sejm Ustawodawczy Rzeczypospolitej Polskiej zdecydował, że z terenów Górnego Śląska przyznanych Polsce zostanie utworzone odrębne województwo, które otrzyma status autonomiczny, z własnym sejmem, administracją, podatkami. Na przyznanym Polsce terytorium znajdowała się przeważająca część przemysłu regionu: tj.: 53 z 67 kopalni węgla kamiennego (74,3% produkcji), 10 z 15 kopalni rud cynku i ołowiu (79,4 lub 72,1% produkcji), 22 z 37 wielkich pieców (58% produkcji), 9 z 14 stalowni (60,6% produkcji). Według współczesnych szacunków na terenach przyznanych Polsce znajdowało się $\frac{3}{4}$ majątku przemysłowego Górnego Śląska.

Co dalej?

Którzy powstańcy zrobili kariery w okresie międzywojennym?

Wydaje się, że największe kariery zrobili przywódcy powstańcy. To nie tylko W. Korfanty czy Konstanty Wolny, wieloletni Marszałek Sejmu Śląskiego, ale i M. Grażyński, który w III Powstaniu był szefem sztabu Grupy „Wschód”, a później wojewodą śląskim. Dobrze się wiodło braciom Józefowi i Mikołajowi Witczakom, współwłaścicielom uzdrowiska w Jastrzębiu Zdroju. Józef Witczak był też adwokatem, posłem na Sejm Śląski. Należy wspomnieć Jana Wyglendę, w 1939 roku jednego z organizatorów obrony Górnego Śląska. Adam Kocur w latach 1928–1939 był prezydentem Katowic. Józef Korol, przed wojną m.in. starostą tarnogórskim, na początku 1940 roku zginął z bronią w ręku jako komendant śląskiego okręgu ZWZ. Okres międzywojenny to także kariera bohatera łącznika gliwickiego pułku walczącego w III Powstaniu – Jerzego Ziętka, naczelnika Radzionkowa i posła na Sejm RP z listy sanacyjnego NChZP (autonomicznej sekcji BBWR.). I co ciekawe po 1945 tylko on utrzymał się na szczytach władzy w województwie.

We wrześniu 1939 roku ślący powstańcy bohatersko bronili Górnego Śląska — w tym Katowic czy Chorzowa, ale też walczyli w obronie Lwowa. Potem bili się w szeregach PSZ na Zachodzie czy

Wojsku Polskim w ZSRR oraz działali w okupowanym kraju, w wielu konspiracyjnych organizacjach. Nie brakowało ich nawet w Komendzie Głównej AK: płk. dypl. Kazimierz Pluta-Czachowski, ps. Kuczaba — od 1941 roku szef V Oddziału (Łączności) KG ZWZ-AK, w czasie III Powstania Śląskiego przyprawił na Górnym Śląsku kompanię ochotników; płk. dr med. Leon Kazimierz Strehl, ps. Feliks, szef służby zdrowia KG ZWZ-AK oraz gen. bryg. S. Rostrowski, ps. Odra w latach 1942-1944 inspektor szkolenia bojowego w Komendzie Głównej AK, od 1 sierpnia 1944 roku dowódca Okręgu AK w Krakowie, 12 sierpnia 1944 roku aresztowany i po kilkunastu dniach zamordowany, w czasie III Powstania Śląskiego był szefem sztabu Naczelnej Komendy Wojsk Powstańczych. Ppłk. Franciszek Rataj, ps. Paweł, który w III Powstaniu dowodził pułkiem pszczyńskim, w Powstaniu Warszawskim dowodził odwodem komendanta Okręgu Warszawskiego AK. Walczył na Woli, Starym Mieście, a później w Śródmieściu dowodząc 15 pułkiem AK.

Powstańcami śląskimi byli też działacze partii politycznych i członkowie

Delegatury Rządu RP. Wymienić można trzy najbardziej znane nazwiska: Działacz SL — „Roch” wysoki funkcjonariusz Delegatury RP na Kraj (dyrektor Departamentu Rolnictwa) Zygmunt Załęski, członek władz naczelnych PPS-WRN, dyrektor Departamentu Pracy i Opieki Społecznej Delegatury, uczestnik I Powstania Śląskiego, Franciszek Białas. Stefan Korboński w czasie III Powstania walczył w Grupie „Północ”, w okresie okupacji hitlerowskiej od kwietnia 1941 roku stał na czele Kierownictwa Walki Cywilnej, a w czasie Powstania Warszawskiego był dodatkowo dyrektorem Departamentu Spraw Wewnętrznych Delegatury Rządu. W marcu 1945 roku po porwaniu przez NKWD wicepremiera i Delegata Rządu Jana Stanisława Jankowskiego oraz innych przywódców podziemia, Korboński pełnił obowiązki Delegata do 28 czerwca 1945 roku, kiedy to został aresztowany.

Znaczenie

Dzisiaj po latach możemy stwierdzić, że Polska wówczas wykorzystała swoją szansę. Europa Środkowa wrzała, powstawały nowe państwa. Niemcy przegrały wojnę i chciały utrzymać swoje

granice natomiast powstała po latach zaborów Polska była w obozie zwycięzców. Ślązacy byli rozdarceni. Znali Niemców, ale nie znali Polski. Dla wielu przynależność do niej wydawała się atrakcyjna. Bali się bowiem głodu i spłaty reperacji gdyby pozostali w granicach Niemiec. Do tego dochodziła propaganda Warszawy. Polska w walce o Górny Śląsk miała oparcie we Francji jednego z aliantów i zwycięzców I wojny. To był bardzo ważny czynnik warunkujący zwycięstwo.

Różnie można ocenić śląskich przywódców stających po obu stronach barykady. Wystarczy tylko wspomnieć Wojciecha Korfanteo i Karla Utlizke. Zbytym uproszczeniem byłoby stwierdzić, że ponieśli klęskę. Plebiscyt i powstania to dla obu wielki czas. Mieli poparcie Ślązaków, ale też elit społeczeństw w Polsce i w Niemczech. Czy mogli zrobić coś więcej?

Śląscy powstańcy wywalczyli drogę Górnego Śląska do Polski, ale też wpłynęli na kształt i charakter odradzającej się Ojczyzny. Cześć wielkiego okręgu przemysłowego z jego nowoczesnym potencjałem i klasą robotniczą, pozwoliła się wyrwać odradzającej się Rzeczypospolitej z kręgu szlacheckich zaścianków ku nowoczesnej Zachodniej Europie. Umożliwiło to budowanie państwa o stosunkowo silnym potencjale przemysłowym i gospodarczym. W tym czasie okręgi przemysłowe na ziemiach polskich na wschód od Górnego Śląska były mniejsze i zniszczone w wyniku działań wojennych jak np. pobliskie Zagłębie Dąbrowskie.

Wydaje się mało prawdopodobne, aby bez potencjału przyłączonego do Polski części Górnego Śląska udało się stosunkowo szybko przeprowadzić reformy Władysława Grabskiego w 1924, w wyniku których powstał Bank Polski i zaczęto emitować nową walutę — polski złoty. Czy możliwa byłaby budowa magistrali węglowej i portu w Gdyni oraz Centralnego Okręgu Przemysłowego?

Śląscy powstańcy w wywalczyli nową przyszłość dla siebie i swoich dzieci, ale też i dla reszty ziem odradzającej się po latach zaborów Rzeczypospolitej. Obchodzimy 100-lecie odzyskania niepodległości, ale tutaj na Górnym Śląsku walka trwała jeszcze w latach 1919-1921. Ta ziemia pogranicza wracała po wiekach do Macierzy, co było ewenementem na skalę europejską i to były ów *cud nad Odrą* o którym mówił **Wojciech Korfanty** witając w 1922 na rynku w Katowicach przedstawicieli najwyższych władz Rzeczypospolitej. W następnych latach wspólna droga Górnego Śląska i reszty ziem polskich, nie była łatwą i usianą różami, ale to już nie była wina śląskich powstańców.

foto. Michał Bulsa



Pomnik Powstańców Śląskich na skwerze S. Kubisty w Katowicach-Kostuchnie

Powstańcy śląscy w Powstaniu Warszawskim

ZBIGNIEW KAPAŁA

Zamieszkali i przebywający w tych latach w Warszawie uczestnicy powstań śląskich znaleźli się od początku okupacji hitlerowskiej w kręgach i formacjach organizacji konspiracyjnych, w tym również w strukturach Delegatury Rządu RP na Kraj. Doświadczeni, dysponujący sprawdzonymi kontaktami wnieśli znaczny wkład w organizację państwa podziemnego. Po wybuchu powstania wzięli czynny udział w szeregach zbrojnych i służbach pomocniczych.

Nie jest dotąd w pełni znany i zbadany udział uczestników powstań śląskich w zmaganiach powstania warszawskiego. Według dotychczasowych niepełnych nadal ustaleń, w powstaniu warszawskim walczyło co najmniej kilkudziesięciu byłych powstańców śląskich. Oto część nazwisk z tej wcale licznej grupy: Marek Jan **Arczyński**, Franciszek **Białas**, Stanisław **Bobkowski**, Henryk **Charlemagne**, Bogumił Szczepan **Chwist**, Stanisław **Ciesielski**, Anna **Czech**, Tomasz **Dziama**, Roman Tadeusz **Goldman**, Michał **Grobelski**, Januariusz Zdzisław **Gościmski**, Tadeusz **Jarczewski**, Euzebiusz Karol **Jarema**, Szczepan **Kaniewski**, Józef **Koprucki**, Kazimierz **Kostecki**, Stanisław **Leśniewski**, Antoni Robert **Olbromski**, Teofil **Opalach**, Karol **Olszowiec**, Kazimierz **Pluta Czachowski**, Jan **Prztulski**, Wiktoria **Saryusz Stokowska**, Józef **Śruba**, Hubert **Sukiennicki**, Stanisław **Szopiński**, Wacław **Zakrzewski**.

Rekrutowali się oni z dwóch środowisk. Pierwsze tworzyli weterani powstań śląskich zamieszkali w Warszawie, przed wybuchem wojny, drugie uchodźcy z byłego województwa śląskiego, którzy szukali schronienia w stolicy przed hitlerowską policją. Jak wspomina Władysław Sala „(...) okupowana i powstańcza Warszawa pełna była Ślązaków, tych rodowitych i tych połączonych ze Śląskiem więzami przyjaźni i współpracy z lat międzywojennych”. Dużą część spośród powstańców zaliczonych do pierwszej grupy stanowili byli ochotnicy, którzy w latach 1919–1921 pospieszili na pomoc ludności Górnego Śląska z różnych regionów kraju. Tuż przed

wybuchem wojny byli oni zrzeszeni w stołecznym oddziale Związku Powstańców Śląskich, którego czołowym działaczem był dr Sebastian Chorzewski zamordowany przez hitlerowców w dniu 17 września 1940 roku w Palmirach.

Stołeczne środowisko Związku Powstańców Śląskich odegrało ważną rolę w tworzeniu załączków i rozwoju ruchu konspiracyjnego na terenie Warszawy. Już w ostatnich dniach września 1939 roku powstała na terenie stolicy, z inicjatywy grupy byłych powstańców śląskich, organizacja konspiracyjna **Załogi Powstania Narodowego**, znana też pod nazwą **Związek Polski Niepodległej**. Jej organizatorami byli: Sebastian **Chorzewski**, Kazimierz **Baster** (były prezes oddziału ZPŚ w Łodzi) Józef **Sobolewski**, Józef **Szkandera**, Stanisław **Szopiński**. Dnia 3 października 1939 roku ukazał się pierwszy numer stałego pisma Związku Polski Niepodległej pod nazwą „**Monitor Informacyjny ZPN**”. Najprawdopodobniej było to pierwsze pisemko konspiracyjne stolicy.

Z inicjatywy byłych powstańców śląskich powstały również: **Kadra Polski Niepodległej**, **Strażacki Ruch Oporu „Skala”** i „**Zbrojne Wyzwolenie**”. W latach okupacji działała też na terenie Warszawy bliżej nie znana organizacja występująca pod nazwą **Związek Powstańców Śląskich**. Brak danych nie pozwala stwierdzić, czy organizacja ta w środowisku warszawskim była kontynuacją działalności przedwojennego Związku Powstańców Śląskich bądź jakąś nową strukturą, która tylko w nazwie nawiązywała do tamtego związku.

Byłych uczestników powstań śląskich spotykamy też w szeregach innych organizacji konspiracyjnych, działających w latach hitlerowskiej okupacji w stolicy. I tak funkcję przewodniczącego Wojskowego Sądu Specjalnego Okręgu Warszawskiego ZWZ AK od 1940 do 1943 pełnił Antoni Robert **Olbromski** („**Krauze**”). W okresie powstań śląskich i plebiscytu był członkiem Inspektoratu Harcerskiego w Bytomiu. Poza Armią Krajową działał również w Wydziale Zachodnim Głównej Kwatery „Szarych Sze-

regów”, który od maja 1943 roku koordynował działalność tej organizacji na ziemiach włączonych do Rzeczy. W szeregach Armii Krajowej w stolicy znalazła się też urodzona w 1905 roku w Sońnicy Anna Czech, która w III Powstaniu była łączniczką. Mieszkała w Warszawie od lat przedwojennych. Podczas okupacji przechowywała z narażeniem życia pamiątki z okresu Powstań Śląskich powierzone jej przez mjr. Jana Ludygę-Laskowskiego przebywającego wówczas we Francji. Po wojnie trafiły one do zbiorów muzeów w Bytomiu, Gliwicach i na Górze Świętej Anny. Nie brakło też ich w Komendzie Głównej Armii Krajowej. Spośród byłych powstańców śląskich najwyższe funkcje w ZWZ i AK w stolicy oraz na terenie kraju sprawowali płk dypl. Kazimierz **Pluta Czachowski** („**Kucza-ba**”) — od 1941 r. szef V Oddziału Komendy Głównej ZWZ AK, płk dr med. Leon Kazimierz **Strehl** („**Feliks**”), szef służby zdrowia Komendy Głównej ZWZ AK; gen. bryg. Stanisław **Rostworowski** („**Odra**”) — od 1 grudnia 1943 roku szef Biura Inspekcji Komendy Głównej AK, który podczas III Powstania Śląskiego był szefem sztabu Naczelnej Komendy Wojsk Powstańczych.

Byli uczestnicy wydarzeń górnośląskich z lat 1919–1921 działali też w strukturach **Delegatury Rządu RP na Kraj** i różnych partii politycznych. Do wybitnych działaczy konspiracyjnego **Stronnictwa Ludowego** — „**Roch**” należał wysoki funkcjonariusz Delegatury RP na Kraj Zygmunt **Załęski**, uczestnik powstań śląskich, działacz Polskiej Akademickiej Młodzieży Ludowej, były prezes Związku Młodzieży Wiejskiej „**Wici**” i słowiańskiego Związku Młodzieży Wiejskiej z siedzibą w Pradze. We władzach SL „**Roch**” Z. Załęski był członkiem Komisji Programowej Centralnego Kierownictwa Ruchu Ludowego. W Delegaturze pełnił funkcję dyrektora Departamentu Rolnictwa.

Z kolei członkiem władz naczelnych **PPS-WRN** był Franciszek **Białas**, uczestnik I Powstania Śląskiego, od 12 sierpnia 1944 roku dyrektor Departamentu Pracy i Opieki Społecznej Delegatury, który funkcję tę peł-

nił w podziemiu do maja 1945 roku.

Powstańcem śląskim był też Stefan **Korboński** („Nowak”, „Zieliński”).

W maju 1945 roku po podstępny aresztowaniu przez sowieckie NKWD szesnastu przywódców Polski Podziemnej w tym wicepremiera i Delegata Rządu na Kraj Jana Stanisława **Jankowskiego**. Również J. S. Jankowski pośrednio był związany z powstaniami śląskimi. Od 10 marca do 11 maja 1921 roku był ministrem pracy i opieki społecznej, 2 maja tego roku podczas tajnego posiedzenia Rady Ministrów RP zgłosił sprzeciw wobec decyzji Rządu o niedopuszczeniu do wybuchu na Górnym Śląsku powstania zbrojnego. Ponieważ sprzeciw jego został odrzucony, postanowił w dniu następnym na posiedzeniu wieczornym Rady Ministrów zgłosić swoją dymisję. Po odwołaniu ze stanowiska krótko przebywał na Górnym Śląsku.

Obowiązki Delegata Rządu obejmuje po nim i staje na czele Polskiego Państwa Podziemnego aż do aresztowania w dniu 28 czerwca 1945 roku w Krakowie, wymieniony już Stefan Korboński, który wcześniej od kwietnia 1941 roku stał na czele Kierownictwa Walki Cywilnej. W czasie Powstania Warszawskiego Karboński został mianowany dodatkowo dyrektorem Departamentu Spraw Wewnętrznych Delegatury Rządu. W czasie III Powstania walczył w Grupie „Północ”.

Trudno dziś dokładnie stwierdzić, ilu byłych powstańców śląskich uczestniczyło w ruchu oporu na terenie Warszawy, a tym samym mogło brać udział w Powstaniu Warszawskim. Podkreślić jednak należy, że znaczenie udziału kombatantów powstań śląskich w miejscowym podziemiu nie polegało tylko na ich liczności ale przede wszystkim na ich dyspozycyjności wobec działających w tym mieście władz centralnych różnych organizacji konspiracyjnych. Właśnie jednostki warszawskie gwarantowały tak w sensie materialnym, jak i kadrowym prawidłowość funkcjonowania poszczególnych organów różnych organizacji. Spośród warszawskich działaczy tych organizacji, w tym również byłych uczestników powstań śląskich, rekrutowali się zarówno łącznicy, kurierzy, jak i dowódcy i działacze szczebla centralnego. Innymi słowy – ranga udziału powstańców śląskich w ruchu oporu w stolicy wynikała z jej rangi jako centrum polskiego ruchu oporu.

Weterani powstań śląskich uczestniczyli w działaniach powstańczych w różnych częściach stolicy. Działali w oddziałach bojowych i na zapleczu. Duża ich grupa pracowała w sanitariacie powstania. Znalazł się wśród



Grób żołnierzy z Batalionu Chrobry I poległych 31.08.1944 w skrzydle Pasażu Simonsa przy ul. Wyjazd. Fot. Tadeusz Bukowski

nich również Alfred **Kolszewski**., były szef sanitariatu III Powstania Śląskiego. Byli wśród nich zarówno żołnierze, jak i dowódcy oddziałów powstańczych.

Do grona tych ostatnich zaliczał się ppłk Franciszek **Rataj „Paweł”**, który w III Powstaniu Śląskim dowodził pszczyńskim pułkiem. Przed 1939 rokiem ppłk Rataj był komendantem Państwowej Komendy uzupełnień w Toruniu. W Związku Walki Zbrojnej przyjął pseudonim „Paweł”. Gdy w 1941 zaczęto formować Korpus Zachodni, ppłk Paweł objął w nim stanowisko zastępcy komendanta Okręgu ZWZ AK o kryptonimie „Faust” w Berlinie, lecz wyspa i aresztowania w tymże okręgu nie pozwoliły na objęcie stanowiska. Politycznie

związany z **Stronnictwem Narodowym**, był w latach okupacji m.in. komendantem stołecznego okręgu **Narodowej Organizacji Wojskowej**. Przed wybuchem Powstania dowodził odwozem komendanta Okręgu Warszawskiego Armii Krajowej, składającym się z batalionów „Antoni” i „Wigry”.

Od 2 do 11 sierpnia 1944 roku zgrupowanie „Pawła” uczestniczyło w walkach na Woli. Po upadku Woli brało udział w działaniach powstańczych na Starym Mieście, broń i rejonu Placu Zamkowego i ul. Miodowej. Przez jakiś czas „Paweł” dowodził oddziałami powstańczymi na Muranowie. Po opuszczeniu Starej Woli po przejściu kanałami objął w Śródmieściu dowództwo oddziałów na zachód od ul. Marszałkow-

skiej, z których sformowano później 15 pułk piechoty AK.

W walkach na Starym Mieście brał też udział kpt. Lucjan **Fajer**, słynny **kpt. „Ognisty“**, który w 1921 roku w pierwszych dniach maja, wraz z grupą kolegów z częstochowskiego gimnazjum im. Henryka Sienkiewicza zgłosił się do III Powstania i uczestniczył w nim jako łącznik w kompanii sztabowej podgrupy „Butrym”. We wrzesniu żołnierz Samodzielnej Grupy Operacyjnej „Polesie”, zapisał piękną kartę w Powstaniu Warszawskim. Był w tym okresie oficerem operacyjnym i zastępcą kpt. L. Giżyńskiego „Gozdawy”, dowódcy batalionu „Gozdawa” im. S. Czarnieckiego walczącego od 5 sierpnia 1944 roku w składzie Zgrupowania, dowodzonego kolejno przez mjr Olgierda Ostkiewicza – Rudnickiego „Sienkiewicza”, ppłk. Stanisława Juszczakiewicza „Kubę” i mjr Gustawa Billewicza „Sosnę” w ramach utworzonej 7 sierpnia tego roku Grupy „Północ” z zadaniem obrony rejonów Placu Zamkowego i Teatralnego. Kierował między innymi akcją przy zdobywaniu Państwowej Wytwórni Papierów Wartościowych. W nocy z 4 na 5 sierpnia dowodził silnym wypadem ze Starego Miasta na Dworzec Gdański. W późniejszym okresie stał na czele obrony reduity w gmachu Banku Polskiego, która była głównym punktem oporu na ul. Bielańskiej. Kiedy Niemcy 20 sierpnia wdarli się pomiędzy pałac Radziwiłłów a Bank i opanowali północną część jego gmachu, kpt. Fajer zarządził przeciwuderzenie powstańców, które 21 sierpnia odrzuciło Niemców i reduita trzymała się odtąd pomimo ustawicznych szturmów nieprzyjaciela od zachodu, północy i południa oraz ciężkich bombardowań lotniczych i artyleryjskich. Po upadku Starówki kpt. Fajer walczył w Śródmieściu. Kpt. „Gozdawa” we wniosku odznaczeniowym na Złoty Krzyż Zasługi z Mieczami tak o nim napisał: *Świetny organizator na polu wojskowym i społecznym, żołnierz bez skazy, całkowicie zasłużył swoim poświęceniem i oddaniem się dla sprawy na to wysokie odznaczenie*.

Ppłk Franciszek Rataj nie był jedynym śląskim oficerem powstańczym,

dowodzącym również w Powstaniu Warszawskim większą jednostką wojskową (związkiem taktycznym).

W innej dzielnicy Warszawy – na Mokotowie oddziałami powstańczymi dowodził ppłk Remigiusz Adam **Grocholski** („**Brochwicz**”, „**Doktor**”, „**Inżynier**”, „**Miś**”, „**Waligóra**”) były szef oddziału operacyjnego Dowództwa Obrony Plebiscytu i Naczelnej Komendy Wojsk Powstańczych, współautor planu III Powstania Śląskiego. Zdaniem Wacława Ryzewskiego – znawcy zagadnień wojskowych powstań śląskich – plan III Powstania, obok planu Powstania Kościuszkowskiego, był najbardziej udany w dziejach polskiej walki narodowowyzwoleńczej.

Grocholski był jedną z najbarwniejszych postaci podziemia. Po klęsce wrześniowej, jako jeden z pierwszych, przystąpił na Lubelszczyźnie do tworzenia konspiracji. W siedem miesięcy później miał już w Lubelskiem kilkusetosobową dobrze rozwiniętą organizację, a na jej koncie kilka udanych akcji dywersyjnych. Po scaleniu z ZWZ Grocholski objął w 1941 roku funkcję szefa sztabu i zastępcy komendanta, a po śmierci ppłk J. Włodarkiewicza funkcję komendanta słynnego „Wachlarza” — wydzielonego pionu ZWZ — AK, powołanego przez gen. „Grota” Roweckiego do prowadzenia dywersji i wywiadu na zapleczu frontu wschodniego. Po likwidacji w 1943 roku „Wachlarza” ppłk Grocholski przeszedł do dyspozycji Kierownictwa Dywersji Komendy Głównej AK. W okresie Powstania Warszawskiego jako ppłk „Waligóra” dowodził od 2 września obroną dolnego Mokotowa. Po zdobyciu przez Niemców 15 września Sielca i Fortu Legionów Dąbrowskiego uszczuplone, podległe mu oddziały tworzące tzw. pułk „Waligóra” obsadziły skarpeę od ul. Belgijskiej po Królikarnię włącznie. Na pozycjach tych prowadziły walki obronne do generalnego natarcia Niemców na Mokotów 24 września. Natępnego dnia, w momencie kryzysu w powstańczej obronie, ppłk „Waligóra” zorganizował z 80 powstańcami obronę domu przy ul. Puławskiej nr 103, u zbiegu z Okólną, naprzeciwko Odyńca, utrzymał go, choć sam został ciężko

ranny w brzuch serią z karabinu maszynowego. 27 września w dniu kapitulacji resztek Mokotowa, sanitariuszka „Hanka” i łączniczka „Ewa” wyprowadziły go wśród osób cywilnych z Warszawy.

W innej części tej dzielnicy, na górnym Mokotowie w szeregach pułku „Baszta” ppłk. „Daniela” (Stanisława Kamińskiego) walczył też w tych dniach inny weteran III Powstania Śląskiego Jan **Fyda** („**Skóra**”).

Po Żoliborzu gdzie w działaniach powstańczych brali udział m.in. trzej dawni uczestnicy powstań śląskich: Janusz Zdzisław **Gościmski** („**Grabiec**”, „**Franciszek**”), Wacław **Zakrzewski** („**Lech**”) i Antoni **Robert Olbromski** („**Krauze**”) który był w tym czasie przewodniczącym Wojskowego Sądu Specjalnego Obwodu Żoliborz AK;

Najbardziej broniło się Śródmieście. Jego obroną kierował ppłk Edward **Pfeiffer** („**Radwan**”), we wrześniu 1939 roku dowódca Samodzielnego Batalionu Fortecznego „Mikołów”.

Spród byłych uczestników powstań śląskich walczyli tam między innymi adwokat Bogumił **Chwist** („**Bończa**”, „**Bończowski**”). Po wojnie mieszkał w Katowicach. Na łamach organu Związku Weteranów Powstań Śląskich „**Ogniwo**” opublikował interesujący artykuł pt.: *„Co wiedziała Warszawa o Śląsku i Ślązakach w czasie okupacji”* (zob. „**Ogniwo**” 1946, nr 12-13).

Walczył też kawaler Orderu Virtuti Militari i Józef **Śruba** z Bytomia; ten ostatni w szeregach brygady **Polskiej Armii Ludowej** „**Odwet**” operującej w tej dzielnicy.

Udział kombatantów powstań śląskich w Powstaniu Warszawskim dowodził dużego zaangażowania ideowo – politycznego oraz wielkiego patriotyzmu tego środowiska. Przez cały czas trwania walk dzielili oni solidarnie los ich uczestników; w ich osobach czyn powstańców warszawskich łączył się z czynem powstańców śląskich. ■

Tekst artykułu został opublikowany po raz pierwszy w miesięczniku społeczno kulturalnym „Śląsk” nr 8 (70) w sierpniu 2001.

Zbigniew Kapała (1949–2016)

Był pracownikiem Śląskiego Instytutu Naukowego w Katowicach oraz Muzeum Górnośląskiego w Bytomiu. W 1994 roku uzyskał tytuł doktora nauk historycznych na Uniwersytecie Wrocławskim. W latach 1997–2013 roku był redaktorem naczelnym rocznika *„Zeszyty Chorzowskie”* (1997–2012), wydawanego przez Muzeum w Chorzowie. Był również redaktorem naukowym *„Rocznika Świętochłowskiego”* oraz wydawnictw Muzeum Górnośląskiego. Od 2007 roku kierował zespołem redakcyjnym *„Chorzowskiego Słownika Biograficznego”*. Był organizatorem Ogólnopolskich Seminariów Historyków Powstań Śląskich i Plebiscytu oraz licznych konferencji i sesji naukowych.

Do najważniejszych publikacji Zbigniewa Kapały należą książki: *„Ślązacy w europejskim ruchu oporu (1935–1945)”* oraz *„Ślązacy i Zagłębiacy w walkach Polskich Sił Zbrojnych na obczyźnie”*.

Kraje, które się o mnie upominają

Jestem z Ameryki i Polski.
 Zastanawiam się, skąd mam orzechowe oczy:
 plamki ziemi, nieba i morza w moim spojrzeniu.
 Słyszę niski tembr głosu księżycy,
 gdy kołysze się nad dachem.
 Widzę wrony, niebieskoczarny symbol żalu.
 Chcę dotknąć tego żalu, pocałować.

Udaję, że jestem chmurą, cieniem,
 wytworem jakiejś odległej przeszłości.
 Czuję się szczęśliwa i amerykańska, polska i przeklęta.
 Dotykam starego i nowego – matki i córki.
 Boję się, że tak naprawdę nie znam żadnej.
 Płaczę, bo mój syn nigdy nie zatańczy
 mazurka, poloneza, oberka.
 Jestem z Ameryki i Polski.

Znam angielski – nic więcej.
 Sądzę, że to za mało, za mało.
 Śnię w obcym języku, przepelnionym
 dźwiękami ciemnych drzew.
 Próbuję tłumaczyć słowa każdego liścia.
 Mam nadzieję, że wiatr poniesie moją odpowiedź.
 Jestem z Ameryki i Polski.

tłum. Łukasz Łopata

LINDA NEMEC FOSTER (ur. Cleveland, Ohio) jest autorką jedenastu tomów poetyckich, w tym: *Amber Necklace from Gdańsk*, *Talking Diamonds* oraz, wspólnie z Anne-Marie Oomen, *The Lake Michigan Mermaid*.

Jej wiersze były publikowane w wielu czasopismach, m.in. „The Georgia Review”, „Nimrod”, „Quarterly West”, „Witness”, „New American Writing”, „North American Review” i „Verse Daily”. Otrzymała nominacje do nagród Pushcart, Arts Foundation of Michigan, ArtServe Michigan, National Writer’s Voice i Academy of American Poets. W latach 2003–05 była pierwszą poetką-laureatką w mieście Grand Rapids w stanie Michigan. W 2015 roku otrzymała nagrodę za całokształt twórczości Fundacji Dyer-Ives za poezję i wspieranie życia literackiego w stanie Michigan. W 2018 i 2019 r. otrzymała nagrodę Editor’s Choice Award w poetyckim konkursie Allena Ginsberga sponsorowanym przez The Poetry Center w Passaic County Community College w New Jersey. Linda Foster jest pomysłodawczynią cyklu spotkań z wybitnymi pisarzami „Contemporary Writers Series” w Aquinas College w Michigan. Związana z Polską, zwłaszcza z okolicami Bielska-Białej, Krakowa i Tarnowa, skąd jej dziadkowie wyemigrowali do USA w latach dwudziestych ubiegłego wieku. Jesienią 2019 r. będzie gościnnym wykładowcą współczesnej poezji i literatury amerykańskiej w Akademii Techniczno-Humanistycznej w Bielsku-Białej.

Nagroda Nobla*Dla Wisławy Szymborskiej*

Więc gdzie dokładnie byłaś, kiedy to ogłoszono? Kiedy dzwonili ze Sztokholmu, aż słuchawka spadła z widełek i znalazłaś się w centrum świata – z dala od ciemnego aksamitu Krakowa, gdzie wolałabyś być. – W górach, w Zakopanem – donosiły gazety – ale gdzie dokładnie? Na pewno nie w miasteczku pełnym tandetnych turystów z oryginalnymi góralskimi laskami i plecakami – stojących w kolejkach wzdłuż jarmarcznych bud na przedmieściach, na drogach zalanych nadmiarem samochodów i busów. Na pewno też nie na stacji kolejowej, która stara się być niewidoczna na tle tych niesamowitych gór.

No właśnie: góry. Ale która? *Kasprowy* z głową w chmurach? Czy *Giewont*, skąd nieszczęśliwie zakochani rzucają się w niebo? Może nie wybrałaś żadnej. Myślę sobie, że szłaś dolinami, upewniając się, że stawiasz krok za krokiem, aż doszłaś do *Morskiego Oka* – oka morza – największego jeziora w Tatrach. I w chwili kiedy zadzwonił telefon, a twoje życie zmieniło się na zawsze, widziałaś tylko jezioro podtrzymujące błękitny przestwór nieba i swoją szczupłą postać w nim odbitą.

Doppelgänger

Musi gdzieś być. Moje drugie ja, zagubiona bliźniaczka spotykana tylko w snach, lustrzany obraz znanej nieznanym.

Pali papierosa w krakowskim barze, spaceruje wzdłuż szarego doku w Gdańsku, wiesza pranie na ciasnym podwórku gdzieś

między Tatrami a Morzem Bałtyckim. Zrządzeniem losu jestem tutaj, a ona gdzie indziej – kimś innym

z moją twarzą, bladą cerą, jasnymi pasemkami włosów. Tyłu z mojej rodziny zdecydowało się zostać w Starym Świecie

aż dziw, że ja zjawiłam się w Nowym. Otoczona mikrofalówkami i płytami CD z poczuciem winy rozmiarów boiska do bejsbolu,

bo urodziłam się na przedmieściach na południe od Cleveland, a nie w miasteczku oddzielonym rzeką od Oświęcimia.

Toast za moje drugie ja. Obyśmy obie żyły długo po przeciwnych stronach świata i nie rozpoznały się nigdy na ulicy.

List z ostatniego miejsca na ziemi

Nic się tu nigdy nie zdarza oprócz pogody: monotonne chmury rzucające monotonne cienie na pola. Gdy pada deszcz, zostawia nas przesiąkniętych zakłopotaniem, że wciąż zależy mu wystarczająco, by nas znaleźć. Każdej zimy śnieg spóźnia się, przeprasza, potem szybko gubi nas, gdy dryfujemy w śladach własnych stóp i zapominamy, gdzie jesteśmy. Północ, południe, wschód, zachód – wszystkie stają się jednym kierunkiem – końcowym, ostatecznym, ślepym zaułkiem.

I jak zmęczone jest słońce, gdy w końcu przychodzi. Rozciągając swoje długie ramiona ponad niskimi pagórkami, słońce jak zawsze ziewa naszym kosztem. Odwlekając poranek godzinami, dopóki czas nie stanie się tak wczorajszy, jak zepsuty zegarek i pocujemy się opuszczeni na krawędzi przestarzałej mapy. Mapy, która mówi, że nie dojdiesz tutaj stamtąd; to jest poza twoim zasięgiem, twoim polem widzenia. Więc zapomnij o odwiedzinach, po prostu napisz. Nie martw się, twój list dojdzie tutaj na długo przed wiatrem.

*tłum. Maria Witos***Moje imię**

Mało znane fakty z mojego życia mieszkają w moim imieniu, tym imieniu, które mi dano i tym, które postanowiłam sobie nadać. Na przekór wszystkiemu, trzy słowa tworzące moje imię pochodzą z języków tak różnych jak angielski, hiszpański, któryś słowiański z rozmytym znaczeniem, którego chyba nikt nie pamięta. Nawet w snach moje imię może przybierać różne postacie: tancerki flamenco w obcisłej czerwieni, czerni satyny, albo lekkiej bryzy, co sprzeciwia się armii najeźdźcy. Spójrz, jego granice zmieniają się łatwo, jak jego głoski. Imię przeszczepione do świata jawy odbija echem kroki dziecka o zmroku odtwarzając, pilnie i niepewnie, długą drogę do domu.

tłum. Dorota Wieczorek

Dzieci imigrantów w Union School

Pochodzimy z Bratysławy i Wrocławia,
Budapesztu i Pragi, Mińska i Tulczy:
Prawdziwe Narody Zjednoczone mojego przed-
szkola. Nasz łamany angielski
irytuje naszą panią, lecz nigdy nas
samych – wiemy, co
chcemy powiedzieć.
Kolorujemy i malujemy, rysujemy i słuchamy
czytanej na głos opowieści o zaginionej
księżniczce i biednym wieśniaku,
który musi ją odnaleźć. Wszystkie dziewczynki
chcą być księżniczkami, wszyscy chłopcy
– bohaterami. Ja tylko chcę
być tutaj, w Ameryce, w Ohio,
w Cleveland, mieszkać na Salem Avenue
cztery domy od moich dziadków,
chodzić do Union School każdego
ranka, trzymając prawą rękę mojego
dziadka. Innymi słowy nie chcę
niczego innego. Albo może tylko trzech rzeczy:
być wystarczająco mądrą, żeby czytać po angielsku
i wystarczająco odważną, by ukarać księżniczkę
za to, że się zgubiła, i wystarczająco miłą, by
nie drwić z dziewczynki z Węgier
z jasnoczerwoną kokardą we włosach, która
zawsze rysuje koty z ośmioma łapami.

Sen emigrantki

To powracający sen, w którym jestem zagubiona.
Próbuję mówić, ale żadne słowa nie wychodzą z moich ust.
Wiem, że powinnam gdzieś być, ale nie wiem
gdzie. Do mych uszu dobiega głos
kobiety – jednocześnie kojący
i groźny. Mówi szeptem,
powoli, rozważnie. Nie widzę jej.
Już wiem, że niczego nie mogę być pewna.

To powracający sen, w którym nie mam rodziny.
Obserwuję matki, ojców, synów i córki –
– mijają mnie bez słowa i bez jednego
spojrzenia. Wybaczam każdemu z nich
to porzucenie. Nie czuję nienawiści ani złości.
Wszyscy inni w tym śnie mówią, że powinnam.

To powracający sen i boję się, że będzie
trwał, nawet gdy się obudzę.
Poruszam się ostrożnie po krawędzi snu,
jakby był tygrysim okiem, które rozszerzyło się
do samej czerni. Czuję
łagodny, ale zimny wiatr na twarzy.
Głos kobiety szepcze: jesteś w domu.



Milcząca

Moja mama nigdy nie opowiadała mi bajek.
Przerażały ją i wierzyła w ich
prawdziwość: fantastyczne stwory, które mówiły
i, rzekłszy słowo, zamieniały się w ludzi;
wspaniałe zamki, które rozwiewały się jak chmury;
zli czarownicy, którzy przemieniali słomę w złoto,
a ususzone mleczko w martwe dzieci.

Pamiętała historie opowiadane jej przez babcie,
ale chciała je zapomnieć, zastanawiając się przy tym,
czy nie była kimś innym – nieujarzmionym,
przybranym w klejnoty ognistym ptakiem, księżniczką,
zaczarowaną, by posłubić nie tego człowieka.

Moja mama się bała. Bała się, że gdy
opowie bajki powietrzu, powietrze
jej posłucha i przywiąże je do niej.
Wszystkie śmierdzące potwory, powykrzywane
wiedźmy. Ale też przystojnych księżąt
magiczne suknie, ogniste naszyjniki zakłete w bryłach lodu.
Dla niej te opowieści o pięknie były najbardziej
niebezpieczne: łagodne słowa, które kusily,
które uwodziły, ale trzymały ją na dystans.

Mama odmawiała wypowiedziania słów
mitu, słów małego, ukrytego serca,
czekającego, by je odkryć. Próbowалам
odkryć je sama – w wietrze
wiejącym za oknem, w zmęczonych
gałęziach, próbujących wymyślić niebo na nowo,
w śpiewającym księżycu, który spogląda
w moje szeroko otwarte oczy, pełne brązu, błękitu i zieleni.
Kolory ziemi, nieba, oceanu. Kolory
moich oczu takie same jak jej, milczącej.

tłum. Dorota Wieczorek

Przekłady wierszy powstały w ramach zajęć z przekładu literackiego prowadzonego w ramach studiów anglistycznych w Akademii Techniczno-Humanistycznej w Bielsku-Białej przez dra Tomasza Markiewkę w semestrze letnim w roku akademickim 2018/2019.

Uczestnikami seminarium byli: Ewelina Borowska, Mikołaj Buczek, Kacper Kopyść, Michał Lewandowski, Tomasz Łabaj, Łukasz Łopata, Szymon Omyła, Mateusz Stypuła, Dobra Ucińska, Ekaterina Vasileva, Dorota Wieczorek, Maria Witos, Paulina Włodarska.

„W śląskich rodzinach zawsze kobieta cieszyła się szacunkiem, to ona znaczyła znakiem krzyża wychodzących do pracy w kopalni męża i synów, ona dbała o ład i porządek w rodzinach, błogosławiła chleb. Wprawdzie oficjalnie to ojciec miał największą rolę i był najwyższym autorytetem, ale pracował w hucie czy kopalni większość dnia, wracał zmęczony, więc jednak prym wiodła kobieta. Ona też kształtowała charakter i dusze młodego pokolenia, uczyła języka i modlitwy, nawet w najtrudniejszych warunkach życiowych pielęgnowała polską mowę. W latach powstań i plebiscytu na Górnym Śląsku włączyła się czynnie w działalność propagandową, oświatową, a nawet militarną” – tak rozpoczęła swój wykład 19 czerwca 2019 roku w Muzeum Śląskim prof. Krystyna Heska-Kwaśniewicz. Interesujące w zarysowanej perspektywie wydaje się przyjrzenie żonom, matkom i babciom wybitnych Górnoszlązaków: Juliuszowi, Janowi i Stanisławowi Ligoniu.

Ich zasług dla przyłączenia Górnego Śląska do Polski nie trzeba nikomu przedstawiać. Jeszcze wtedy, kiedy pruski dryl nękał synów śląskiej ziemi, kiedy Otto von Bismarck wprowadzał Kulturkampf, a nadziei politycznych na przyłączenie praktycznie nie było, zarówno Juliusz, protoplasta rodu, jak i jego syn Jan, usilnie pracowali nad polską świadomością Ślązaków, budząc ją w ich sercach poezją, legendami, powiastkami i różnorodną publicystyką, organizując czytelnie czy amatorski ruch teatralny. Później, kiedy Rzeczpospolita odrodziła się po nocy zaborów nie było gorliwszych orędowników włączenia w jej granice Górnego Śląska. Powstania i plebiscyt zmobilizowały Stanisława Ligonia zarówno do walki propagandowej, która najdobitniej objawiła się w fenomenie powstałego wówczas czasopisma „Kocynder”, jak i w bezpośrednie zaangażowanie w działania powstańcze. Autor *Berów i bojek śląskich* walczył o polskość Śląska jako radiowiec, późniejszy dyrektor Polskiego Radia w Katowicach, malarz, ilustrator, nauczyciel, dramaturg, scenograf, czy organizator życia kulturalnego. Dość powiedzieć, że jako posiadacz nietuzinkowej osobowości, znakomity gwiazdciarz i humorysta, zyskał taką popularność u Ślązaków i taką nienawiść, ze strony wroga, że: „Już jesienią 1920 roku miała miejsce pierwsza próba zamachu na jego życie, na szczęście nieudana” – pisał A. Konieczny.

Jak w takim razie w losy tych wybitnych Ślązaków wpisały się ich żony. Co wiemy o „Ligońkach”, bo tak na Śląsku zwykło się je nazywać. Jak przedstawili nam je badacze *Prostej linii rodu Ligonów*? Wreszcie jaki wpływ miały na losy swoich najbliższych, na ich



Ligoniowy babinec

Fot. ze zbiorów Andrzeja Sasa-Jaworskiego

„A u ich boku cicha patriotka”

Kobiety rodu Ligonów

PIOTR SKOWRONEK

charaktery, poglądy postawy?

„Ożenił się prądzki kowal (Franciszek Ligoń – PS) dość późno jak na owe czasy, w dwudziestym dziewiątym roku życia, z dziewczyną z sąsiedniej wsi, Ślązatką, Skibianką z domu. W niespełna rok potem, 28 lutego 1823 roku, przyszedł na świat pierwszy syn, któremu nadano imię Juliusz. Potem w krótkich odstępach czasu, niemal zgodnie z porządkiem „co rok to prorok”, powiększała się rodzina Ligonów. Gdy najmłodsze dziecko miało jeden rok, matka osierociła ledwie odrastającą od ziemi czwórkę” – napisał Gabriel Zych w opowieści biograficznej i losach Ligoniewego rodu. Pamięć o prapraprababci Karlika z „Kocyndra”, bo taki pseudonim przyłągnął do Stanisława Ligonia, ginie w mrokach dziejów. Nie znamy nawet jej imienia. Wprawdzie genealodzy potomków Sejmu Wielkiego oznaczają je inicjałem N. Jednak to nic pewnego. Pewne jest natomiast, że dała życie czworgu swoich dzieci, wśród których był Juliusz, jako pierworodny. Zapewne przy tak wczesnej śmierci nie mogła przekazać mu zbyt wiele z wychowania, jednak sama jej ofiarność mówi wiele. Dwa lata po śmierci matki poszedł Juliusz do szkoły w pobliskim Trzebinie, a tam wspominany dożgonnie nauczy-

ciel Radoszka nie tylko nauczył go pisać i czytać w ojczystym języku, ale wszczepił w serce chłopca miłość do Polski i jej historii oraz wielką atencję wobec literatury, którym pozostał wierny na zawsze. Z ojcowskiego domu wyrusza młody kowal Królewskiej Huty, by następnie odbyć służbę w wojsku pruskim w Nysie. Jednak po powrocie za polskie poglądy polityczne wkrótce zostaje zwolniony z pracy. „Znalazł się więc Juliusz Ligoń w kłopotliwej sytuacji zwłaszcza, że był już żonaty i miał kilkumiesięczne dziecko” – komentuje Gabriel Zych. I dalej: „Związek małżeński z Teresą Kawkową, pochodzącą z podopolskiej wsi Osowiec, a pracującą w Królewskiej Hucie jako służąca w domu werk mistrza Brendla, zawarł w styczniu 1851 roku, a syn, któremu nadano na imię Jan, przyszedł na świat w niespełna rok, 27 grudnia”.

Juliusz z rodziną przenosi się za chlebem do huty „Andrzej”, gdzie mieszka przy ulicy Wajdy. Tam prócz ciężkiej pracy fizycznej prowadzi ożywioną działalność społecznikowską. Zakłada „Kółko Czytelnicze”, będące załącznikiem pierwszej na Górnym Śląsku polskiej biblioteki, prenumeruje czasopisma polskie, które z wielkim zaangażowaniem upowszechnia. Wreszcie rozpoczyna publi-

kację wierszy, najpierw w „Gwiazdce Cieszyńskiej” i „Gazecie Górnos Śląskiej”. Działa w Towarzystwie Pożyczkowym i założonym przez Karola Miarke „Kółku Polskim”. Zych przypomina: „W ciągu sześciu lat od przeniesienia do Zawadzkiego powiększyła mu się rodzina, najpierw o dwóch synów, Adolfa i Rudolfa, a w końcu o długo oczekiwaną córkę, Matyldę”. Jednak im bardziej popularność Ligonina na Górnym Śląsku rosła, tym ostrzejszych mógł spodziewać się represji. Pierwszą i niezwykle skuteczną wobec pełnienia podstawowej funkcji, jak to się mówi, jedyne go żywiciela rodziny była utrata pracy. Możemy tylko przypuszczać jakie, wobec czwórki dzieci i niepewnego losu uczucia towarzyszyły Teresie Ligoniowej. Codzienna ciężka praca nad wyżywieniem, opraniem rodziny i oporządzeniem domu, który śląskim zwyczajem musiał być niezwykle czysty; liczne wizyty gości wobec patriotyczno-społecznikowskiej pasji męża; kłopoty i frasunki dnia codziennego składały się na jej kobiecy los. Być może nie raz załamywała ręce, a z jej ust wyrwała się skarga, jednak wiernie trwała u boku męża, podtrzymując śląskie wartości, wśród których żarliwość religijna była ważna, jeżeli nie pierwsza. Oczywiście łatwo pokusić się o próbę idealizacji, jednak gdyby nie podzielała poglądów męża, nie była jego ostoją i podporą, nie pisałby z takim przekonaniem w wierszu *Ojczyzna*: „To serce wszystkich dla ojczyzny bije,/Niby dzwon z wieży, pociechy i żale,/Bo w nim duch jeden, jedno czucie żyje,/ I jedna wiara i kościół na stałe”.

Po zwolnieniu z pracy Juliusz z ciężkim sercem powraca z rodziną do Królewskiej Huty. Zatrudniony w niej zostaje również syn Jan, jednak sytuacja materialna rodziny jest nadal bardzo trudna. „Zwierzył się ze swych obaw Ligoń – pisze Zych – zyczliwemu znajomemu, doktorowi Franciszkowi Chłapowskiemu, a że skarżył się jednocześnie na dolegliwości świadczące o rozwijającej się chorobie płuc, przyszedł mu lekarz–działacz i filantrop na pomoc i umożliwił kupno na długoterminowe spłaty starego domku przy ulicy Krzyżowej, który od kilku czy nawet kilkunastu lat stał opustoszały, choć nadawał się jeszcze do zamieszkania”. Tak opisuje siedzibę Ligoniowej rodziny jej biograf: „Między szpetnymi, nieotylnymi blokami dla robotników dom ten stanowił niemal osobliwość. Uroku dodawała mu opierająca się na dwóch kolumnkach mansardka oraz pnące się dzikie wino. Stał się ten dom dla kowala–poety na długie lata oazą spokoju i wytchnienia w centrum zgiełkowego, przy zakładach przemysłowych powstałego miasta”. Tam w Ligoniu rozgorzała nowa pasja prowadząca do krzewie-

nia poczucia polskości – teatr. „Zaprzężył się z miejscowymi nauczycielami, którzy na zmianę reżyserowali sztuki, podsunął im syna Jana, który okazał się zdolnym aktorem i reżyserem, a później kolejno pchał do amatorskiego aktorstwa swe dzieci: Adolfa, Rudolfa i Matyldę. Tylko Pani Teresa, Ligońka, jak ją nazywały sąsiadki, zwolniona została z przedstawiania w Kółku”.

Jednak dom ten stał się również miejscem rewizji, konfiskaty księgozbioru Juliusza, a nawet materiałów piśmiennych, kiedy Ligoń opowiedział się za jednością Śląska i Wielkopolski w walce o podniesienie świadomości narodowej Polaków, a przeciwko trzymaniu przemysłu w rękach niemieckich. Po raz kolejny przypłacił swoje poglądy utratą pracy, długotrwałym procesem, grzywną i wreszcie utratą zdrowia – nawrót choroby płuc, ogólne wyczerpanie, przepuklina. Nie poddał się jednak śląski kowal nigdy.

Kiedy pierworodny syn Jan, najbliższy sercu Juliusza, kontynuował jego walki o polskość w poezji i na scenie wraca do domu po odbytej służbie wojskowej rodzice postanawiają, że już czas na ożenek: „Pojechali w lecie 1877 roku wszyscy troje do rodzinnej wsi Ligoniowej (Osowiec) i tam poznał Jan dwudziestoletnią Reginę Podstawę, dziewczynę ładną i wedle opinii sąsiadów gospodarną, choć nie wiadomo z czego tak wnioskowali, bo możliwości wykazania swych umiejętności nie miała, będąc biedną jak przysłowiowa „mysz kościelna”. Ale Ligoniowie sami przywykli do biedy, że żadnemu chyba na myśl nie przyszło, żeby rozglądać się za posażną towarzyszką życia. Zresztą, może to i dobrze było, że Regina była córka „komorników”, bo w innym wypadku, nie wiadomo czy by się zdecydowała wyjść na stałe niepewnego jutra robotnika, a Janowi z miejsca bardzo się podobała”.

Ślub nie odbył się jednak w tym samym roku raz ze względu na zaangażowanie polityczne Juliusza, którego po raz kolejny zwolniono z pracy, dwa z powodu wypadku, któremu uległ w kuźni. Rozpalony kawałek żelaza uszkodził mu oko, powodując trwałe inwalidztwo. I tak skromne warunki materialne Ligonioń stały się teraz dramatyczne. Próbował im zarządzić Jan, jednak planowane małżeństwo musiało zanieść. Dopiero kiedy drugi syn Adolf poszedł na swoje, a córka Matylda opuściła dom udając się na naukę szycia, małżeństwo zostało zawarte. „Ślub – pisze Zych – odbył się w Ossowcu, zjechały całe rodziny młodych, wesele było ubożuchne, ale – jak nakazywała śląska tradycja – rozśpiewane i roztańczone”.

Przy ulicy Krzyżowej w Królewskiej Hucie zamieszkała więc Regina Ligoniowa wraz z mężem, teściami i najmłod-



Wilhelmina Wanda Geelhaar, żona Stanisława Ligonina

szym ze swoich szwagrów Rudolfem. Jak poprzedniczki musiała być twarda, zaradna i gospodarna, a przy tym oddana mężowi i posłuszna teściowej. Pewnie śląskim zwyczajem, okazując głęboki szacunek używała wobec teściów formy trzeciej osoby liczny mnogiej zwracając się do nich per „oni”. Jednak, kiedy wkrótce urodziła się dziewczynka, której na imię dano Maria, „oni” profesor Krystyna Heska-Kwaśniewicz czyli Juliusz Ligoń – zdaniem biografów nie byli zadowoleni. „Nie liczyły się w ogóle dziewczęta – komentował Gabriel Zych – które wychodząc za mąż tracą nazwisko i nie stanowią przedłużenia rodu. Dlatego wszyscy Ligoniowie odetchnęli z ulgą, gdy w niespełna rok później, 27 lipca 1879 roku, przyszedł na świat upragniony chłopiec. Dano mu na imię Stanisław. Prawdę mówiąc, na postronnych osobach dość zabawne wrażenie może robić troska o spadkobiercę, gdy nie ma absolutnie nic do dziedziczenia”.

Już pięć lat później Jan dziedziczy niejako los ojca i wyrzucony za agitowanie na rzecz Polski z pracy udaje się za chlebem pod Lwów do Sambora, a po roku do Pomiarek koło Truskawca. W Galicji są już jego bracia Adolf i Rudolf. Tam też znajduje pracę najpierw w administracji zdrojowej, a później w rozwijającym się przemyśle naftowym. Dzieci rozpoczynają naukę w szkole ludowej, ale kończą ją w Bytomiu wracając na Śląsk wobec pogarszającego się zdrowia dziadka. „Jesteśmy znów w domu” – powiedział podobno Jan Ligoń, gdy wszyscy czworo usiedli na rozrzuconych na środku pustej izby tłumokach. W książce *Karlikowy dom* napisał: „Do małego domku [przy ul. Krzyżowej] powrócili z wygnania dzieci i wnuki, a z nimi weszła



Stanisław Ligoń z żoną Wandą i córkami

znów radość i szczęście dla steranych ciężką pracą starzyków”. Niestety błogostan widziany oczyma dziesięcioletniego dziecka trwał bardzo krótko, bo raptem kilka miesięcy.

Juliusz zmarł 17 listopada 1889 r. i pochowano go na cmentarzu przy parafii św. Barbary w Chorzowie. Jak zauważają biografowie był to niezmiernie trudny czas dla Jana, bo oprócz ojca stracił w jego osobie przyjaciela i powiernika. „Przeżywał Jan kilkuletni okres ciężkiej depresji i w tym czasie pracował, bo trzeba było z czegoś żyć. [...] A w domu tak jak u rodziców bieda aż piszczała. Jan Ligoń junior, we wspomnieniach swych tak pisał po latach: „Z podziwem patrzymy dziś na matkę, jak na czarodziejkę, która w granicach miesięcznego dochodu ojca, 50–80 marek, potrafiła osiem osób nakarmić wystarczająco i przyzodziać pedanteryjnie choć skromnie. Magiczny ten klucz dziś dla nas leżał w jej bogatej pomysłowości i zaradności. [...] Ówczesne warunki bytowe nauczyły ją surowego realizmu i wyłącznie praktycznego podchodzenia do życia – zauważył Zych. Polityczne ideały ojca były dla niej nieżywcio i komplikowały domowe sprawy, spoczywające wyłącznie na jej barkach. Kochała jednak ojca takim, jakim był, bowiem pobudzało to jej ambicje i dumę rodzinną. Pozostawiała go też w tym świecie dumań, w książkach i gazetach. Ale nieraz w chwilach ostrzejszych kryzysów, braków środków do życia, dawała wyraz chwilowej bezradności i niecierpliwości, zwracając się do ojca; „Ty się tylko zagrzebujesz w te swoje szpargały, a nie myślisz o lepszych zarobkach i lepszej przyszłości dla dzieci. [...]”. „Babskie gadanie” – mawiał podobno w takich okolicznościach Jan Ligoń i w jakimś stopniu miał rację, gdyż nie przejawiając specjalnej troski o sprawy bytowe, dziećmi się przecież interesował”.

Wydaje się, że ten podział obowiązków zagościł już w Ligonów na dobre.

Mąż pracował, bo musiał jakoś utrzymać dom, jednak sercem i pasją bliżej mu było do społecznika, literata, czy artysty ale celem jego działań była zawsze Polska i tęsknota za nią, krzewiona w publikowanych wierszach i legendach, odezwach i apelach, w bogatej korespondencji, w zakładanych bibliotekach i czytelnich i coraz częściej na scenie. Kobiety jednak były podporą codziennej egzystencji, dbając o rzeczy podstawowe, nie tylko zabezpieczały powrót z „pola walki” w bezpieczne schronienie, ale dodawały do niej siłę, swoją cichą akceptacją. Musiało im być niewyobrażalnie ciężko. Nieustanne zagrożenie utratą marnie opłacanej pracy, szykany, troska o jutro są możliwe do wytrzymania tylko w obliczu niczym nie zmaconej wiary i głębokiej, prawdziwej miłości. Jej blask widać w dziecięcym wspomnieniu Stanisława Ligoniego, który w *Berach i bojkach* wspominał: „Z rozrzewnieniem każdorazowo wspominam te czasy, kiedy jako dzieciak wyprawiany przez matkę z wieczorzą do tatulka, zastawałem w maszynhauzie gromadę was, spracowanych po szychcie, niespieszających się do rodzin, a wsłuchanych w opowiadanie o naszych dawnych dziejach. Nic tych nabożeństw nie przerywało”. Po dziadku Juliuszu i ojcu Janie, którzy pracowali fizycznie Stanisław wybrał własną drogę w życiu. Chciał być artystą. Upór w tym względzie był godny podziwu. Zapytany o to, kto w dziesięcioletnim chłopcu powracającym z Galicji odkrył talent malarski, wnuk Stanisława Ligoniego Andrzej Sas-Jaworski odpowiada krótko: „On sam i to już jako chłopak po szkole podstawowej”.

Mocne musiało być przekonanie Stanisława, bowiem „wycofany” ze szkoły pod presją gorliwego germanizatora nauczyciela Nowotnego, który zabraniał języka polskiego stosując do tkliwe również kary cielesne: „stara się nie przerywać pracy samokształceniowej. Jest w tym czasie gońcem w księ-

garni, a w godzinach popołudniowych uczniem w zakładzie malarskim Zygmunta Majchrzakowskiego w Bytomiu. [...] po dwóch latach udaje się do Poznania, gdzie w większym zakładzie Szpetkowskiego zdobywa wstępne wiadomości z zakresu sztuki. Interesuje go szczególnie malarstwo kościelne (polichromia)” – odnotował Edward Wichura-Zajdel. Jakaż musiała być determinacja kilkunastoletniego Stanisława, jakie przekonanie o celowości wybranej drogi życiowej, skoro zarobione pieniądze przeznacza na dalszą edukację najpierw w Krakowie, a potem próbuje swoich sił w Berlinie. Biografowie bardzo malowniczo przedstawiają losy przymierającego głodem studenta malarstwa zafascynowanego urodą i artystyczną bohemą Krakowa. Jednak przeciwności zdają się tylko wzmacniać wybór Stanisława.

„Pojechał do Krakowa ze swoich oszczędności – wspomina wnuk Andrzej – bo pracował przez kilka lat w zakładzie malarskim J. Szpetkowskiego w Poznaniu. Pieniądze mu się skończyły i musiał wracać. Podobno babcia tam pojechała i kiedy zobaczyła, w jakich warunkach mieszka, zabrała go do domu. Po powrocie powiedział, że do kopalni nie pójdzie, że on chce być artystą, że on czuje, że chce malować. Odbyła się narada rodzinna, jakieś pieniądze mu musieli dać i pojechał do Berlina na Akademię Sztuk Pięknych”.

„Czy wykształcenie w Berlinie jakoś formalnie się zakończyło?” – zapytałem. „Nie, on nie ukończył dyplomu” – odpowiada pan Andrzej – a, kiedy pierwszy raz był w Krakowie to była Szkoła Rzemiosła Artystycznego na poziomie średnim. Nie poznamy już dzisiaj wszystkich szczegółów owej decyzji, ale wśród licznie mieszkającej tam wówczas Polonii 21-letni Stanisław nie tylko pracuje, uczy się i zawiera bogate znajomości ale poznaje swoją przyszłą żonę Wilhelminę, Teodorę, Aleksandrę, Wandę Geelhaar. Zabawnie opisuje zachody naszego absztyfikanta Gabriel Zych: „Gdy jednak spostrzegł [Teodor Geelhaar, ojciec Wandy], iż zainteresowanie jego córki tym gołym jak święty turecki, plebejskiego pochodzenia, a w dodatku o pospolitej chłopskiej powierzchowności malarzem wykracza poza normy towarzyskiej uprzejmości, na wszelki wypadek chciał zamknąć przed nim dom. Ale było już za późno”. Ostatnią, nieudaną próbą powstrzymania związku było wysłanie Wandy do rodziny na Kaukaz. Jednak ta pod byle pretekstem już wkrótce wróciła do Berlina.

W Ligoniowej historii rodzinnej nie wyglądało to tak malowniczo: „Po prostu rodzice nie chcieli wydać jej za niego. Wiadomo on bez grosza. Matka [Karolina Żebrowska] pochodziła z ziemian-

skiej rodziny, więc po prostu ją wydziedziczyli” – wspomina wnuk Stanisława Ligonia. Nie przeszkodziło to jednak ani w gorącym uczuciu, ani w przypieczętowaniu go sakramentem małżeńskim 14 listopada 1903 roku w berlińskim kościele św. Jadwigi. Chyba tylko młodość i miłość potrafi być tak szalona, ale co by o Stanisławie nie powiedzieć, jego dziadek i ojciec, w podobnym wieku i z podobną zawartością kieszeni stawiali na ożenek. Nie wiemy tylko, czy Stanisław konsultował swoją decyzję z rodziną, chociażby korespondencyjnie, jednak młodzi już wkrótce wrócili na Śląsk, do Bytomia, gdzie Ligoń miał obiecaną pracę ilustratora.

Miał Stanisław Ligoń lekką tremę wioząc swą elegancką żonę na rodzinny Śląsk. Ale wszystko przeszło gładko. Jaśnie panienska z podolskiego dworu ucałowała ręce chłopki z Osowca pod Opolem i weszła do rodziny. Żyła w tej rodzinie przez równe pół wieku. Była przez wszystkich bardzo kochana i takim samym uczuciem odpłacała za serdeczne przyjęcie – pisał Gabriel Zych. Nie wiadomo, czy widoczna tu subtelna ironia wynikała z „robotniczo-chłopskiego” czasu publikacji tekstu, czy też jej źródłem jest właśnie Ligońowy mezalians.

Przyjechali z dziadkiem z powrotem na Śląsk no i skromnie, bardzo skromnie żyli – wspomina zamyślony wnuk Stanisława. Skromność wynikała oczywiście z braku odpowiedniego zatrudnienia i wynagrodzenia, a posada ilustratora w mikołowskim wydawnictwie na niewiele wystarczała, tym bardziej, że Ligoniom rodzi się pierwsza córka Irena, a w Stanisławie budzi się wyniesiona z domu natura społecznikowska. Pełen werwy i entuzjazmu angażuje się w ruch teatralny, którego efektem było utworzenie Górnośląskiego Towarzystwa Teatrów Amatorskich „Ul”, zostaje prezesem Towarzystwa Śpiewaczego „Harmonia” w Mikołowie, gdzie gromadzi bibliotekę muzyczną, do tego nie zaniedbuje swoich pasji plastycznych zaglądając często do ukochanego Krakowa. Jeszcze w Bytomiu przychodzą na świat Helena i Wanda, w Mikołowie rodzi się Stanisława, a w Krakowie, do którego Ligoniowie przeprowadzają się na wiosnę 1912 roku, Krystyna. Tam żyjąc w dalszym ciągu z uposażenia ilustratora i dorywczo sprzedając prace malarskie rozpoczyna Ligoń studia pod okiem Józefa Mehoffera na Akademii Sztuk Pięknych kierowanej wówczas ręką samego Jacka Malczewskiego.

Nie wiemy, jak ten błyskawiczny rozwój rodziny przyjmuje Wanda. „Ciągłe w drodze, ciągle z małym dzieckiem na ręku i gromadką przy boku, annały rodzinne donoszą, że nie były to wszystkie szczęśliwe porody, że dwa razy Ligoniowie oczekiwali męskiego potomka –

ale nie wiem, czy to do końca prawda” – zastrzega się w rozmowie wnuk Andrzej.

Zachowały się z tego okresu wspomnienia córki Heleny, które uchylają rąbka tajemnicy: „W domu bywały przeróżne kłopoty. Najczęściej materialne. Czasem Miarka spóźnił się z przesłaniem pieniędzy, a czasem choroba pochłonęła skąpe oszczędności. Ojciec zasepiał się wówczas bardzo, chodził przygnębiony i milczący. Oczywiście odbijało się to na nas. Wychodzi siostra z pokoju i szlocha. Czemu płaczesz pytam? No, bo mama płacze. Więc zaraz i ja zaczynam beczeć. I już Wanda się przyłącza, zalewamy się łzami. Wchodzi mama: co się stało? No bo mama płacze... Oj głupty, głupty, zdawało wam się, to tylko dym z garnków poszczypał w oczy, uszy do góry! Już po wszystkim. I tylko ojciec nadal milczał tak jakoś dziwnie. Czuł się dziwnie odpowiedzialny za los naszej szóstki”.

Rodzinną empatia objawiała się również w zabieraniu dziełczynek na plener malarski, czy rozprzeczaniu obrazów za bezcen. Finansowo Ligoniów poratowała propozycja malowania polichromii w podczęstochowskich Truskolasach. Wydaje się, iż był to najszcześliwszy, zaledwie trzyletni okres w ich życiu, pomimo tego, że właśnie tam stała ich wojna. Oprócz realizacji zamówienia i kilku innych propozycji malarskich kwitła wówczas rodzinna praca społeczna. Ligoniowie założyli w domu polską szkołę społeczną i zajęli się nauczaniem chłopskich dzieci. Wybudowali „Dom Ludowy” z biblioteką i salą teatralną, w pobliskich wsiach zorganizowali biblioteki nakłaniając mieszkańców do czytelnictwa i oczywiście powołali do życia amatorski zespół teatralny, w którym rodzinnie uczestniczyli, obsadzając role, przygotowując scenografię i reżyserując. Prowadzili barwne życie towarzyskie. Dość wspomnieć, że miejscowa aptekarzowa Kosztulska na imieniny otrzymała z rąk Stanisława grubą tekę karykatur oprawnych w skórę, tak że przypominała piernik z migdałami. Działalność społeczno-kulturalno-oświatowa zjednała mu być może więcej uznania i szacunku niż pozostawione w różnych miejscowościach polichromie i obrazy różnej treści – zauważają truskolascy kronikarze. Los jednak przestał być łaskawy, i rodzinę zaczęły nękać lata rozłąki. Pierwszą za sprawą wcielenia w szeregi wojska pruskiego rozpoczęła się, kiedy pojechał odwiedzić do Bytomia matkę po śmierci ojca. Z wojennej opresji wybawiła go sztuka.

„Po wojnie – jak wspomina Helena Mieczkowska – mieszkaliśmy z matką i siostrami w Częstochowie. Ojciec był z nami bardzo krótko, bo rozpoczęły się bowiem przygotowania do plebiscytu. Siedział więc całymi dniami w Bytomiu, w „Kocyndrze”, organizując tę świetną

broń w walce o polskie głosy”. Ostrze Ligoniowej satyry, tej pisanej i tej rysowanej było tak ostre, że rozjuszeni do żywego Niemcy już w 1920 roku wyznaczyli nagrodę pieniężną za jego głowę. A to dopiero był początek działalności agitatorskiej i krzewienia idei polskości śląskiej ziemi. Jednak i małżonka Stanisława wówczas nie próżnowała. Pielgrzymi na Jasnej Górze kierowali się bowiem do jadłodajni, a – jak pisze Zych – „Kierowała tą tanią kuchnią Wanda Ligoniowa, a wszystkie cztery córki, z których najstarsza Irena, miała dziewiętnaście, a najmłodsza Krystyna osiem lat, pracowały jako kelnerki. Podając talerze z gorącą zupą kładły jednocześnie na blatach stolików ulotki. Przyniesiona do domu razem z pamiątkowym szkaplerzem i poświęconym obrazkiem z Częstochowy kartka z hasłem „Głoszę za przyłączeniem Śląska do Polski!”, wywierała daleko silniejsze wrażenie, niż dziesiątki tych samych kartek doręczonych w innych okolicznościach”.

Po politycznym rozstrzygnięciu i przyłączeniu części Śląska do Polski wraca Stanisław Ligoń do Katowic i sprowadza do nich rodzinę. Zostaje nauczycielem rysunku w Gimnazjum Adama Mickiewicza i rzuca się w wir pracy społeczni-kowskiej: teatru, muzealnictwo, malarstwo, a nawet posłowanie na sejm, ale jego żywiołem już wkrótce stanie się radio. Tam jako Karlik z „Kocyndra” poprowadzi audycje, które Niemców czyhających na niepodległość Polski doprowadzą do furii i białej gorączki. A prowadzi je z humorem i klasą najwyższej próby, zawsze zdolny do obnażenia mactwa wroga. W zemście za zorganizowanie zbiorki na czołg dla wojska tak zwany „zeleźniok” Karlika, w zemście za obronę polskości nie wystarczy już głowa Ligonia, hitlerowcy chcą go poniżyć, obwołując symbol śląskiej popularności w klatce po ulicach Katowic. Nie udaje się im to jednak, bo Ligoń wraz z żoną w ostatniej chwili wymyka się z miasta, a wkrótce opuszcza i Polskę, by po długiej wędrówce – Węgry, Bałkany, Grecja, Turcja – pod przybranym nazwiskiem Franciszek Druźbaczki osiąść na uchodźctwie w Jerozolimie. Uchodźctwie tym straszniejszym, bo samotnym.

Ta rozłąka tak daleka i nieludzka obojgu Ligoniom musiała wydawać się najboleśniej. Stanisław zachodził w głowę o losy żony i córek, a otrzymywał zaledwie strzępki informacji i Wanda, która drżała o losy męża i ojca swojego babcia, niepewna jutra.

„Babcia z trzema córkami i wnucami, których mężowie i ojcowie z wojny już nie wrócą, ukrywała się u znajomych i dobrych przyjaciół w Sulejówku” – wspomina tamte czasy Andrzej Sas-Jaworski. „Jednym z najważniejszych

i najradośniejszych wydarzeń z okresu mojego wczesnego dzieciństwa – pisał – był długo oczekiwany i szczęśliwie zakończony powrót dziadka. Zakończyły się wreszcie wielodniowe narady rodzinne, kasandryczne rozważania, czy aby nie spotka go tutaj jak innych jakaś krzywda. Jak go przyjmą nowe władze. Czy za swoją aktywną działalność w II Korpusie gen. Andersa będzie przesładowany i być może znajdzie się w więzieniu? Dziadek starając się o możliwość powrotu, odrzucił wszelkie tego typu spekulacje stwierdzając deklaracyjnie, że nie wyobraża sobie sytuacji aby w Polsce, jakkolwiek by ona nie była, mogłoby go spotkać coś złego. Miał rację, nie ruszyli go, chociaż pewnego dnia miał jednak miejsce niemiły dla niego incydent. Kiedy wracał z radia do domu został zatrzymany przez UB i poddany wielogodzinnemu przesłuchaniu. Wrócił nocą, roztrzęsiony, bez sznurowadeł i paska do spodni. Była to reakcja Ubecji na jego humorystyczną audycję radiową, prowadzoną w gwarze śląskiej, na temat „Porządków domowych”, a w szczególności na fragment tekstu śpiewanego przez Karlika. „Kiedy miotła wyżeniem wszystkie rusy i prusy”. Widać każda władza satyry boi się najbardziej, a zatrudniony w radio Ligoń nie mógł już sobie pozwolić nawet mimowolnie na takie żarty.

Babcia była taką osobą, która nie chciała specjalnie się udzielać towarzysko – przywołuje z panięci wspomnienia wnuk Ligonii. Chodzić z dziadkiem na jakieś przyjęcia. Dziadek pracował społecznie, a ona trzymała się raczej z boku. Mi się wydaje, że ona była bardzo skromną osobą. Wolała być w domu. Miała pięć córek więc miała co robić. Ale do domu również przychodziło masę ludzi i wtedy jak najbardziej była obecna, a dom był cały czas otwarty.

Ostateczna rozłąka państwa Ligonów była jednak zupełnie nieoczekiwana, bo pani Wanda zaginęła. Pytany jak do tego doszło pan Andrzej odpowiada. Do dzisiaj nie wiemy. Ona działała w spółdzielczości społecznej jako kontroler, bo po wojnie były takie kontrole. Była wycieczka do Warszawy. Pojechała na tą wycieczkę. Jej koleżanka mieszkała tam i mieszkała jeszcze teściowa ciotki, znaczy jej córki Mieczkowskiej. Ona tam siedziała u nich, nie wróciła do Katowic, przedłużyła sobie pobyt. Potem stamtąd nikomu nic nie mówiąc wyjechała, jak się okazało do Wrocławia, gdzie miała kuzynkę, ale do której nie dotarła. I znaleziono ją martwą i okradzioną ze wszystkiego w wagonie we Wrocławiu. Są jakieś tam podejrzenia, że ona samobójstwo popełniła, że się z dziadkiem pokłóciła i nie chciała wracać do domu, no ale to już mieli po siedemdziesiąt lat ponad



Wanda Ligonowa

– dodaje z wewnętrzną niezgodą na taki stan rzeczy. Była jakaś lekarska sekcja zwłok? – dopytuję. Nie, nie było. Zagięła i zakopali ją jako nieznaną osobę. Pamiętam jeszcze, jak ja wtedy z matką jeździłem. Tam mieliśmy liczną rodzinę we Wrocławiu. Chodziliśmy, szukaliśmy, aż w końcu matka znalazła babki płaszcz. Tak żeśmy (do niej) dotarli. Tak, że pogrzeb babci odbył się po pogrzebie dziadka, chociaż umarła wcześniej. Dziadka to wykończyło, on przez to umarł, serce wysiadło.

Oczywiście nie dowiemy się nigdy prawdy. Wydaje się nawet ona zbędna, jakoś nie na miejscu, niepotrzebna. To zbyt intymne doświadczenie, w które nie wolno ingerować.

Stanisław Ligoń umarł 17 marca 1954 roku. „Owe tłumy, oddające hołd jednemu z największych Ślązaków w historii, ciszę w momencie przejazdu karawanu zaprzęgniętego w kare, czy może siwe konie oraz bijący z twarzy mieszkańców Katowic doskonale pamiętam – napisał w reprimie *Wesela na Górnym Śląsku* Jan Malicki – stałem na chodniku wraz z matką obserwując żalobny kondukt. Czuło się przemijanie, epopeiczny moment odchodzenia kogoś, ale i czegoś, czego niebywałym symbolem był Stanisław Ligoń. Odchodził „nasz człowiek niezwykły” – jak mawiała moja matka – wkraczał zaś oficjalny świat tolerowania lokalności w nowej wschodzącej internacjonalności Polski. Kres tego modelu rodzimoci, który monumentalizował epizodyczność miejsca – „bo jesteśmy stąd”, ale też jego godności wartość. Wzmacniana naturalnym związkiem z przekształcaną, przeobrażaną i przystosowywaną do górnośląskich realiów kulturą polską..

Czekał zatem Karlik z „Kocyndra”

największy Polak wśród Ślązaków i Ślązak wśród Polaków, na swoją małżonkę Wandę ten jeden, najdłuższy w życiu czas. I są już razem w czarnej granitowej kwaterze grobu na katowickim cmentarzu przy ulicy Sienkiewicza, wielki Ślązak, a obok niego cicha patriotka.

*

Córki Państwa Ligonów Irena Wołek, Helena Mieczkowska, Wanda Czuma, Stanisława Sas-Jaworska i Krystyna Pietrykowska odziedziczyły z pewnością po rodzicach wiele, niestety nic z rozlicznych talentów ojca, bo męskiego kontynuatora rodu nie było. „W kilka tygodni po śmierci dziadka mama wspólnie ze swoimi czterema siostrami rozparcelowały dziadkową spuściznę” – wspomina wnuk po Karliku. „Nie podobało mi się to zbyt ponieważ wyczuwałem w tych zamiarach jakąś zakamuflowaną profanację jego osoby. Ale one miały rację. Były jego córkami i miały pełne prawo do pamiątek po nim. Ja dostałem to wszystko co mi dziadek przybiecał. A więc czarne biurko z szafką biblioteczną do kompletu i wszystkie pamiątki ofiarowywane mu w zakładach przemysłowych Śląska, które odwiedzał?”

Rozmawiamy w beskidzkim domu Andrzeja Sas-Jaworskiego. Gospodarz z dumą pokazuje mi widok za oknem. „Tam, gdzie ta wieża – mówi – to Skrzyżne, obok Szyndzielnia i Klimczok”. Do stóp łąsi się pies. Ze ściany patrzą portrety najbliższych. Zamyślona, o piwnych oczach babcia Wanda, bawiące się córki Stanisława Ligonii, a przy stole na niskim stołeczku siedzi żona pana Andrzeja, gościnnie, roziskrzona jakąś kobiecą, wewnętrzną radością. Wrócili tutaj z zagranicy, do siebie, na Śląsk. ■

Opowieść o 20 sierpnia 1939 roku, czyli rodzinny przekaz sprzed 80 lat

MARIAN GRZEGORZ GERLICH

Ta rodzinna relacja dotyczy pogrzebu, okazjonalnej manifestacji żałobników, późniejszego spontanicznego, rodzinno-sąsiedzkiego „przepijania skórki”. Dalej wspomnienia Zmarłego. Wreszcie podjętego w czasie tego smutnego spotkania zobowiązania o charakterze religijnym. A wszystko to związane było z momentem śmierci a później pochówku wybitnego Górnoszlązaka. Konkretnie tego, o którym powiadano, że

„on to przyprowadził Ślązek do Polski” bo tak oto niektórzy postrzegali Wojciecha Korfantego. Zarówno na górnośląskich wsiach, jak i w obrębie osad oraz osiedli plebejsko-miejskich okresu międzywojennego. Co ciekawe taki wyjątkowy wizerunek Korfantego jako polityka utkwiał także w przekazach ludowych na Opolszczyźnie, ziemi przynależnej po Plebiscycie do Niemiec. A także z upływem lat – w dobie gierkowskiej – w czasie owych „folklorystycznych inspiracji”, które zaowocowały opowieściami powstańczymi. Ale zawsze utkwiał w pamięci jako postać wybitna, chociaż niekiedy kategorię kontrowersyjną. Jego nagła śmierć – człowieka dojrzałego, ale zdrowego – owiana została nieomal od razu różnego rodzaju podejrzaniem. To był załątek swoistej mitologii o całym jego życiu i śmierci. A odszedł w momencie szczególnym, tuż przed wybuchem II wojny światowej. Wszak

zmarł 17 sierpnia 1939 roku

— jak donosiła ówczesna prasa — „o czwartej nad ranem w szpitalu św. Józefa, przy ulicy Hożej w Warszawie”. Prawie zawsze tylko tyle, i aż tyle. A była to postać niezwykła, wybitna i wielobarwna, która na pewno oczekuje nadal na współczesną, pełną i wiarygodną biografię. W momencie śmierci z całą pewnością zawładnął zbiorem wyobrażeń znaczącej części „ludu śląskiego”. Dla niego był niekwestionowanym autorytetem, nadto po prostu „człowiekiem stąd”. Z upływem lat możemy też rzec śmiało, że to postać wybitna nie tylko Górnego Śląska, ale i całej Polski. A jednak nie stał się ikoną naszej współczesnej wyobraźni, wzorotwórczą, postacią znaczącą dla skrajzeń intelektualnych i politycznych. W zanotowanych przeze mnie przekazach „typu ludowego” — do zbierania których zachęcała mnie, folklorystka, prof. Dorota Simonides — jest i taka notacja z 1978 roku: „*To był ktoś wielki (...). Całe jego życie to była jedna wielko udrynka, mordynga tako. Niemce go nienawidzili, boli sie go. Poloki za nic go mieli, najbardzi tyn Grażyńskiego chów (...). A na koniec go otruli. Tyla z tego życia miał...*”. Owo okre-

ślenie „Grażyńskiego hów” wynikało tu z niechęci do przyjezdnych, które znalazło wyraz w popularnej niegdyś piosnce, zanotowanej już przez proboszcza katowickiej parafii mariackiej bł. ks. Emila Szramka w 1934 roku, w znakomitym studium „*Śląsk jako problem socjologiczny. Próba analizy*”. Piosence o odsuwaniu ludności śląskiej i napływie „obcych”:

*Łakome, tłuste kąski,
Te posiadki górnośląskie.
Dalej na łów!
Precz Ociepka, Malik, Śmieja,
Bo tu jedzie Galilea-
Austriacki huf*

A ów „huf” to po prostu administracja, która — wedle narracji lokalnej — przybyła „za Grażyńskim” z Małopolski, czyli „owe niedobre urzędniki”. A powracając do przerwanej wątku, kilka dni po śmierci Korfantego odbył się

„wielki” pogrzeb 20 sierpnia

który według opinii jednego z moich katowickich rozmówców był wielkim wydarzeniem: „*Mie tam nie było, ojciec, matka byli. Ojciec prawdziwy powstaniec, nie taki farbowany. Mrowie ludzi było. Tyn pogrzeb się ciongnął przez całe Katowice (...), no dyc Katowice czegoś takiego nie widziały (...). Potym się godało po domach, że to było na pożegnanie Polski (...). Po tym już czegoś takiego nie było, coby ludzie sami szli. Wtedy szli. Bo widziecie łon umar a po tym Polska tyż umarła (...). A przeca mogli się chopy dogodać, a Grażyński nie chciół, nie rozumiał, Korfanty tyż nie...*”.

Tyle relacja zanotowana w katowickim Giszowcu w 1980 roku. Wiadomo, że owym uroczystościom przewodził biskup Stanisław Adamski, dodajmy postać wybitna obecna jeszcze w latach 80-tych ubiegłego stulecia, a może i dłużej w lokalnych gór-

nośląskich przekazach. Zachowywany był jego obraz jako dostojnika kościelnego — wszak był w Katowicach biskupem diecezjalnym — od 1930 roku, do śmierci w 1967 roku. Ale też postacią znaczącą w życiu byłego woj. śląskiego, także w czasie II wojny światowej, jak i w realiach PRL-u. Warto w tym kontekście odwołać się do jego studium z 1946 roku, potem wycofanego przez cenzurę: „*Pogląd na rozwój sprawy narodowościowej w woj. śląskim w czasie okupacji niemieckiej*”. Praca ta wyjaśnia wiele zagadnień narodowościowych i historycznych dwudziestowiecznego Śląska.

Dzień 20 sierpnia 1939 roku był podówczas odnotowany w lokalnej prasie, opisany, udokumentowany, lecz nader skromnie, bo „kończyła się staro Polska” Ale pozostawmy te uwagi na uboczu. Przejdźmy zatem do rodzinnego przekazu. Oto

wspomniana rodzinna opowieść

która dotyczy konkretnie 20 sierpnia 1939 roku, czyli owej letniej niedzieli tuż przed nadejściem niemieckiej nawałnicy. Wtedy to właśnie Korfanty spoczął w mogile na katowickim cmentarzu przy ulicy Francuskiej. Nie chcę się tu odwoływać do ówczesnych opisów tego dnia, także rezygnuję z jakichkolwiek odniesień do późniejszej literatury. Od dzieciństwa znałem natomiast opowieść, którą, ktoś z krewnych kiedyś nazwał „legendą”; ale i wiele innych znaczących wydarzeń rodzinnych w taki sposób określano. Jest pewną socjologiczną normą, że w każdej rodzinie opowiada się zdarzenia, które przekazuje się z pokolenia na pokolenie. Te opowieści mają swoją specyfikę folklorystyczną.

Oto moi dziadkowie po kądzieli czyli dziadek Alojzy (rocznik 1892) skarbnik w Piotrowickiej Fabryce Maszyn, zwolennik Korfantego, a raczej pozostający pod jego urokiem, ale za-

razem zwolennik „twardej polityki” Michała Grażyńskiego wobec Niemców, i babcia Maria, z kolei zauroczona postacią Marszałka, udali się wspólnie na pogrzeb śląskiego polityka. Tak zarządził dziadek. Babcia poszła pomimo, że bez męża pojechała cztery lata wcześniej na pogrzeb Piłsudskiego. To ona też zadecydowała, iż już w czasie życia Marszałka w pokoju gościnnym wisiał portret „Dziadka” siedzącego w wiklinowym fotelu. A na pogrzeb poszła także ich córka, z czasem moja matka, a także ich syn, z czasem mój ojciec chrzestny. Poza wspomnianymi na pogrzeb poszła także gospośnia Gertruda. Obie panie знаły i szanowały Wawrzyńca Hajdę, wszak obie pochodziły z Piekar Śląskich i chętnie opowiadały w czasach międzywojnia jego patriotyczne „godki”. A babcia zaraz po śmierci „Wernyhory Śląskiego” jego godki skrętnie zapisała i zbierała. W czasie pogrzebu Korfantego już w Katowicach dołączyła do nich zaprzyjaźniona miejscowa rodzina, choć rodem z Cieszyńskiego. Byli to „twarde ewangeliki” — jak sami o sobie mówili — co i ja po latach również z ich ust słyszałem. Potem okazało się, że w pogrzebie uczestniczył też Józef Iwicki. Postać niezwykła, bo długoletni dyrektor wspomnianej fabryki, rodem z Człuchowa na Pojezierzu Krajeńskim. On to (rocznik 1891) był absolwent niemieckiej politechniki, potem żołnierz armii pruskiej, potem saper i oficer Wojska Polskiego, uczestnik wojny polsko-bolszewickiej, w sędziwym wieku autor książki „Z myślą o Niepodległej. Listy Polaka żołnierza armii niemieckiej w okopach I wojny światowej 1914-1918”, czyli zbioru jego listów z tego okresu w opracowaniu Adolfa Juzwenki. Z tego powodu został laureatem nagrody „Polityki” z 1976 roku. Pod koniec swego życia z podziwem mówił mi o wiedzy młodego podówczas dr. Jana Fr. Lewandowskiego, który był też zainteresowany jego biografiami. Do wspomnianego konduktu Korfantego po jakimś czasie dołączyła też żona dyrektora Iwickiego; pani wykształcona, malująca akwarele, ale i działaczka charytatywna, na swój sposób ekscentryczna, wszak miała oswojoną kawę. Czasem owa kawka przylatywała na balkon pobliskiego domu moich dziadków. Wszyscy wymienieni szli w tłumie około 5000 żałobników. Do owych dwóch rodzin dołączył w pewnym momencie — choć na krótko znajomy lekarz — o roli, którego u zarania mojego życia nie wspomnę. Odegrał jakże istotną rolę w regionalnym AK.

O tym wspominał mi wielokrotnie ppłk. Józef Ślaboszewski, jedna z wy-

bitnych postaci Armii Krajowej na Śląsku. W rodzinnym przekazie wspomniano też pewne epizody z pogrzebu, a najbardziej prawdopodobne zachowanie się konduktu, albo jego części przy budynku obecnego III Liceum Adama Mickiewicza, budynku do którego uczęszczał w latach młodości młody Korfanty. W opowieści była zawarta też wyraźna informacja o tym, że trumna polityka niesiona była na barkach przedstawicieli różnych zawodów, była ponoć metalowa, owinięta białą-czerwona flagą. W opowieści podkreślano też obecność chłopów w śląskich strojach, kobiety z purpurkami na głowach i mężczyzn w jaskłach i jeleniokach, górników w galowych mundurach, strażaków, studentów „w obowiązkowych czapkach”. Nie chce konfrontować tej zmitologizowanej opowieści z faktami. Wszak najważniejszy jest obraz zachowany w pamięci, sposoby jego międzygeneracyjnego przekazu. W tej opowieści pojawia się też informacja o orszaku wielu, wielu księży. Mówiono też o oficjalnej mszy żałobnej, którą zapowiedziano na dzień następny; w katedrze Chrystusa Króla. Milczeniem objęto uroczystości pogrzebowe w kościele Piotra i Pawła w dniu pogrzebu, czyli dawniej protokatedrze.

W owym kondukcie wszyscy szli w wymownym milczeniu, pogrążeni w zadumie i rosnącej obawie o dni najbliższe. Wszyscy czuli, że coś niedobrego się nad nimi unosi „coś wisi w powietrzu”. A może to uczucie powstało później, i wynikało już z doświadczeń miesięcy i lat wojennych, które przecież gwałtownie nadchodziły. Nie wiem. Opowiadano, że w czasie pogrzebu gospośnia dziadków zobaczyła na drodze połamany kwiatek. Podniosła go z uszanowaniem i zabrała do domu. Już w mieszkaniu poszła do półki z książkami i włożyła kwiatek do koperty. Już w czasie wojny babcie go zabrała i został włożony pod szkło, które znalazło się w ramie. Obrazek przetrwał do śmierci babci w 1972 roku; potem zginął gdzieś w czasie kolejnej przeprowadzki. Zawsze wisiał w jednym z pokoi obok wizerunku zakonnika tęsknie spoglądającego przez okno swojej celi na zieloną równinę i słońce chylące się ku zachodowi

O samym pogrzebie w owym przekazie mało opowiadano. Najwięcej o atmosferze, i o tym, że ustawicznie ktoś mówił: „Drugiego takiego człowieka długo u nas nie będzie”.

Istota opowieści skupiała się przede wszystkim na spotkaniu rodzinno-towarzyskim, specyficznej atmosferze po pogrzebie. W mieszkaniu dziadków przy stole zasiadły poza moją rodziną, jeszcze trzy inne rodziny, ale bez dzieci. Rodzina Iwickich pozost-

stała u siebie, bo gościli znajomych oficerów; w tym oficera, który później zginął w pierwszych dniach wojny. Spotkanie u dziadków

rozpoczęła modlitwa

a potem podano ciasto, kawę, a nawet herbatę. Z czasem stół był już suto zastawiony. Były jakieś ciasta od piekarza i cukiernika Lipy z Piotrowic. Przyszedł też sąsiad Niemiec, jak się za kilka tygodni okazało członek NSDAP. Złożył wyrazy współczucia z powodu śmierci „wielkiego Polaka”. Usiadł tylko na chwilę. Po jego wyjściu rozmowa zawierała już treści nawiązujące do ówczesnej polityki, choć to w zwyczaju nie było. Stół służył innym celom, chyba że było to męskie spotkanie. Wtedy dziadek proponował aby zadzwonić do ks. Anasazego Muży, proboszcza lokalnej parafii. Jego wizyta byłaby zaszczytem choć w tym mieszkaniu gościł wielokrotnie. Ktoś go nawet widział w gro-



nie księży uczestniczących w pochówku. Przyszedł za pół godziny. Dodajmy, że kolejny uczestnik spotkania to postać szczególnie znacząca w historii katowickiej diecezji. Swoje urodziny obchodził dwa dni wcześniej, a na świat przeszedł w 1886 roku w odległej Kuźnicy na Półwyspie Helskim. Po ukończonym seminarium duchownym i po studiach na Papieskim Fakultecie Teologicznym w Turynie doktoryzował się 7 lipca 1916 na podstawie pracy napisanej po łacinie „*O istocie Trójcy Świętej*”. Od 1924 roku był członkiem Administracji Apostolskiej Śląska Polskiego. Wreszcie został proboszczem w katowickich Piotrowicach, gdzie był budowniczym lokalnego kościoła, pełnił tę posługę nieomal do końca życia. Zmarł w 1969 roku.

Kiedy przyszedł zapytał czy modlono się za duszę Korfantego i mimo odpowiedzi twierdzącej poprosił wszystkich o powstanie. Przedtem jednak zapytał moją babcie czy ma wizerunek

Matki Boskiej Piekarskiej. Powiedział, że przecież przed 20-łaty brali ślub u stóp Piekarskiej Pani. Przyniosła go, wręczyła księdzu, który go oparł o świecę stojąca na stole. I tu dodam, że zgodnie ze zwyczajem w pierw ten wizerunek dostał jako najstarszy syn mój Wujek i towarzyszył mu pod Monte Casino oraz w Bolonii. A potem zgodnie z tradycją otrzymał go najstarszy wnuk w dniu osiemnastych urodzin. W ten sposób piszący te słowa stał się jego posiadaczem. I powracając do owego spotkania odbyła się kolejna modlitwa. Jakby ks. Muza nie zauważył, że nas stole był alkohol, w tym butelka ulubionego trunku dziadka czyli „Baczewskiego”. I tu mam pewne skojarzenie. Słynny Brunon Schultz powiedział: „Nie nazwane nie istnieje”. A wtedy właśnie ksiądz powiedział zebrany coś w rodzaju „Tak oto jesteśmy na stypie”. Wtedy wszyscy uświadomili sobie, że są uczestnikami specyficznej konsolacji. Gawędzili dłu-

go, trochę sentymentalnie, rzewnie. A kiedy się rozchodzili ksiądz Muza poprosił, aby w piątek, konkretnie 1 września przyjdź do kościoła i w ten pierwszy piątek miesiąca przyjąć komunię w intencji Wojciecha Korfantego. A potem pójść na grób Korfantego. To się już jednak nie stało, bo

oni na grób Korfantego nie poszli, a my?

Oni nie mogli; historia napisała inny scenariusz. Złowrogie odgłosy zza polskiej granicy już przestały być złowrogimi odgłosami. Rozpoczęła się wojna niemiecko-polska, rozpoczęła się II wojna światowa.

Uczestnicy spotkania rozperzchli się. I tylko zastanowić się należy, czy my pomijając oficjalne uroczystości, odwiedzamy ową katowicką nekropolię przy ulicy Francuskiej. Odpowiedzmy sobie szczerze, czy chodzimy na grób Korfantego? Czy składamy tam kwiaty? ■



Stulecie śląskiej insurekcji cz. 2

Ludzie i wydarzenia

Ślązaków powstanie pierwsze

17 – 24 sierpnia 1919

HENRYK SZCZEPAŃSKI

**Minęły już wieki niewoli,
kajdany rozszarpał śląski lud.
A z krwi naszej, z tego co boli,
Ojczyzna powstała jako cud.**

Inskrypcja z płyty nagrobnej komendanta Alfonsa Zgrzebnika. Fragment „Hymnu Śląskiego”; słowa: Stanisław Rybka, muzyka Feliks Nowowiejski.

Heroizm i szaleństwo

Rozpoczęło się w niedzielę o świcie 17 sierpnia 1919 roku. Objęło tereny powiatu rybnickiego i pszczyńskiego oraz część okręgu katowickiego. Przewodził Alfons Alfred Zgrzebnik z nadodrzańskich Dziergowic opodal Bierawy na Opolszczyźnie.

Komendant Zgrzebnik

Miał za sobą 28 wiosen a w tym kilka lat studiów teologicznych, konspiracyjną działalność wśród akademików polskiej organizacji „Zet”, a także walki na froncie francuskim, na który został wysłany jako obywatel II Rzeszy zobowiązany do służby w szeregach Reichswehry. Walczył przeciwko Francuzom. Trzykrotnie jako ciężko ranny był hospitalizowany w polowych lazaretach i szpitalach. W 1918 roku ze stopniem porucznika niemieckich sił zbrojnych powrócił do rodzinnych Dziergowic. Rodacy powierzyli mu dowodzenie koziejską i raciborską komendą Polskiej Organizacji Wojskowej. Cieszył się autorytetem urodzonego dowódcy. Towarzyszy z powstańczych szeregów przewyższał fachową wiedzą wojskową, doświadczeniem bojowym nabytym w czasie wojny. Z polską konspiracją patriotyczną związał się już w latach gimnazjalnych, kiedy to zaprzyjaźnił się z Józkiem Gawliną, po latach biskupem polowym Wojska Polskiego. Był przystojnym młodym mężczyzną z charyzmą, poczuciem humoru i wielką wyobraźnią. Serca pięknych Ślązaczek podbijał pełnym zadumy spojrzeniem i krótko przyszyronym wąsikiem. Miał uzdolnienia muzyczne i literackie. Jako dobry mówca wzbudzał aplauz wśród uczestników wieców politycznych. W kwietniu 1919 r. wraz z czteroosobową delegacją górnośląskiej POW, generałowi Józefowi Dowbor-Muśnickiemu w Poznaniu, przekazał decyzję o rozpoczęciu śląskiego powstania, której wtedy nie poparła Naczelna Rada Ludowa z ks. Adamskim i Korfantym na czele.

W pamiętnikach mecenasa Antoniego Rostka, częstego bywalca „Strzechy” – czyli Polskiego Domu Narodowego w Raciborzu, przetrwało wspomnienie sławiące chrobrść i energię przyjącego, który dla zmylenia przeciwnika występował w mundurze oficera Reichswehry.

Podziwiał jego brawurę, fantazję i aranżację dwersyjnych akcji nie pozbawionych poczucia humoru:



Komendant Alfons Zgrzebnik

„W lutym 1919 roku odbyło się pierwsze uroczyste zaprzysiężenie około 60 członków POW w Domu Narodowym Strzecha – Komendantem POW był Alfons Zgrzebnik z Dziergowic. Gdy Grenzschutz przyjechał pewnego dnia do Dziergowic, Zgrzebnik zobaczywszy samochód z wojskiem wyszedł naprzeciw, wsiadł do samochodu pozorując, że on również bierze udział w rewizji i pojechał z wojskiem. Rewizję przeprowadził tak, że wypadła negatywnie. Bolączką POW był brak broni. Dlatego Zgrzebnik urządził w lutym 1919 roku wyprawę na Koźle. Wozem w parę koni pojechał ze swoimi ludźmi w nocy do Koźla, by tam zabrać z magazynów wojskowych broń. Konfident zdradził go jednak i przed Koźlem został Zgrzebnik z ludźmi otoczony przez wojsko i aresztowany. Nad ranem zażądał, by go zaprowadzono do oficera dyżurnego. Ponieważ oficer był na razie zajęty, Zgrzebnik czekał w przedpokojach.

W tym momencie wszedł ów zdrajca, by za raportować oficerowi dyżurnemu o zajściu nocnym. Domyślił się Zgrzebnik, że jest zdradzony, wypadł więc z gmachu wojskowego na ulicę, i znikł pomiędzy ludźmi. Niemcy zrobili z tego powodu wielką sprawę. Akta przy Nadzwyczajnym Sądzie Wojennym w Raciborzu prowadzono pod oznaczeniem „napad na Koźle”. Ponieważ reszta uczestników tej nieudanej wyprawy uciekła, daremne było śledztwo. Zgrzebnik udał się do Bytomia, a później, gdy wysłano listy gończe za nim, uszedł ze Śląska na polską stronę do Piotrowic, gdzie zbierali się wojskowi, będący w tym samym położeniu co Zgrzebnik. Stamtąd prowadził on organizację POW.”

Do legendy przeszła jego ucieczka przed kilkoma oddziałami Grenzschutzu. Umykał przed nimi, kluczył i mylił pogoń na dystansie między przygranicznymi Piotrowicami a Bytomiem. Niemiecka prokuratura obiecywała cały milion marek „za pojmanie niejakiego Alfonsa Alfreda Zgrzebnika”. Wywiódł ich w pole. Na zebranie peowiaków przybył punktualnie zgodnie z rozkazem sztabu POW.

Chrzest bojowy w powstańczych szeregach przeszedł prawie dwa miesiące przed wybuchem sierpniowej insurekcji — 22 czerwca 1919 roku na czele osiemdziesięciu peowiaków koziejskich wystąpił przeciwko Niemcom, zajmując lokalne urzędy niemieckie. W tej akcji, na polu walki zginął jego brat Franciszek.

Zdobytym terenem zawładnęli na krótko, ale przeżyli krzepiące chwile radości i nadziei na utworzenie Republiki Koziejskiej.

Po sprawnie dokonanym puczu — do Dziergowic z Poznania — po raz kolejny dotarł rozkaz komendy głównej POW odwołujący akcję powstańczą. Grenzschutz zaczął im deptać po piętach. Przez pruską granicę jedni zbiegli do Wielkopolski a inni do obozu azylantów w Piotrowicach opodal Frysztatu (obecnie: czeskiej Karwiny).

Adwokat Rostek z Raciborza tak to zapamiętał: „Wydano rozkaz, by ruszyć w nocy z dnia 22 na 23 czerwca 1919 roku. Tymczasem Komisariat w Poznaniu cofnął ten rozkaz i w ostatni dzień rozesłano pisma odwołujące powstanie. Efekt był ten, że cofnięcie nie wszędzie dotarło na czas. W Dziergowicach obsadzili powstańcy dworzec, w Koziejskiem zebrały się oddziały i wyruszyły na stację kolejową, by ją zająć. Berlin widocznie dowiedział się o tym terminie, bo nadesłał kilka pociągów z Gren-

zschutzem. Zaczęły się aresztowania na dużą skalę; dużo zdekonspirowanych powstańców musiało uchodzić do Piotrowic nad Olzą.”

Redaktor Władysław Zabawski w „Dzienniku Cieszyńskim” (1919 nr 181) komentował:

„Piotrowice, 29. czerwca.

W powiecie kozielskim wielkie represje z powodu wypadków ubiegłej niedzieli. Trzeba przy tej sposobności zaznaczyć, że zamach, jaki ludność miejscowa urządziła przeciw Grenzschutzowi, wykonany był z „niesłychaną” sprawnością. W całej południowej części rozbrojono Grenzschutz i wszystkie ważniejsze posterunki w Koźlu i powiecie zajęto. Dziś ludność jest rozszalona, że wypadki te nie stały się hasłem dla wkroczenia armii polskiej.

W poniedziałek Grenzschutz wszędzie powrócił i rozpoczął represje. Szukano przywódców a ponieważ ci zbiegli nekano rodziny ich.

Małe dziewczynki ustawiano pod murem i grożono rozstrzelaniem, jeśli nie zdradzą, gdzie są ojcowie i bracia. Bito i poniewierano pozostałe żony, grożono paleniem całych wsi.”

Pod rozkazami komendanta Zgrzebnioka

Od 18 sierpnia 1919 roku, Alfons Zgrzebnioł stał na czele Dowództwa Głównego POW Górnego Śląska. Siedzibę miało w biurach dawniejszej straży granicznej, a następnie w budynkach fabrycznych Schoena w Sosnowcu. Jego skład osobowy to: Kierzkowski — szef sztabu, Rzakiewicz — organizacja, Plebanek — wywiad i kierownik działu operacyjnego, Rżóska — intendentura, Kosiński — dział personalny, Nazim — referent łączności, Hirszler Mieczysław — dowódca kwatery głównej, Fiuczek — adiutant dowództwa.

Od kilku miesięcy na Górnym Śląsku z bronią u nogi czuwały zakonspirowane drużyny Polskiej Organizacji Wojskowej. Jej dowódcą naczelnym był porucznik Alfons Zgrzebnioł a nominalnym przewodniczącym Komitetu Wykonawczego — Józef Grzegorzek. Dziekanem polowym wojsk powstańczych, został ks. proboszcz Jan Brandys z Dzierzowic.

Zwierzchnictwo polityczne nad organizacją sprawowała Śląska Rada Ludowa w Bytomiu, której przydywał mecenas Kazimierz Czapla, przewodniczący polskiej Rady Ludowej w Bytomiu i kierownik Podkomisariatu Naczelnej Rady Ludowej w Poznaniu; bezpośrednio podległy Wojciechowi Korfantemu w tym czasie pełniącemu funkcję komisarza do spraw wojskowych i politycznych w teże Naczelnej Radzie pełniąc rolę rządu tymczasowego na ziemiach polskich byłego zaboru pruskiego.

Heroizm i szaleństwo

Przystąpienie „do brawurowej batalii o połączenie Śląska z Polską, z „jakąś tam Rzeczpospolitą”, której wczoraj na żadnej mapie jeszcze nie było”, w chłodnych kalkulacjach polityków i dyplomatów wyglądało na akt heroizmu graniczącego z szaleństwem. Byli przekonani, że taki spontaniczny zryw jest skazany na fiasko. Natomiast powstańcom udział w niepojętym historycznym wydarzeniu uwieńczonym zwycięstwem, dyktował instynkt narodowy „serce i dusza ludu śląskiego”.

„Z ludu wyszło porywco powstanie, tego się przed światem nie myślimy zapierać, bo podły

90. rocznica wybuchu I Powstania Śląskiego

To tutaj padły pierwsze strzały



Zajście przy kopalni „Mysłowice” z sierpnia 1919 roku zostało przyjęte jako symboliczny początek I Powstania Śląskiego. To tu padły pierwsze strzały. Górnicy kopalni „Mysłowice” stając do walki, realizowali marzenie o przyłączeniu Górnego Śląska do odrodzonej Polski, uwolnieniu się od niemieckiego jarzma i polepszeniu swojego statusu społecznego i ekonomicznego.

Kopalnia przy ulicy Piaskowej. Tutaj padły pierwsze strzały, „Co tydzień Mysłowice” wydanie jubileuszowe 2009

byłby naród, któryby się nie odważył, wobec tak hańbiącego ucisku rzucić na szalę wolności krew swych najlepszych synów.” W 1919 r. zapewniał ks. Aleksander Skowroński, radykalny wizjoner i duchowy przewodnik powstańczego zrywu.

Śląski insurgent sierpnia 1919 to górnik, hutnik, fabryczny robotnik i chłop „przez takich jak on robotników i chłopów” prowadzony i dowodzony — uczestnik spryszyżenia prostego ludu, pozostawionego samemu sobie, zdanego na własną żywotną, inteligencję, rozum i umiejętności praktyczne”. W kilkunastotysięcznej zaprzysiężonej insurekcji było bodajże tylko czterech expodporuczników armii pruskiej. Reszta przywódców i dowódców składała się z szeregowych żołnierzy a w najlepszym razie podoficerów, synów ludu śląskiego, sumiennych fachowców od młota, kilofa i kosy. Fenomenalne kompanie spiskowców — spadkobierców Bartosza Głowackiego, Kościuszki, Kilińskiego i Traugutta — były się nie gorzej od regularnych niemieckich formacji wojskowych a słowiańską chrobrością i męstwem znacznie je przewyższały.

Składając ślubowanie wierności Polskiej Organizacji Wojskowej przyrzekali:

„Przysięgam Panu Bogu Wszechmogącemu, że jako dobry żołnierz będę spełniał wiernie wszystkie rozkazy mojej przełożonej władzy powstańczej. Ślubuję dochować tajemnicy organizacyjnej i na wezwanie walczyć z bronią w ręku o przyłączenie Górnego Śląska do Polski. Tak mi dopomóż Bóg.”

Początkowo podniosłą uroczystości rotę, z reguły celebrowaną przez duchownego w osobie powstańczego kapelana, emisariusze POW aranżowali w prywatnych mieszkaniach, potem w Polskich Domach Narodowych, w Raciborzu czy Bytomiu, a wiosną i latem wśród nocnej ciszy, pośród leśnych ostępów, na partyzanckich biwakach lub obozowiskach bądź pomiędzy opuszczonymi żuźlowymi hałdami dostojnymi jak monumentalne cmentarzyska pograżone w nie przemijającej zadumie.

„Właściwym autorem powstania był sam lud śląski. Powstanie poczęło się z uświadomienia sobie przez ten lud, iż drzwi, wiodących do wolności, nie otworzy żadna dobrotliwa a opatrnościowa ręka:

muszą być mocą wybite. Ta świadomość, której logikę wykazać miała przyszłość, pchnęła ludzi tłumnie w szeregi zrzęszeni, obliczonych na stworzenie kadr walki czynnej, a więc nie walki ideowej i propagandowej, ale takiej z karabinem czy granatem w ręce. Zrzęszeniami takimi były związki wojskie i P. O. W. (Powstaniec 1939 nr 34)

W insurekcji walczyła śląska młodzież robotnicza i rzemieślnicza wcześniej zrzeszona w kołach samokształceniowych tajnego stowarzyszenia „Eleusis” oraz w drużynach „Sokoła”. Jej trzon stanowili działacze polskich związków zawodowych skupieni wokół Wojciecha Sosińskiego i Józefa Rymera. Nie brakowało też ochotników z Wielkopolski, Galicji, Królestwa Polskiego i kresów wschodnich, którzy jako szeregowi żołnierze szli na pierwszą linię frontu. Wielu z nich jeszcze do wczoraj służyło w armiach państw zaborczych.

Duchowymi przewodnikami wojsk powstańczych byli katolicy księża, którzy w umacnianiu polskości wśród Ślązaków i w całej wojnie o powrót Śląska do Macierzy, mieli zasługi wciąż jeszcze niedocenione przez historyków i badaczy, niesprawiedliwie pomijane przez tradycję i legendę. Byli wśród nich: ks. Jan Brandys — późniejszy dziekan generalny WP, ks. Paweł Pośpiech, ks. Aleksander Skowroński, ks. Paweł Brandys, ks. Władysław Robota, ks. Józef Czempiel, ks. Teofil Bromboszcz i wielu innych rodowitych Ślązaków w sutannach.

Wyjątkową i piękną postacią pozostaje ks. Stanisław Adamski, główny budowniczy autonomii polskich Ziemi Zachodnich, twórca i założyciel chrześcijańskiej demokracji w Wielkopolsce i na Śląsku, komisarz NRL i szef tymczasowego Rządu w Poznaniu a w okresie międzywojennym biskup ordynariusz diecezji katowickiej.

Pod znakiem Białego Orła

Na wieść o zbrodniczej akcji myślowickiego „Grenschutzu” — żołnierzom zakonspirowanej POW puściły nerwy.

Pierwszych czterdziestu wspaniałych skrzyknęło się na emigranckiej kwaterze w przygranicznych Piotrowicach opodal zaolziańskiego Frysztatu nad Olzą, gdzie od 1904 trenowali polscy lekkoatleci z tamtejszego gniazda Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół”.

Nie czekając na oficjalne rozkazy, w nocy z soboty na niedzielę, ruszyli do ataku na posterunki „Grenschutzu”. Dowodził 24 wiosny liczący Maksymilian Iksal.

Uderzyli na Gołkowice w powiecie rybnickim. Po brawurowej rozprawie zlikwidowali strażnicę obrońców pruskiej granicy zabarykadowanych w miejscowym dworzyszczu. Obezwładnili pewnych siebie pograniczników i jako jeńców zamknęli w wojennym areszcie. To był pierwszy i jeden z nielicznych sukcesów sierpniowego bohaterskiego zrywu Ślązaków walczących pod znakiem orła białego. O trzeciej nad ranem na pobliskich polach zdetonowali minę. Jej wybuch był sygnałem do rozpoczęcia powstania górnośląskiego.

W tym czasie (jeszcze przed eksplozją miny alarmowej) do walki wkroczyły kolejne kompanie górnośląskiej POW.

„— W Paprocach pod Tychami napadli powstańcy i rozbili baterię artylerii, która była w różnych kwaterach rozłożona.

Z Tychów donoszą jeszcze następujące szcze-

gół: Już w sobotę o godz. 11 w nocy rozpoczęła się dość gwałtowna strzelanina, na którą jednak mało zważano, bo to zachodziło codziennie. Około północy wzmożyły się strzały. Po godz. 2 kupa ludzi w niemieckich mundurach obsadziła najpierw pocztę, później dworzec, który zamknięto. Tor między Tychami a Kostuchną zerwano. W browarze odbywała się właśnie tańcówka niemieckiego klubu kręglarskiego, w której większa część urzędników gminnych brała udział. Insurgencom otoczyli uczestników zabawy, urzędnikom poodbierali klucze od urzędów, poczem wy puszczone ich na wolność. — Jeden żandarm został zraniony. — We dworze granatami ręcznymi poczyniono szkodę. — W niedzielę o godz. 11 przed poł. nadeszło wojsko, poczem insurgencki znikli, — W sąsiednim Czułowiu przyszło do utarczki z patrolką grenszuciu, której ofiarą padli dwaj młodzi Tychowiaczy, Rozkoszny i Mróz.” (Górnoślązak, 20 sierpnia 1919)

„Powstańcy zaatakowali i zlikwidowali wiele niemieckich posterunków wojskowych i policyjnych oraz rozbili baterię artylerii w Paprocach zdobywając działa. Opanowana została miejscowość Tychy, zajęta jednakże przez Niemców z powrotem wieczorem 17 sierpnia przy użyciu samolotów, z których jeden powstańcy zestrzelili. Dowodzący wojskami niemieckimi gen. Höfer w swych wspomnieniach pisze, że akcje powstańców wzdłuż granicy z Polską poparte były ze strony polskiej ogniem karabinów maszynowych i moździerzy.” (T. Jędruszcak, Powstania śląskie)

Tyskimi insurgenkami dowodził porucznik Stanisław Krzyżowski.

Epizody powstańczej batalii na bieżąco relacjonował „Górnoślązak” z dnia 20 sierpnia 1919 roku:

Bytom O godz. 2 nad ranem dały się słyszeć strzały karabinowe, a także kilkakrotnie huk armat jakby z dalszej okolicy. W mieście samą gromadą ludzi szturmowała do dawniejszego hotelu Skorocha w Długiej ulicy, gdzie się znajduje kwatera komendy wojskowej. Szturmujących przyjął odważnym ogniem karabinowym i granatami ręcznymi, na co przeciwna strona również ogniem odpowiedziała. Ofiarą szturm padł podoficer Reichelt, który otrzymawszy postrzał w brzuch zmarł w ciągu przedpołudnia. Podobno i jeden z napastników otrzymał ranę, poczem wszyscy się ulotnili.

Bobrek. Tu, jak się zdaje, było najgorzej, bo strzelanina rozpoczęła się około godziny 2 rano i trwała bez przerwy do popołudnia. Do południa było podobno 7 zabitych i liczni ciężko ranni. Wśród ofiar znajdują się werkmistrz Piskos z huty Julii i pomocnik drogerijny Staszak. Ten ostatni

miał głowę strzaskaną kolbami. Żołnierze strzelali do otwartych okien. Po południu przybyła kompania wojska z tankiem i dwiema armatami.

W Piekarach słyszano tylko strzały, zresztą panował spokój.

Szarleju u około godz. 2 nad ranem przypuścił liczny tłum szturm do ratusza, gdzie znajdowała się broń i amunicja straży obywatelskiej. Ofiarą szturm padł na wstępie policyjant Pietrek, poczem zabrano ukryte w ratuszu karabiny i amunicję. Gdy na telefoniczne wezwanie nadeszła pomoc wojskowa, przyjętą została kulami, od których padli 1 podoficer i 1 szeregowiec. Gdy następnie grenszuc zaczął robić porządek, kilka osób cywilnych utraciło życie. Wśród zabitych znajdują się Knapik i Cieśla z Piekar; pierwszy z nich szedł do pracy.

W Katowicach — terkot karabinów, huk armat, pocisków i granatów — zaczął doskwierać i napawać lękiem od poniedziałku 18 sierpnia. Do żołnierzy z białym orzełkiem na czapkach dołączyli strajkujący robotnicy. W sojuszu z nimi atakowały uzbrojone ugrupowania komunistyczne.

Przez kilka godzin insurgencki zajmowali dworzec w Ligocie. Unieruchomili transport kolejowy, opanowali Szopienice, Dąbrówkę Małą, Rozdzień, Janów i Nikiszowiec; zablokowali garnizon niemiecki w Mysłowicach. Dowodził nimi Franciszek Deja.

Tego dnia Niemcy w wielu miejscach utracili kontrolę nad zajmowanym terenem. W kronice powstania jest to kolejny, znaczący dzień sukcesu batalii śląskich insurgenctów. Peowiacy przejęli inicjatywę i byli w ofensywie.

Nie trwało to długo.

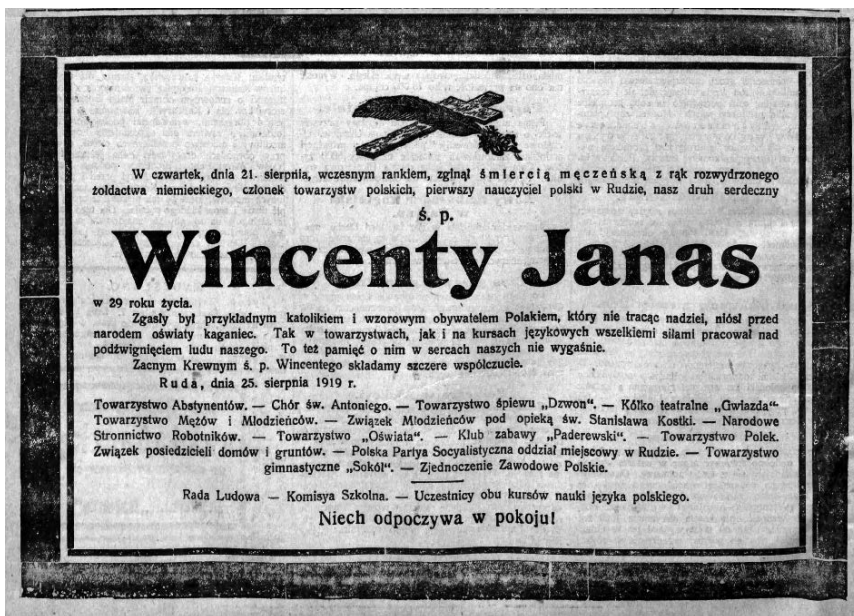
„Aby ratować sytuację, niemieckie władze wojskowe we Wrocławiu skierowały na Górny Śląsk posiłki w postaci jednostek 11 dywizji piechoty. Rozpoczęła się zorganizowana akcja regularnych oddziałów niemieckich przeciw powstańcom śląskim.” (T. Jędruszcak, Powstania śląskie)

„Górnoślązak” posiłkujący się doniesieniami berlińskiej agencji prasowej informował:

„Biurowolffa donosi pod dniem 18 b. m.: W ciągu przedpołudnia położenie w górnośląskim obwodzie znacznie się polepszyło. Wojsko stało się w zupełności panem położenia. W Katowickim obwodzie panuje spokój. W rękach



Maksymilian Iksal z małżonką. 1967 r.



Wincenty Janas, nekrolog, „Górnoslazak” 27 sierpnia 1919 nr 193

insurgentów znajdują się jeszcze Nikisz, Janów, Gischewald, Szopienice i Rożdżeń. W Mysłowicach zdołano przywrócić spokój. Konieczne roboty na kopalni Mysłowickiej wykonuje wojsko. — W Bytomskim obwodzie Wielka Dąbrówka została przez insurgentów opróżniona. Tylko Karb i szyb Gottharda jeszcze w ich rękach. Zresztą i tu wojsko jest panem położenia. Straty w Bytomskim po stronie niemieckiej wynoszą 15 zabitych i 30—40 rannych.”

Śmierć Wicka Janasa

„Dnia 21 sierpnia rano o godzinie 5-tej weszło dwóch żołnierzy do mieszkania wdowy Janasowej w Rudzie — kolonja Karola, oświadczając, że przybyli zaarrestować polskiego nauczyciela Wincentego Janasa. Wdowy nie było w domu, jeno poszukiwany i jego siostra. Na zapytanie, Janas odpowiedział, że on jest ten, którego szukają. Żołnierze odprowadzili go 30 metrów od domu i oddali oddziałowi, który składał się z 16 wojaków. Ci natychmiast otoczyli Janasa, bijąc go kolbami. Nagle padł strzał, oddany przez jednego z żołnierzy. Teraz oprawy zaczęli lżyć swą ofiarę i krzyżeć: „Psie! strzeliłeś, my ci pokażemy, co to znaczy!” Janas odpowiedział: „Jakżeż mogłem strzelać, kiedy nie mam broni”. Wśród bicia zaprowadzono Janasa z powrotem do mieszkania, celem przeprowadzenia gruntownej rewizji. Nie znaleziono nic prócz 3 małych papierowych chorągiewek, które służyć miały do dekoracji sali dla uroczystości, mającej się odbyć w dniu 17 sierpnia. Mimo, że nic nie znaleziono, żołnierze wywlekli Janasa na podwórze, a ponieważ dom stoi na pagórku, skopali nieszczęśliwego człowieka z mniej więcej 60 metrów pochylności. Janas zerwał się na nogi, i dobywając reszty sił, zaczął uciekać. Już skręcił w ulicę i znikł w jednym z domów. Jakaś kobieta zauważyła to i zdradziła żołnierzom. Ci wpadli do wskazanej im izby, poczem Janasa wywlekli przed dom. Jeden z żołnierzy wykuł mu prawe oko, inny obcasem wybił zęby w dolnej szczęce. Wreszcie Janasa żołnierze postawili pod drzewo, a gdy runął na ziemię, — za-

bili go 15 strzałami. „— w swoich wspomnieniach zapisał Józef Grzegorzek.

Koniec pierwszej rundy

Już w piątym dniu powstania Francuska Misja Wojskowa w Warszawie, na której czele stał generał Henrys, pismem z dnia 21 sierpnia 1919 roku, tak oceniała pierwsze powstanie śląskie:

„do sztabu generalnego w Paryżu:

W wyniku braku amunicji i broni, nie mogąc otrzymać żadnego wsparcia, powstańcy zdają sobie sprawę, że zmierzają ku katastrofie. Liczne grupy przekraczają granicę, uciekając na terytorium polskie...

Ruch powstańczy, zrodzony z rozpaczki ludu nie był ani dowodzony, ani kierowany. Musiał rzecz jasna załamać się. Wojska niemieckie stosują srogi represje. Reichswehra gwałci i masakruje, przy czym nie oszczędza się kobiet i dzieci.

Ludność, a zwłaszcza mężczyźni od 17 do 60 lat masowo są deportowani w głąb Niemiec. Ustanowiono sądy doraźne, których wyroki wykonywane są niezwłocznie. W całej Polsce panuje duże poruszenie”. (T. Jędruszczak, Powstania śląskie)

24 sierpnia 1919 r. pierwsze powstanie śląskie zostało zakończone.

Dokładna liczba jego uczestników nie jest znana. Było ich na pewno więcej aniżeli 20 tysięcy. Większość, często wraz z rodzinami, uchodziła w obawie przed prześladowaniami ze strony Niemców ze Śląska do Polski. Rozmieszczano ich w obozach w Sosnowcu, Grodźcu, Zawierciu, Szczakowej, Jawornie i Oświęcimiu. Mieli żal do rządu polskiego, że nie udzielił powstaniu pomocy, na którą liczyli.

„Posłuszne rozkazom pułki stały na baczność, przeklinając swoją bezczynność.” — wspominał major Jan Ludyga Laskowski, sztabowiec „błękitnej armii” generała Hallera, której bataliony i kompanie z bronią u nogi stały w Sosnowcu i Będzinie nad granicą polsko-niemiecką.

Komendant Zgrzebniok postanowił zapobiec dalszemu rozlewowi krwi. 24 sierpnia w porozumieniu z śląskim Komisariatem Rad Ludowych w Sosnowcu wydał rozkaz zaprzestania walki i wkroczenia z bronią wojsk powstańczych do Polski. „Niepokonane w boju. Oddziały armji

powstańczej, pomaszerowały ku granicy polskiej...”

Pierwsza runda pomiędzy śląskim Dawidem a germańskim Goliatem zakończyła się krwawym remisem. Obydwaj przeczuwali, że jeszcze powrócą na wojenną arenę

Spośród licznych dziennikarskich morałów wynikających z kroniki wydarzeń pierwszego powstania Śląskiego, moją uwagę zwrócił następujący:

„jeszcze jednej, najcenniejszej rzeczy nauczył się cały świat: że Ślązak jest Polakiem i nie znieś nad sobą obcego panowania, że żadna ofiara nie jest dlań zbyt wielką i żadna go nie powstrzyma w drodze do Ojczyzny; że w ludzie śląskim są zawarte wielkie i cenne skarby uczuć, które gdy przyjdzie pora, płoną bujnym płomieniem, przepalającym wszystko.” (Powstaniec, 1939 nr 34)

Ostatnia koronowana głowa

Nikt narodu bardziej nie oszpeci niż jego własny monarcha. Taką brudną plamą na wizerunku Niemców pozostaje cesarz Wilhelm II Hohenzollern — ostatnia koronowana głowa na niemieckim tronie — zakamuflowany terrorysta, arogancki Polakożerca, apologeta krzyżacko-pruskiego bandytyzmu ukrywano go pod mundurem niemieckich sił zbrojnych.

„Zgniótę tego, kto mi się sprzeciwi” w 1891 r. oświadczył z impetem dzikiego nosorożca. (Ernst zu Reventlow odnotował to w swojej książce „Von Potsdam nach Doorn”, (Berlin 1940), a polskim czytelnikom przypomniał Piotr Szlanta w doskonałej napisanej biografii, „Polakożerca” kontra „Wrogowie Rzeczy”. Wilhelm II i Polacy 1888—1918, (Warszawa 2018).

W lipcu 1900 roku, wysyłając korpus niemieckich wojsk przeznaczonych do tłumienia powstania narodowego Chińczyków, napastliwy dyktator nie oparł się pokusie, aby wykrzyżać wszystko co mu w duszy grało:

„Tępic bez pardonu, nie brać jeńców, kto wpadł wam w ręce, niech ginie. Podobnie jak tysiąc lat temu Hunowie zdobyli sławę pod przywództwem swojego króla Attyli, co w dużym stopniu pojawia się jeszcze dziś w przekazach i w legendach, tak niech zapisze się dzięki wam na tysiące lat w Chinach imię Niemców w taki sposób, żeby nigdy żaden Chińczyk nie odważył się chociażby krzywo spojrzeć na Niemca.”

Był tyranem i rozhisteryzowanym despotą sąsepionym jak jego czarne dwugłowe orły z krwawym dziobem. Rodacy dodali mu przydomek — Kaligula a dla Anglików pozostał mongoloidalnym, agresywnym Attylą o manierach godnych wodza dzikiego plemienia koczowników, którzy w około 450 roku naszej ery, przez niecałe 10 lat okupowali tereny Europy od Danii po Bałkany.

„Sic volo, sic jubeo” (Tak chcę, tak rozkazuję), Wilhelm II wypisał pod swym portretem naturalnej wielkości, który potem ofiarował jednemu ze swoich niepokornych ministrów.

Po upływie kilku lat od krwawych represji na chińskim wybrzeżu, fatalny Hohenzollern i jego generałowie, ponownie obnażyli swoją zbrodniczą naturę. Tym razem miejscem kaźni była Namibia. Tam w 1904 roku z wyrachowaniem i zimną krwią wymordowali kilkadziesiąt tysięcy bezbronných Afrykanów z plemion Herero i Namaqua. Ta zbrodnia przeciwko ludzkości, na kartach historii świata została odnotowana w pozycji „pierwsze ludobójstwo XX wieku”.

Wieczorem 31 sierpnia Wehrmacht był już gotowy. Co prawda gotowość była już od dnia 26 sierpnia 1939 r., ale tym razem uderzenie nie miało być odwołane. Dywizje piechoty, dywizje pancerne i eskadry lotnictwa czekały na umówioną godzinę. No i w końcu wszystko ruszyło. Pojechała do przodu stalowa nawałnica, jak ziejąca ogniem bestia, pożerająca wszystko na swoje drodże. Ruszyła i... nagle stanęła pod Wyrami. Co więcej, musiała zrobić kilka kroków do tyłu. Była wściekła...

Po naszej stronie

Przygotowania były bardzo gorączkowe. Latem 1939 r. polskie władze wojskowe podjęły decyzję o szybkiej budowie kolejnych obiektów fortyfikacyjnych, które miały uzupełnić luki w obronie polskiej części Górnego Śląska. Do pracy ruszyli saperzy. Budowano lżejsze schrony wsparcia piechoty, choć czasami obiekty miały większe gabaryty. Trwał dziwny wyścig – Niemcy perfekcyjnie szykowali się do uderzenia, a Polacy gorączkowo uszczelniali swoją obronę.

Na placach budów powstawały głębokie wykopy. Stawiano w nich szalunki pod płyty fundamentowe. W innych przypadkach budowano wielkie drewniane konstrukcje, które obejmowały całą bryłę przyszłego schronu. Obok znajdowały się zmagazynowane materiały budowlane, jak setki kilogramów zbrojenia, a także piasek i cement. Jednak największy wysiłek to praca ludzkich mięśni. A wszystko po to, aby zatrzymać agresora. Postrzynać go i nie dać wejść głębiej w terytorium kraju. Każdy w to święcie wierzył. No, może nie każdy, ale większość...



Schron „Sowiniec” w czasie imprezy plenerowej.

Schron „Sowiniec” – nagrodzony trud

DARIUSZ PIETRUCHA

Kolega „Sowińca”

W tym czasie budowano pododcinek „Wiry”, który sięgał w stronę Tych. Zaplanowano tu powstanie dwóch obiektów, które wyznaczały południowy skraj umocnień (OWS). Wydało się jednak, że planowano tu budo-

wę większej ilości obiektów. Po analizie ich rozmieszczenia widać, że najprawdopodobniej najmocniej miało być umocnione „Wzgórze 310”, dominujące nad otaczającymi je terenami. W tym miejscu zlokalizowano jeden z wybudowanych obiektów oraz fundamenty dwóch innych. Do dzisiaj pozostał tylko ten jeden. Lata 60-te i objęcie tego terenu zabudową doprowadziły do zniszczenia bądź całkowitego zasypania dwóch fundamentów (jeden z tych obiektów miał być tradytorem artyleryjskim, czyli najsilniejszym obiektem na tym odcinku polskiej obrony).

Schron, który ocalał, walczył we wrześniu 1939 r. Nosi na sobie wyraźne ślady po niemieckich pociskach. Nie zdołano w nim zbudować kopuły pancernej (wykonano jedynie jej szczyt), ale podobnie, jak to się działo w Węgierskiej Górcie, polscy żołnierze wokół szczytu kopuły tego obiektu ustawili worki z piaskiem, tworząc w ten sposób odkryte stanowisko karabinu maszynowego. Bronili się zaciekle w swojej żelbetowej reducie.

Schron od jakiegoś czasu znajduje się pod opieką naszego stowarzyszenia. Co prawda jego remont idzie bardzo opornie, ale cóż... to nie wina człon-



Schron „Sowiniec” w czasie imprezy plenerowej.

ków naszego stowarzyszenia, tylko wyraźnego braku rąk chętnych do pracy. Udało się zasklepić szyb kopuły pancernej, bo stanowił ciągle źródło napełniania się schronu wodą. Obiekt został wyczyszczony i zamknięty, by nie ulegał dalszej dewastacji. Proste prace remontowe przeprowadzono na zewnątrz, jak i wewnątrz schronu. Doprowadzono również przyłącze energii elektrycznej. Wszystko idzie w dobrym kierunku, choć pewnie nie tak szybko, jak byśmy chcieli. Ciągłe mamy nadzieję, że w owym obiekcie uda się zamontować jakąś kopułę pancerną, która została zdemonstrowana z jakiś likwidowanych obiektów (jak to ostatnio w przypadku trzech obiektów na Radoszowych – Ruda Śląska). Wtedy dokończilibyśmy ten schron za naszych rodaków, którzy tego nie zdołali zrobić w 1939 r. Na pewno warto...

Jest to schron bojowy, który miał być docelowo wyposażony w pancerną kopułę obserwacyjno-bojową. Na jego uzbrojenie składały się dwa ckm-y i dwa lub nawet trzy rkm-y. Obiekt posiada garaż armaty ppanc., spełniający jednocześnie rolę drugiego wyjścia ewakuacyjnego. Co warte zaznaczenia, w pobliżu wejścia do garażu armatki ppanc. znajdują się relikty jakieś betonowej konstrukcji wykonanej z tego samego budulca, co reszta obiektu. Trudno powiedzieć, do czego owa konstrukcja służyła. Siła ognia tego schronu była naprawdę spora. Mógł również niszczyć pojazdy pancerne przeciwnika. Co prawda nie zachował się w najlepszym stanie, gdyż był pozbawiony wyposażenia i uszkodzony podczas walk wrześniowych, a okresowo był również podtapiany. Jednakże starania członków Pro Fortalicium zrobiły swoje. Teraz jest o niebo lepiej.



Autor wraz z grupą rekonstruktorów.

„Sowiniec”

To drugi obiekt wybudowany w ramach pododcinka „Wiry”. Trudno powiedzieć, jakie oznaczenie kodowe miał ów schron. Leży na terenie gminy Wiry. To najprawdopodobniej okoliczni mieszkańcy nadali mu nazwę „Sowiniec”. Dlaczego? Nie mam zielonego pojęcia. Jest po polsku schron bojowy, którego wyposażenie stanowiły dwa ckm-y i jeden lub nawet dwa rkm-y. Posiada on dwie wyrzutnie pocisków oświetlających, zrzutnie granatów i wyjście ewakuacyjne. Podejrzewamy, że jako środek łączności przewidywano w nim radiostację. Obiekt był budowany w bardzo dużym pośpiechu. Wielu rzeczy nie ukończono i w 1939 r. schron najprawdopodobniej nie był gotowy do walki. Posiada również wiele niedoróbek, jak chociażby bardzo niedokładnie wymieszany i ubity beton. Wybudowano go w klasie odporności C, czyli niższej, niż we wcześniejszych schronach. Nie jest on tak odporny na ostrzał artylerii przeciwnika, jak pozostałe obiekty.

Był świadkiem „bitwy wyrskiej”, choć sam najprawdopodobniej nie brał w niej udziału. Ale kto to wie...

Obecnie jest w bardzo dobrym stanie, gdyż dawno temu został wyremontowany przez członków Pro Fortalicium i w sezonie jest udostępniony do zwiedzania. Został wyposażony we wszystkie pancernie, w repliki broni, we wszystkie drzwi pancerne, a także elementy wewnętrznego wyposażenia. Jest w nim nawet radiostacja. Tego wszystkiego nie było w 1939 r. Ale kolegom z koła terenowego „Tychy” udało się nie tylko wyremontować schron. Stworzyli coś o wiele większego, co stało się wieloletnią tradycją. O tym za chwilę...

Wehrmacht nie miał odwagi

Na obiekty nazywane Obszarem Warownym „Śląsk” we wrześniu 1939 r. nie uderzyła regularna niemiecka armia, czyli Wehrmacht. Co prawda nie ma linii fortyfikacji, której nie da się przejść, ale jej sforsowanie to chłodna kalkulacja poniesionych strat, a także straconego czasu. Niemieccy sztabowcy nie chcieli w pierwszych dniach wojny tracić zbyt wielu ludzi, jak również nie chcieli tracić czasu na nadgraniczne walki. Liczył się element zaskoczenia, którego by nie było w przypadku uwikłania się Wehrmachtu w krwawą walkę na linii OWŚ. Do walki wysłano więc specjalnie w tym celu przeszkolonych (głównie przez Abwehrę, czyli wywiad wojskowy) dywersantów.

Gdyby powiedzieć na Górnym Śląsku, że II wojna światowa wybuchła w dniu 1 września o godz. 4.45, to chyba nie spotkałoby się to z wielkim zrozumieniem. Wojna to padające strzały i ich ofiary, a takich było już wiele przed ową datą. Praktycznie już od połowy sierpnia niemieckie oddziały dywersyjne z zapożyczoną z daw-



Przygotowania do „bitwy wyrskiej” w 2014 r.



Prezentacja grup rekonstrukcyjnych (2014).

nych czasów nazwą „Freikorps” (w ich składzie często byli obywatele polscy, którzy zostali zwerbowani bądź sami uciekli na drugą stronę granicy) atakowały polskie posterunki graniczne, w tym również załogi polskich schronów bojowych. Krew lała się szerokim strumieniem. Ginęli niemieccy dywersanci, polscy żołnierze i policjanci. Wywiad polski szalał dokonując aresztowań i starając się rozbić niemieckie siatki dywersyjne.

Dla przykładu, w nocy z 27 na 28 sierpnia 1939 r. od strony Zabrze silna grupa „Freikorpsu” przeniknęła przez granicę i weszła dość głęboko w terytorium Polski. Została zatrzymana przez powstańczą samoobronę. Do walki włączyły się schrony bojowe tworzące sektor „Czarny Las” (obecnie część Rudy Śląskiej). Niemieccy dywersanci ponieśli spore straty (około 16 zabitych) i wycofali się do zabudowań cegielni w Bielszowicach, skąd zostali następnego dnia wyparci. Na tym samym odcinku polskiej obrony atak niemieckich dywersantów powtórzył się w nocy z 31 sierpnia na 1 września 1939 r. Tym razem atakował oddział „Freikorpsu” pod dowództwem Karla Rolle i ponownie atak został odparty.

W nocy z 30 na 31 sierpnia nastąpiło silne uderzenie „Freikorpsu” na Maciejkowice (obecnie dzielnica Chorzowa), których broniła kompania Obrony Narodowej pod dowództwem por. Alfonsa Piechy i kompania powstańcza pod dowództwem Edmunda Ledwonia i Karola Marcinkowskiego. Dywersantom zależało na przedarciu się w rejon Starego Chorzowa, gdyż mieli zamiar opanować elektrownię. Atak odparto, ale dopiero przy użyciu samochodów pancernych. W nocy z 31 sierpnia na 1 września nastąpił również atak bardzo silnej grupy niemiec-

kich dywersantów na teren huty „Hubertus” w Łagiewnikach (późniejsza huta „Zygmunt”). Dzięki zaskoczeniu udało im się błyskawicznie opanować teren huty, a także znajdujący się w jej pobliżu polski schron bojowy. Następnego dnia został on odbity przez siły polskie. To wszystko wcześniej, niż słynne Westerplatte...

Dowódca Grupy Fortecznej „Śląsk” płk Wacław Klaczyński stale meldował dowódcy Grupy Operacyjnej „Śląsk” gen. bryg. Janowi Sadowskiemu o walkach z dywersantami. W dniu 1 września w rejonie Michałkowic, Orzegowa, Rudy, kopalni „Wolfgang”, dworu Nowa Ruda, cegielni w rejonie Czarnego Lasu i Bielszowic, Szarleja, dworu Antoniowiec, kolonii Styczyńskiego, Brzezin, huty „Hubertus” i lasu „Skarboferm”, a w dniu 2 września w rejonie Brzezin, kolonii Styczyńskiego,

Czarnego Lasu, Białego Szarleja, szybu „Klotylda” na południe od Brzozowic, kopalni „Wolfgang”, Kończyc i Halemby – wszędzie tam trwały zaciekle starcia graniczne. Tak było już od wielu dni.

Walka na śmierć i życie

Niemieccy sztabowcy bezlitośnie wykorzystali fakt, że skrzydła Obszaru Warownego „Śląsk” nie zostały zakończone. Bez wątplenia stanowiły słaby punkt polskiej obrony. Co prawda polscy dowódcy starali się zatkać „wyrwę” na skrzydłach poprzez skierowanie tam jednostek piechoty i kawalerii, ale jak pokazały najbliższe wydarzenia, to nie wystarczyło. O przełamaniu polskich skrzydeł obrony opowieść za chwilę. Chciałbym się skupić na „bitwie wyrskiej”, rozgrywającej się obok schronu „Sowiniec”. Ten obiekt widział ją na własne oczy...

Natarcie niemieckiego VIII Korpusu Armijnego (8 i 28 Dywizje Piechoty) na lewe skrzydło Grupy Operacyjnej „Śląsk” przyjęło charakter zmasowanego działania piechoty i artylerii. W ciągu 1 września wywiązała się bardzo silna walka ogniowa na całym odcinku polskiej 55 Dywizji Piechoty Rezerwowej (dowódca płk Stanisław Kalabiński) oraz od „Wzgórza 341” (na zachód od Mikołowa) aż do rzeczki Gostynki. Szczególnie uporczywy niemiecki nacisk szedł na wyrwę w środku tego odcinka.

Oprócz tego oddział rozpoznawczy niemieckiej 28 DP (dowódca gen. leut. Hans von Obstfelder) przeniknął pod Kobiórem w głąb polskiego ugrupowania, jednak zaciekle opór stawiał mu pluton pionierów z 201 Pułku Piechoty. Około południa przybyło tam i odrzuciło Niemców zgrupowanie dowódcy 201pp, ppłk-a Władysława Adamczy-



Scena z „bitwy wyrskiej” w 2014 r.



Prezentacja czołgu „Twardy” na imprezie plenerowej.

le artyleryjskim, nieprzyjaciel zdołał wdrzeć się do miejscowości Wiry. Rzucony do przeciwuuderzenia ostatni polski batalion odwodowy grupy, II batalion z 73pp pod dowództwem ppłk-a Władysława Kielbasy odebrał Wiry w ciężkim boju, w którym zginął sam dowódca. Również natarcie polskiej 23 DP posunęło się naprzód. Zajęto już w tym czasie Żwaków, patrole dochodziły do rzeki Gostynki, ale nie zdołano nawiązać kontaktu z obrońcami Kobióru dowodzonymi przez ppłk-a Władysława Adamczyka. W bitwie „wyrskiej” dużą rolę odegrał polski pociąg pancerny Nr 51 „Groźny”, skutecznie ostrzeliwujący pozycje niemieckie.

Polacy zdołali więc odrzucić do tyłu nacierające oddziały niemieckie i zadać im ciężkie straty. Szkoda, że dalsza sytuacja rozwinęła się bardzo niekorzystnie, a owe sukcesy poszły w zapomnienie.

Kłęska na skrzydłach

Polska 7 Dywizja Piechoty (dowódca gen. bryg. Janusz Gąsiorowski) próbowała załatać wyrwę powstałą na styku obrony Armii „Kraków” i Armii „Łódź”. Nie udało się. W pierwszych dniach września została doszczętnie rozbita. Działająca na północ od lasów świerkowieckich Krakowska Brygada Kawalerii (dowódca gen. bryg. Zygmunt Piasecki) padła pod uderzeniem niemieckiej 2 Dywizji Lekkiej (dowódca dowódca gen. leut. Georg Stumme), opuściła swoje pozycje pod Woźnikami i odeszła na Zawiercie, otwierając tym samym drogę dla szybkich jednostek niemieckich na skrzydło i tyły tej grupy. Skrzydło północne polskiej obrony całkowicie pękło.

W rejonie Pszczyny trwały ciężkie

ka. Zadaniem tego zgrupowania było utrzymanie za wszelką cenę Kobióru. O godz. 17.00 wyszło kolejne natarcie niemieckie, lecz zostało odparte. W czasie walk pod Mikołowem bohatersko zapisała się na kartach historii mikołowska kompania batalionu Obrony Narodowej „Katowice” kapitana Tytusa Wikarskiego składająca się z samych Górnoszlązaków, która przez dwa dni broniła bohatersko „Wzgórza 341” tracąc przy tym 50% swego stanu. Kompania ta pomimo skrajnego wyczerpania walką i poniesionych strat prosiła o pozostawienie na pozycji. Jej żołnierze nie chcieli być zluzowani.

Gen. Sadowski był pewien, że nieprzyjaciel kieruje swój główny wysiłek na korytarz „mikołowski” oraz wzdłuż rzeki Gostynki, dlatego zdecydował się więc przesunąć do rejonu Tych swój główny odwód, czyli większość sił 23 Dywizji Piechoty (dowódca płk dypl. Władysław Powierza) w składzie pięciu batalionów piechoty i III dywizjonu 23 pal. Tak więc w dniu 2 września od samego rana na Górnym Śląsku zawiązywała się ciężka i skomplikowana walka Grupy Operacyjnej „Śląsk” z naporem Niemców na Mikołów, Wiry i Kobiór.

Polskie kontrataki

III batalion z 73pp (23 DP) już wieczorem w dniu 1 września przybył do lasu Wiry i wszedł w kontakt bojowy z nieprzyjacielem, który wdarł się do lasu od rzeki Gostynki. Ppłk Piotr Sosiałuk zdecydował się cofnąć na „Wzgórze 280”, na północny wschód od Żwakowa i tam się bronić. Zważywszy na ciężką sytuację 73pp, dowódca 23 DP zarządził przeciwnatarcie 75pp przy wsparciu pocią-

gu pancernego nr 54. Przeciwnatarcie ruszyło około godz. 10.00 i było prowadzone od stacji kolejowej Tychy wzdłuż toru w kierunku na Żwaków. Postępowało ono jednak zbyt powoli, więc w godzinach popołudniowych dołączył do niego uderzający z kolumny batalion I batalion z 73pp. Około godziny 17.00 opanowano Żwaków i zanim wszystkie oddziały zebrały się w tym rejonie, zapadł zmierzch. Większość sił polskiej artylerii, czyli łącznie 14 baterii, w tym pięć ciężkich i jedna forteczna, kładły swoją zaporę ogniową na kierunku mikołowskim, hamując posuwanie się niemieckiej piechoty.

Nadal trwały ciężkie walki pod Wyrami i pod Mikołowem. Około godz. 15.00, po wcześniejszym silnym ostrza-



Obozowisko rekonstruktorów.



Obozowisko rekonstruktorów.

walki z czołgami z niemieckiej 5 Dywizji Pancerniej (dowódca gen. płk Heinrich von Viettinghoff-Scheel). Wcześniej ta sama niemiecka dywizja uderzyła na południu przez Rybnik i Żory, rozbiła tam i zniszczyła większość sił I/75pp (23 DP) w Rybniku i kompani Obrony Narodowej „Rybnik” wraz z 5 bat. II/23pał w Żorach. Broniący się pod Kobiórem ze swym zgrupowaniem ppłk Adamczyk meldował, że ma już niemieckie czołgi na swoich tyłach. Sytuacja na skrzydle południowym stawała się dramatyczna.

W tym bardzo trudnym położeniu militarnym w dniu 2 września około godz. 15.00 dowódca Armii „Kraaków” w rozmowie telefonicznej zawiadomił gen. Sadowskiego, że ma się liczyć z odwrotem ze Śląska, i to już najbliższej nocy. Wiadomość ta stanowiła dla Sadowskiego całkowite zaskoczenie. Toteż w godzinę później zwrócił się do dowódcy armii z prośbą o przesunięcie terminu odwrotu na dzień 3 września wieczorem. Szylling odpowiedział, że położenie operacyjne obu skrzydeł armii nie pozwala na zwłokę. Niestety miał rację...

Pamięć „bitwy wyrskiej”

Był rok 2004; remont schronu „Sowińiec” znajdował się już na ukończeniu. Był to trzeci obiekt, jakim zajęło się nasze stowarzyszenie. Jednakże dwóch Arków i dwóch Tomków, a także inne pomagające im osoby (niektórych z nich nie ma już w szeregach stowarzyszenia) postanowili zrobić coś jeszcze. Przypomnieć ludziom o heroicznym wydarzeniu, jakim była bitwa wyraska i przypomnieć tych, którzy w niej walczyli i polegli.

W tamtych czasach idea inscenizacji historycznych była jeszcze mało znana. Nikt nie wiedział, jak się za to wziąć.

Jednakże koledzy z „Sowińca” uparli się. Wśród nich było trochę osób zajmujących się rekonstrukcją historyczną. Mieli własne mundury – polskie czy niemieckie. Tych było dość łatwo pozyskać. Ale to nie wszystko. Do imprezy, którą planowali, trzeba było sporej logistyki – zabezpieczenia terenu, strzelającej broni, ślepej amunicji i wielu innych rzeczy. Wiele by o tym pisać.

W 2004 r. odbyła się pierwsza edycja „bitwy wyrskiej”. Gdyby nie przychylność władz gminy Wyrzy, nic by z tego nie było. Na szczęście

zrozumiano, że warto. Każda kolejna edycja miała większy rozmach. W chwili obecnej inscenizacja nazywana ciągle „bitwą wyrską” jest największą tego typu imprezą w południowej Polsce. W 2019 r. odbyła się jej piętnasta edycja. Piętnaście lat! Aż trudno w to uwierzyć. Arek D., Tomek J., Piotr A., Arek O., Tomasz W. – to osoby, które udowodniły, że marzenia stają się faktem. Arek D., który na bazie bitwy wyrskiej stał się prawdziwym specjalistą od inscenizacji historycznych, był i nadal jest głównym motorem napędowym tego przedsięwzięcia. No i oczywiście gmina Wyrzy... nasz wierny sojusznik.

Koledzy z koła tyskiego udowodnili, że możliwe jest nawet dokończenie czegoś, co wcześniej nie zostało ukończone. Wtedy porzucone z powodu braku czasu, a dzisiaj zostało dokończony z powodu ludzkiej pasji i uporu. Do tego pokazali, że marzenia mogą być spełnione, a przypomnienie tych wielkich wydarzeń jest możliwe. Przez owe 15 lat zaistniały w ludzkiej świadomości. Wcześniej niewiele osób o tym pamiętało. Cóż z tego, że w Wyrach stoi pomnik polskich żołnierzy. Kogo interesują pomniki?

Warto było to wszystko zrobić. Trzeba mieć w sobie siłę, nawet jeśli czasami zadania wydają się niewykonalne. Bo jednak czasami życie nagradza trud i pokazuje, że nie ma rzeczy niemożliwych. ■

Dariusz Pietrucha – historyk z wykształcenia, absolwent Uniwersytetu Śląskiego, wieloletni nauczyciel historii, od urodzenia związany ze Śląskiem, miłośnik i badacz historii regionu, autor wielu książek i artykułów, prezes Stowarzyszenia na Rzecz Zabytków Fortyfikacji „Pro Fortalicium”.



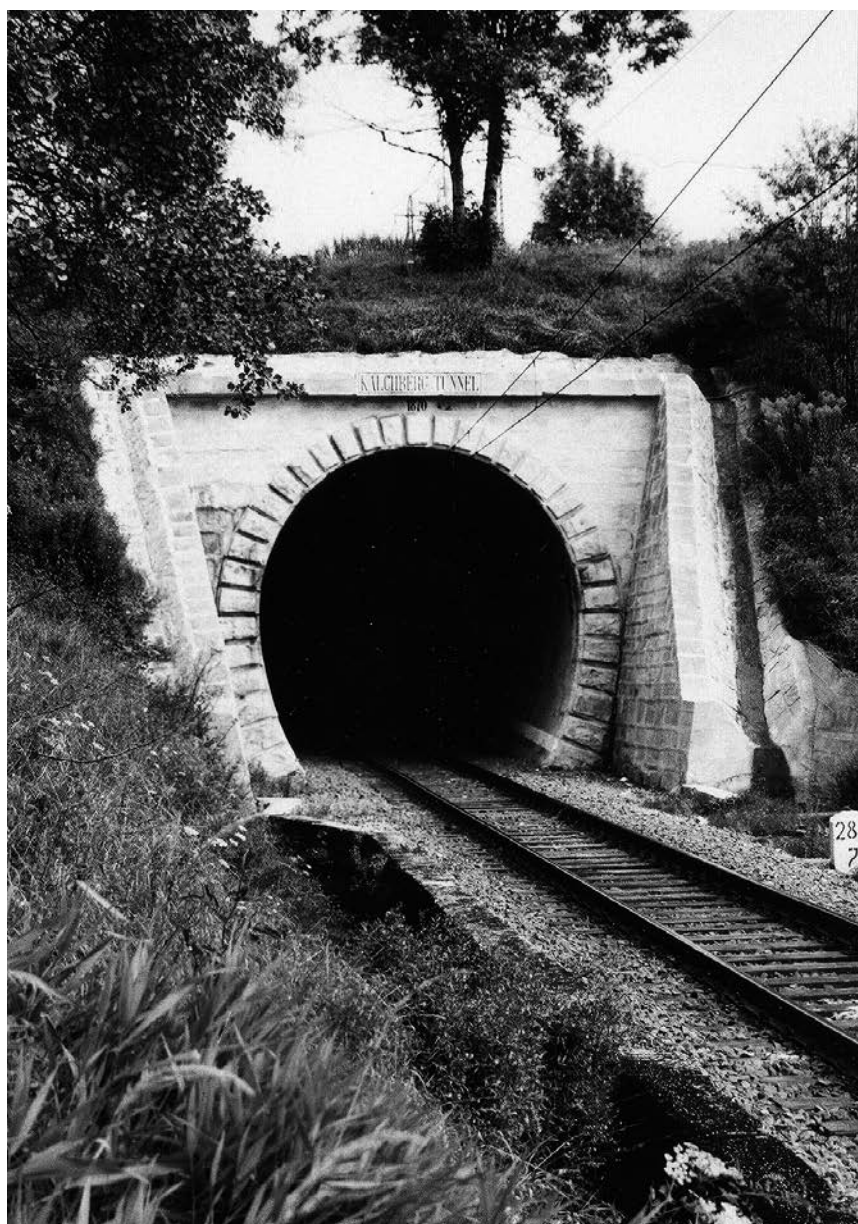
Autor wraz z grupą rekonstruktorów.

W niespokojnych, sierpniowych dniach 1939 roku, w gęstniejącej wojennej atmosferze, na Zaolziu doszło do nocnych walk z Niemcami – na tydzień przed wybuchem wojny. Do dziś incydent ten jest mało znany, a najciekawszym aspektem owego boju jest fakt, iż zdarzył się wskutek pomyłki agresora.

Jesienią 1938 roku południowa granica II Rzeczypospolitej uległa zmianie, a powierzchnia kraju powiększyła się o tereny Zaolzia. 2 października pododdziały Samodzielnej Grupy Operacyjnej „Śląsk” — związku taktycznego regularnego Wojska Polskiego, pod dowództwem gen. bryg. Władysława Bortnowskiego, zajęły tereny czzechosłowackiego Śląska Cieszyńskiego, znajdujące się od roku 1919 pod kontrolą Czechosłowacji. Siły polskie liczyły prawie 36 tysięcy oficerów, podoficerów i żołnierzy wojska, Obrony Narodowej, Korpusu Ochrony Pogranicza i Straży Granicznej. Zadania pomocnicze na zapleczu wspomagałi funkcjonariusze policji i kolei. Zgrupowanie, które miało odbić Zaolzie, miało do dyspozycji kilkanaście eskadr lotnictwa i pociąg pancerny. Dysponowało też ponad setką pojazdów pancernych, głównie czołgów, w tym jednymi z najlepszych w ówczesnej Europie czołgami 7TP polskiej konstrukcji.

Operacja zakończyła się 9 dni później. Do Polski przyłączono m.in. Karwinę, Trzyniec, Stonawę, Jabłonków, Frysztat, Wędrynię i oczywiście czeską część Cieszyna (przy okazji warto pamiętać, iż obecna granica polsko-czeska na Olzie, przywrócona w 1945 roku, to właśnie linia sprzed 2 października 1938 roku). Wkroczenie polskich sił na Zaolzie, było jednym z następstw konferencji w Monachium, na której Wielka Brytania, Francja, Niemcy i Włochy podpisały porozumienie, w myśl którego Czechosłowacja miała oddać część swoich ziem. Strona niemiecka zainteresowana była tzw. Krajem Sudeckim, zamieszkanym w większości przez ludność niemiecką. Strona polska w trakcie operacji zaolziańskiej zajęła teren, będący obszarem spornym między oboma krajami od 1919 roku, gdy oddziały czzechosłowackie wykorzystując zaangażowanie polskiej armii na Wschodzie, próbowały zająć cały Śląsk Cieszyński; do ciężkich walk doszło wtedy m.in. pod Skoczowem.

Udział w rozbiorze Czechosłowacji uznawano więc w 1938 roku za akt dziejowej sprawiedliwości a ówczesne pisma ilustrowane pełne były zdjęć kolumn polskiej piechoty na ulicach zaolziańskich miast. Kilka miesięcy później Czechosłowacja przestała istnieć, rozpadając się na okupowany przez hitlerowców Protektorat Czech i Moraw, oraz faszystowską, marionetkową Słowację. Dla polskich sztabowców, wobec coraz bardziej agresywnej postawy Hitlera, oznaczało to, iż dawna polsko-czechosłowacka granica jest w praktyce granicą polsko-niemiecką. Ruszyły prace fortyfikacyjne po obu stronach Olzy, w samym Cieszynie wybudowano kilka schronów bojowych. Szczególnie ważnym obiektem na nowej granicy były jednak tunele kolejowe pod Przełęczą Jabłonkowską (obecnie na granicy Republiki Czeskiej i Re-



Wlot do jednego z tuneli – stan z lata 1999 roku; gdy obiekt wyglądał identycznie jak przed wojną.

Bitwa przed wojną

Pierwsze strzały: 26 sierpnia 1939

TOMASZ BIENEK

publiki Słowacji) oraz stacja Mosty koło Jabłonkowa. Tunelami przechodziła ważna linia kolejowa z Czadcy do Cieszyna, łącząc w ten sposób kilka innych magistral w tym rejonie Europy.

W przypadku ataku na Polskę, uchwycenie tych obiektów w nienaruszonym stanie umożliwiłoby szybkie przerzucanie wojsk koleją z obszaru Słowacji. Dowództwo polskie było tego świadome i gdy groźba wojny stawała się coraz bardziej realna, podjęto odpowiednie kroki, by zabezpieczyć tunele na wypadek agresji. Pilnowali ich żołnierze placówki Straży Granicznej umieszczonej w pobliskiej wsi Świerczynowiec, a także drużyna

piechoty z 4 Pułku Strzelców Podhalańskich. Dodatkowo w czerwcu 1939 roku skierowano tutaj dwa plutony saperów, którzy przygotowali tunele do wysadzenia w powietrze. Prace te polegały m.in. na odpowiednim wydrążeniu niszy na ładunki wybuchowe. Po zakończeniu robót minerskich jeden z plutonów wycofano, natomiast w pobliskich Jabłonkowie i Trzyńcu stacjonowały jednostki Obrony Narodowej.

Niemcy zdawali sobie sprawę, iż nietatwo będzie zdobyć tunele w otwartej walce, zatem Polacy zdążą je wysadzić. Już w maju 1939 roku opracowali więc plan, zakładający że w noc, poprzedzającą inwazję, oba tu-



Stacja Mosty koło Jabłonkowa, stan obecny.

nele i stacja Mosty Jabłonkowskie (pierwszy na północ od wylotu tuneli dworzec kolejowy), zostaną opanowane przez specjalny oddział, w skład którego wchodził zaufani członkowie hitlerowskich organizacji pochodzący z terenu Zaolzia. Przygotowania do akcji koordynowała delegatura Abwehry (niemieckiego wywiadu wojskowego) we Wrocławiu. Pomimo wielkiej tajemnicy plan był prosty – zakładał on, iż niewielki oddział, prowadzony przez znających teren, lokalnych hitlerowców, zapobiegnie wysadzeniu tuneli i utrzyma je, aż do nadejścia regularnych sił zbrojnych III Rzeszy, co wedle planu miało nastąpić kilka godzin później. Dowódcą grupy mianowany został ppor. Hans Albrecht Herzner, być może dumny ze swojej misji lecz na pewno nieświadomy z figla, jakiego miała mu spletać historia.

Początkowo termin ataku na Polskę wyznaczony był bowiem na godziny ranne 26 sierpnia 1939. Zgodnie z tym założeniem, małe dywersyjne grupy, jak oddział Herznera, miały ruszyć do akcji po zmroku 25 sierpnia, na kilkanaście godzin przed atakiem. Jednak w późnych godzinach wieczornych, gdy oddziały Wehrmachtu rozpoczęły już wymarsz na pozycje wyjściowe do natarcia, Hitlerowi doniesiono, iż Polska zawarła właśnie z Wielką Brytanią pakt wojskowy. Wódz III Rzeszy rozkazał wstrzymać operację przeciw Polsce, ale rozkaz o nagłym odwołaniu ataku nie dotarł na czas do wszystkich oddziałów. Na pewno nie dotarł od jednostek dowodzonych przez generała Otta, stacjonujących w rejonie słowackich Czadcy i Żyliny. Wchodząca w ich skład bojówka porucznika Herznera i tak była już w drodze ku przeznaczeniu.

Dalszy, dość żaloszny scenariusz zdarzeń w okolicy stacji Mosty Jabłonkowskie przypomina klasyczny western. Grupa dywersyjna Herznera po zmroku zesłała z gór. Przy bezsensownej strzelaninie, opanowano stację. Bojówkarze, być może świetni przewodnicy i zatwardziali hitlerowcy, w akcji bojowej okazywali zdenerwowanie, emocje wyraźnie

brały górę nad zdrowym rozsądkiem. Karabinowe i pistoletowe kule trafiały w okna stacyjnych budynków, pobliskiej szkoły, co bardziej okazałych domów.

Hitlerowcom udało się zająć stację, i wziąć zakładników – w postaci grupy robotników udających się do huty w Trzyniecu. Nie udało się jednak opanować tuneli, lepiej pilnowanych niż przewidywały to raporty Abwehry. Od strony tunelowych wylotów chaotycznej palbie odpowiadały dobrze wstrzelane serie polskich rkm-ów. Tymczasem od strony Jabłonkowa nadciągała polska odsiecz. Wstał już świt, a zaplanowanych na wczesne godziny poranne, niemieckich salw, wciąż nie było słyhać. Telefony na stacji nie działały – polscy saperzy sprawnie odcięli agresorów od łączności, lecz ci przez własną radiostację dowiedzieli się o odwołaniu ataku. Herzner wpadł na pomysł ucieczki na słowacką stronę zatrzymanym pociągiem, co nie

udało się, bo polscy saperzy przezornie rozkręcili już tory. Złapani we własną pułapkę dywersanci powzięli pomysł ucieczki przez góry na piechotę – i było to ich jedyne udane posunięcie podczas tej akcji.

Gdy przed południem 26 sierpnia 1939 beskidzki wiatr rozwiął już zapach spalonego prochu, niemiecka strona złożyła oficjalną notę dyplomatyczną, w której zawarto przeprosiny za incydent zbrojny, dokonany przez „niepoczytalnego osobnika”.

Wytracając element zaskoczenia, hitlerowcy zyskali tylko tyle, że nad ranem 1 września, gdy zaczął się prawdziwy atak, perfekcyjnie rozmieszczone przez saperów-podhalanczyków z Cieszyna ładunki zostały odpalone i oba tunele przestały istnieć. Beskidzkie doliny potworzyły huk eksplozji, która zarówno tunele, jak i górę pod którą prowadziły, rozszarpała od środka. Nawet nawierzchnia szosy, biegnącej górą przez przełęcz ponad tunelami, uległa spękaniu. Zniszczonych, zawalonych górskimi skałami tuneli nie udało się Niemcom odbudować przez lata. Pierwszy oddali do użytku w 1941 roku, gdy sytuacja geopolityczna tego regionu świata była już zupełnie inna.

Dzisiaj Mosty koło Jabłonkowa, to spokojna, drugorzędna choć zadbane stacja kolejowa, w pobliżu zbiegu granic Polski, Czech i Słowacji. Tunele kolejowe, będące przedmiotem bojów w 1939 diametralnie się zmieniły; w 2014 roku wydrążono nowy tunel przystosowany dla potrzeb nowoczesnych kolei, przez co dwa wcześniej istniejące – uległy zagładzie i nie został po nich żaden ślad – jeśli nie liczyć austro-węgierskich zwieńczeń łuków tunelowych z datami ich wydrążenia. Obecnie elementy te, od których z pewnością w 1939 roku rykoszetowały polskie i niemieckie kule, można zobaczyć jako ekspozycję plenerową na peronie stacji w Mostach. Towarzyszy im także tablica informacyjna z licznymi zdjęciami dokumentalnymi, wiele mówiąca na temat burzliwych losów jabłonkowskich tuneli. ■



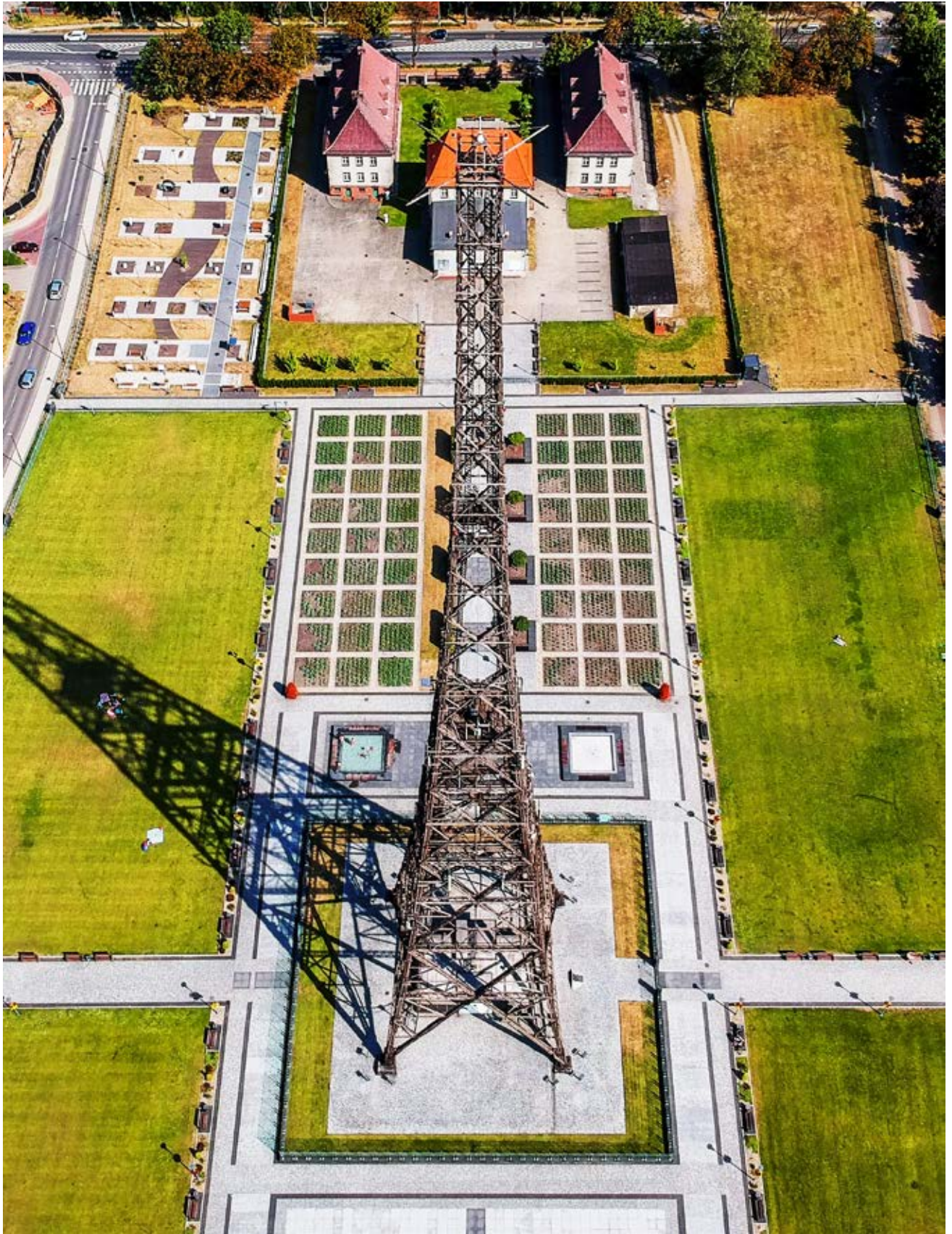
Zachowany na pamiątkę element pierwotnego wlotu do jednego z tuneli z datą budowy 1870. Relikt obejrzieć można na stacji Mosty koło Jabłonkowa.



Zajęte w 1938 roku Zaolzie, na którym jednym z najważniejszych obiektów był tunel w Mostach k. Jabłonkowa, zostało ufortyfikowane przez Wojsko Polskie. Na zdjęciu schron bojowy „Danuta” wybudowany w 1939 roku w Cieszynie (obecnie po czeskiej stronie).



Obecny wlot do całkowicie zmodernizowanego tunelu pod Przelęczą Jablunkowską.



Radiostacja Gliwice w roku 2019. Na pierwszym planie modrzewiowa wieża antenowa (111 m). Miejsce niemieckiego napadu na niemiecką radiostację 31 sierpnia 1939 (środkowy budynek). O prowokacji gliwickiej „Śląsk” pisał wielokrotnie, ostatnio we wrześniu 2018. Wobec licznych mylnych publikacji należy przypomnieć, że napastnicy działali w ubraniach cywilnych jako rzekomi powstańcy śląscy. Komunikat o tym wydarzeniu nadała agencja Deutsches Nachrichtenbüro drogą radiową i telegraficzną na cały świat 31 sierpnia 1939 o godz. 22.30. Informowano wówczas również o agresywnych działaniach polskiego wojska w dwóch innych miejscach, gdzie jakoby toczyły się ciężkie walki. Celem tego działania (i wielu podobnych) było obciążenie Polski winą za wybuch wojny. Głównym adresatem dezinformacji były rządy Francji i Wielkiej Brytanii. Dostarczono im dodatkowego argumentu na rzecz nieudzielenia Polsce pomocy militarnej. Po wojnie nadawano stąd program Radia Katowice, a w latach 1952–56 zagłuszano radiostacje zachodnie na falach średnich i krótkich. W roku 2002 Miasto Gliwice wykupiło całą 3-hektarową posesję i udostępniło wszystkie obiekty zwiedzającym. Od roku 2005 Radiostacja jest oddziałem Muzeum w Gliwicach. Fot. z drona – Patryk Bródka.

Między
nutami



MAGDALENA DZIADEK

Leon Kubica (1903-1943)

Zgodnie z planem, podaję najnowsze informacje o życiu i działalności organisty i kompozytora z Zabrza Leona Kubicy. Ten niezwykle zasłużony człowiek miał pecha i w życiu – które przedwcześnie zgasło na „niehumanitarnej ziemi” – i po śmierci, jako że jego nazwisko było regularnie pomijane w różnych spisach absolwentów i muzyków; nieliczne hasła biograficzne rozsiadane po słownikach przynoszą jedynie szczątkowe, a często przy tym błędne informacje na jego temat. Osobą Leona Kubicy zainteresowałam się jakiś czas temu na prośbę profesora Antoniego Jonecko – chirurga i onkologa z Rzeszowa, żonatego z córką artysty. Od niego otrzymałam garść dokumentów rodzinnych oraz kserokopie fragmentów dwóch *Mszy polskich* skomponowanych przez Kubicę. Dokumenty te opracowałam w ramach prac na moim seminarium w Instytucie Muzykologii UJ nasz młody, utalentowany historyk o niewyczerpanej pasji – Andrzej Edward Godek. Jego praca o Kubicy, zawierająca krytyczno-źródłowe opracowanie jednej z *Mszy polskich* (Kubica napisał przynajmniej trzy tego rodzaju utwory, a nie jeden, jak dotychczas sądzono) oraz detaliczne informacje o losach artysty i jego dorobku, zebrane podczas przeprowadzonej sumiennie kwerendy archiwów i przedwojennej prasy, została przekazana do druku w publikacji przygotowywanej na KUL. Zanim się książka ukáže, warto zerknąć do maszynopisu, by zorientować się, czego od Godka można się będzie dowiedzieć. A więc najpierw lata nauki – poznamy nazwisko pierwszego organisty, u którego uczył się fachu – był to zabrzański muzyk Mateusz Głęb, urzędujący w parafii św. Agnieszki. Następnie widzimy Kubicę pobierającego przez trzy lata naukę w bytomskim konserwatorium Cieplika oraz zaocznie w Państwowym Konserwatorium w Poznaniu, a w roku akademickim 1927/28 realizującego roczny kurs nauki w słynnej szkole muzyki kościelnej w Ratyźbonie. Jeszcze przed wyjazdem do Niemiec, w 1927 roku, Kubica zadebiutował publicznie jako działacz Związku

Powstańców Śląskich (sam był weteranem powstania z 1921 roku) i jako kompozytor. W czasie dorocznego Święta Pieśni chórów śląskich założony przez Jana Witta Zbiorewy Chór Górnośląski wykonał jego pieśń *Śląska Ojczyzno*. W 1929 roku Leon Kubica objął po Janie Witcie prowadzenie polskiego chóru kościelnego w kościele św. Franciszka w Zaborzu. Prowadził go do wybuchu wojny. Oprócz tego dyrygował Chórem męskim oraz Chórem kościelnym z parafii św. Andrzeja w Zabrze, Towarzystwem Śpiewu Kongregacji Marińskiej z Sośnicy, Towarzystwem Śpiewu Gwiazda z Mikulczyc oraz Chórem kościelnym z Piaskowca (Piaskowice). Zespoły prowadzone przez Kubicę, zwłaszcza Chór św. Franciszka, zdobywały liczne nagrody na zjazdach i turniejach śpiewawczych. Wspólnie z dwoma innymi aktywnymi działaczami polskiego ruchu chóralnego na Śląsku Opolskim: Wittem i Henrykiem Tonderą, Kubica prowadził kursy dla dyrygentów i uczestniczył w przeglądach chórów. W 1930 r. Chór kościelny św. Franciszka świętował jubileusz pięciolecia działalności. Z tej okazji powstała pierwsza z *Mszy polskich* Kubicy. Nie została jednak z jakichś przyczyn wykonana podczas jubileuszu. Zamiast niej chór wykonał *Mszę G-dur* Franciszka Schuberta. Zabrzmiały wszakże dwie inne kompozycje Kubicy: *Weź w swą opiekę* i *Tantum ergo*. W kolejnych latach Kubica opracował na chór szereg pieśni. Godek zidentyfikował na podstawie druków ulotnych ok. 20 tytułów, zarówno pieśni kościelnych, jak i świeckich (ludowych bądź okolicznościowych). Szesć innych tytułów przejął z biogramu sporządzonego przez Piotra Świerca. Pieśni opracowane przez Kubicę były chętnie wykonywane przez zespoły działające na Śląsku Opolskim. Rekordową popularnością cieszyły się jednak dwie spośród skomponowanych przez niego mszy, o incypitach *Ojciec łaskawy* i *Z pokłonem*. Pierwszą z nich wykonywał Henryk Tondera jeszcze po 1945 roku, z chórami Gwiazda z Mikulczyc i Chopin z Zabrza.

Kubica tworzył ponadto muzykę do widowisk teatralnych, dawał także do czasu

do czasu recitale organowe (m.in. złożone z utworów J.S. Bacha, których słuchała z satysfakcją zarówno publiczność polska, jak i niemiecka). Po dojściu Hitlera do władzy zaczął być szykanowany przez władze. Jego nazwisko zostało, podobnie jak nazwiska Witta i Tondery, wciągnięte na listę „podopiecznych” Gestapo. Jeszcze przed wybuchem II wojny światowej Leon Kubica został aresztowany, a następnie przewieziony do obozu koncentracyjnego w Buchenwaldzie. W czasie wojny został zwolniony i podjął pracę jako organista parafii pw. św. Mikolaja w Krapkowicach. Następnie został przymusowo wcielony do Wehrmachtu i wysłany na front wschodni. Dostał się do niewoli radzieckiej i został umieszczony w obozie jenieckim w Brześciu Litewskim, skąd przeniesiono go do obozu w Ligowie, gdzie uległ wypadkowi. Antoni Jonecko powołuje się na relację Antona Bartha, według której powóz konny wiozący Leona Kubicę miał najechać na minę. Według niego Kubica przeżył wybuch, jednak zmarł w czasie transportu do szpitala w Leningradzie. Stało się to prawdopodobnie w 1943 roku.

Ze spuścizny kompozytorskiej Kubicy wyszła drukiem tylko jedna pieśń – *O święta pieśni gminna*. Została zamieszczona (w wersji jednogłosowej) w pierwszej części słynnego zbioru *Echa śląskie. Pieśni dla ludu polskiego na Śląsku Opolskim* (Katowice 1935), którego nakład został skonfiskowany przez władze niemieckie. Śpiewnik zrekonstruował i wydał na początku lat 80. ubiegłego stulecia Piotr Świerc. Dzięki mrowczej pracy Andrzeja Godka dysponujemy obecnie pełną rekonstrukcją tekstu *Mszy polskiej „Ojciec łaskawy”* na chór mieszany i organy. Powiada Godek, że kompozycja ta nie jest jakąś muzyczną rewelacją, a tym bardziej brak w niej elementu „czysto śląskiego”, który chętnie odnajdowali w niej przedwojenni świadkowie. Pod względem warsztatu jest poprawna, pod względem stylu naśladuje standardowe utwory klasyczne. Z pewnością zasługuje jednak na powtórne zaprezentowanie przez nasze chóry, jako cenna pamiątka czasów walki o polską kulturę religijną na Górnym Śląsku.



MIĘDZY CISZĄ A HAŁASEM

MARIAN GRZEGORZ GERLICH

Sierpniowe rocznice i ich świętowanie

Sierpień to miesiąc upamiętniania wielu znaczących wydarzeń w naszej historii. One też swoiście ciążyą nad teraźniejszością, wywołując nie tylko poczucie wspólnoty, ale i gorące nieraz polemiki, a nawet wręcz spory, podziały. Owe wydarzenia są niewądziliwie wzniosłe, ale i tragiczne. Ważne i znaczące w czasie ich trwania, jak i ważne dla naszej współczesnej tożsamości i zbiorowej pamięci. Są wśród owych wydarzeń i rocznicowych świąt sierpniowych o zasięgu ogólnopolskim, o zasięgu regionalnym, a wreszcie te o lokalnym zasięgu etnicznym. Już pierwszy dzień sierpnia to data szczególna z całą pewnością wyjątkowa. Oto tego dnia wraz z nastaniem godziny „W” – czyli owej oczekiwanej i wymarzonej godziny 17.00 rozpoczęło się Powstanie Warszawskie. To początek owego 63-dniowego heroizmu warszawiaków. Walczono z niemieckim okupantem. W owe dni pełne heroizmu okupanci stopniowo mordowali miasto. Dramat Warszawy to jednak nie tylko walka z okupantem, ale też symboliczny opór wobec swoistego „sojuszu” niemiecko-radzieckiego. W efekcie stolica została wyzwolona 17 stycznia roku następnego: 1945 roku. Po wielu miesiącach wyczekiwania radziecki sojusznik zachodnich aliantów wkroczył do zamordowanego miasta. Odchodzą ostatni uczestnicy tego zrywu, a w ich pamięci tkwi tragizm każdego z tamtych dni. W rocznicę wybuchu Powstania ulice Warszawy o godzinie „W” stają się zastygłe.

Dzień następny 2 sierpnia. Wtedy to w upalny dzień 1944 roku nastąpiła straszna zbrodnia niemieckich oprawców. Nastąpiła systematyczna, planowa likwidacja Zigeunerlager Auschwitz-Birkenau. Wtedy to zamordowano niespełna 3000 Romów. A przez cały czas „pracy” obozu około 21 000 przedstawicieli tej nacji. Owych biednych skazańców „przywożono tam bydłocymi wagonami”, a — jak mówi poetka — „obóz opuścili kominami”. Aby z czasem „tam na niebieskich łąkach Pana jeździć swoimi cygańskimi taborami”. Tęsknili za współbraćmi. Za lasami, za polami, za ogniskami. To wy-

darzenie było przez wiele lat zapomniane, podobnie jak tak zwany „nieznany holokaust Romów”. Rocznicowe obchody tego święta prawie od początku wolnej Polski stały się stopniowo istotnym elementem kształtowania tożsamości tej grupy etnicznej. A dramat ów opisywany w pracach naukowych i zawarty w post pamięci Romów jest też pretekstem do słów jednego z liderów romskich, gdy w owe rocznicowe uroczystości często mówi: „Przebaczymy oprawcom, ale nie zapomnimy”. A rzewne skrzypki romskich artystów w ów rocznicowy dzień żałośnie płaczą nad losem zamordowanych przodków, ale też upominają się o poprawę ciężkiego położenia Romów w wielu krajach Europy. Zastanawia, że niektórzy komentatorzy owego dramatu piszą, iż mordowali Romów naziści. Przecież ani socjologia, ani etnologia nie znają takiej nacji jak naziści. Poprawność to polityczna, czy głupota?

Jest też trzecia data sierpniowa; ale i inne.... Ta trzecia jest ważna dla naszego regionu. Czyli połowa sierpnia 1919, masakra w Mysłowicach i niedługo „trochę dziwny” wybuch pierwszego Powstania Śląskiego. Oto — pomijając wymiar zbrojny konfrontacji — owe trzy lata dowodzą zmiany postaw miejscowych Górnoszlązaków. Jakże zaś znamienne dla naszych czasów jest to, iż istnieją trzy narracje dotyczące Powstań. Pierwsza tradycyjna mówi, że były to — zgodnie z wykładnią oficjalną czasów międzywojnia, PRL-u, ale tej i III RP — Powstania, konkretnie Śląskie,

Ale obok istnieje narracja wskazująca, że lata 1919–1921 to czas „prawdziwej” wojny domowej. Oczywiście w obrębie państwa niemieckiego.

Ostatnio pojawiło się, kolejne spojrzenie — być może też załączek owej trzeciej narracji — która już jednak ułomnie istniała na poziomie przekazów ludowych. Konkretnie pragnę tu przywołać udokumentowaną i intrygującą, ciekawie napisaną pracę prof. Ryszarda Kaczmarka: „Powstania śląskie 1919–1920–1921. Nie-

znana wojna polsko-niemiecka”. Ukazała się w tym roku. Jej edycja jest to niewątpliwie pretekstem do szerszego spojrzenia na kwestie śląskie, także na ich ideologizację i mitologizację, dyskursy polityczne. A dla antropologa zastanawiające jest stwierdzenie wspomnianego historyka — zawarte ostatnio na łamach dodatku do „Polityki” — gdy dowodzi, że owa walka powstańcza: „Do dzisiaj jest ważna w budowie regionalnej tożsamości”. To zdanie musi zastanawiać skoro wiedza o powstaniach i emocjonalny do nich stosunek jest nikły, także wśród Górnoszlązaków. A zatem jakiej tożsamości i kogo?

Kiedyś spotkałem i czwartą, propozycję „Zatrważającą”. Było to u zarania nowej Polski. Młodzi gniewni artyści w pewnym mieście, dodajmy owładnięci pomysłami silnie komunizującymi przekonywali mnie, że Powstania Śląskie to lata rewolucyjnego, konkretyzując „prawdziwie proletariackiego” zrywu. Kogo? Polskojęzycznej ludności Górnego Śląska. Zrywu na kształt i na miarę Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej. No cóż, u zarania wolności wszystko można było gadać. Dziś w naszym regionie, pozostaje faktem to, że śląskie zrywy coraz mniej pobudzają do refleksji intelektualnej. Obojętne pozostają też nasze emocje; nasza zbiorowa wyobraźnia.

A może od tego roku wszystko się zmieni. Wszak w Katowicach dnia 15 sierpnia świętować będziemy 100-lecie powstania i Święto Wojska Polskiego, wspomnimy to, że był i „cud nad Wisłą i „cud nad Rawą”. Może zaśpiewamy:

*Dawna piosenka, piosieczko
Mocnaś ty jak kamień
Już zachodzi czerwone słońeczko (...)*

*Chłopcy w tym wielkim powstaniu
W dziewiętnastym roczku
Szli za tobą jak za wielką panią
Na calutkim Śląsku ...*

Na pewno zaśpiewamy. Warto. ■



JAN MIODEK

W podleszczyńskich Włoszakowicach o... Wodzisławiu Śląskim

Kiedy przed paroma tygodniami gościłem z okolicznościowym wykładem we Włoszakowicach koło wielkopolskiego Leszna, moje myśli biegły cały czas do Wodzisławia Śląskiego, a skojarzenia te wywołało powinowactwo znaczeniowe obu tych nazw miejscowych. Stanowi je podstawa słowotwórcza – imię *Włodzisław*, składające się z członów *Włodzi-* „panować” oraz *-sław* „sława” (por. *Włodzimierz*, późniejszy *Włodzimierz*: *Włodzi-* „panować” + *mir* „pokój” lub z dawn. *mer* (germ. *mar*) „sławny”). Taki kształt owej podstawy słowotwórczej – z samogłoską „o” – zachował się w rzeczowniku *włodarz*, w serii natomiast *włodać*, *włoda*, *Włodzisław* doszło pod wpływem języka czeskiego do powstania ciągu wyrazowego z „a”, czyli *władać*, *włada*, *Władysław* (w formie ostatniej także pierwotne miękkie „dź” przeszło w twarde „d”).

Charakterystycznymi spieszczonymi w dawnej polszczyźnie były formy typu *Piesz//Piech*, *Pasz//Pach*, *Brosz//Broch*, *Wiesz//Wiech*, *Wasz//Wach*, *Warsz* (od niej nazwa miejscowa *Warszewa*, późniejsza *Warszawa*), *Częstosz//Częstoch* (od niej *Częstochowa*), *Stosz//Stoch*, *Stasz//Stach* – urobione od imion *Pieter* (późniejszy *Piotr*), *Paweł*, *Bronisław*, *Więcsław*, *Waclaw*, *Warcisław*, *Częstosław*, *Częstomysł*, *Częstomir*, *Stoisław*, *Stoigniew*, *Stoimir*, *Stanisław*. Nietrudno się w kontekście tych postaci domyślić, że spieszczaniem imienia *Włodzisław* był *Włóż*, jego morfologicznym wzmocnieniem zaś jest brzmienie *Włoszak* – z częstym w Wielkopolsce przyrostkiem *-ak* (por. typowo wielkopolskie nazwiska *Majchrzak*, *Maćkowiak*, *Wachowiak*, *Grzeszkowiak*, *Wal-kowiak*, *Piotrowiak*, *Musielak*, *Frącko-*

wiak). Od tegoż *Włoszaka* pochodzi tzw. patronimiczna (odojcowska) nazwa miejscowa *Włoszakowice* – dzisiejsze *Włoszakowice* – etymologicznie znacząca tyle, co „ludzie, potomkowie *Włoszaka*” (najstarsze zapisy: 1403: *Wlossakowicze*, 1550: *Wloschacowicze*).

Od całej postaci imienia *Włodzisław* pochodzi nasz bardzo stary gród obronny nad potokiem Leśnicą – strażnica na szlaku handlowym Czechy–Brama Morawska–Śląsk, nazwany od imienia księcia raciborsko-opolskiego *Włodzisława*, który w roku 1257 nadał grodowi prawo magdeburskie. Dzisiejsze brzmienie *Wodzisław* to typowy hiperyzm, efekt przesadnej poprawności – rezultat ucieczki przed gwarową wymową typu *uoko*, *uobroz* „oko, obraz”, wzmocniony także charakterystycznym gwarowym uproszczeniem głoskowym grupy *Wło-* na *Wo-*, takim jak w formach *chop. gowa* „chłop, głowa”.

By nazewniczy wątek imienia *Włodzisław* wyczerpać, dopowiedzmy, że dzisiejszy kujawski *Włocławek* to też pierwotny *Włodzisław* (zapis z roku 1065: *Włodisław*), późniejszy *Włodźsław*, *Włodstaw*, *Włocław* i dopiero od XVII wieku *Włocławek* z dodanym przyrostkiem *-ek*.

Goszcząc w podleszczyńskich Włoszakowicach, nie mogłem nie powiedzieć o nazwie miejscowej *Leszno*. Było to pierwotne *Leszczno*, o czym świadczą najdawniejsze zapisy źródłowe: *Leszczno* 1393, 1464, 1520. Nazwa ta pochodzi od przymiotnika *leszczen*, w rodzaju nijakim *leszczno*, a ten od wyrazu *laska* w znaczeniu „leszczyna”. Etymologicznie *Leszczno* znaczy więc tyle, co „miejsce porośnięte laską, czyli leszczyną”. W utworzonym od niego przymiotniku *leszczyń-*

ski (por. także nazwisko *Leszczyński*) „cz” ocalało, bo po grupie spółgłoskowej „-szcz-” następowała samogłoska „y”, w formie podstawowej natomiast po „-szcz-” była jeszcze jedna spółgłoska – „n” – i tę zbitkę ostatecznie uproszczono, stąd – dzisiejsze *Leszno*, a nie *Leszczno*.

Gdy o tym uproszczeniu fonetycznym powiedziałem, uzupełniłem ten wątek wykładu dwoma przykładami. Pierwszy z nich to para wyrazowa *Nisko* (miasto koło Stalowej Woli) i utworzony od niej przymiotnik *niżanski*. I tu w przymiotniku ocalało pierwotne „ż”, w nazwie grodu natomiast, a było to prymarne *Niżsko* – „miejsce położone w niżu, w dole”, trudna do wymówienia grupa spółgłoskowa „-żsk-” zmieniła się w łatwiejsze artykułacyjnie połączenie „-sk-”.

Wreszcie – ja, przybywszy ze śląskiej stolicy – Wrocławia, zwróciłem uwagę wielkopolskich słuchaczy na brzmienie nazwy naszego śląskiego regionu. Pochodzi ona od *Ślężan*, *Ślężaków*, *Ślęzaków* mieszkających nad rzeką *Ślężą*, ta zaś kryje w sobie archaiczny pień *ślęg*, *śląg* o znaczeniu „ciekły, mokry, wilgotny” (moja Mama do końca życia mówiła w słotny, deszczowy dzień o *ślągwie* za oknami!). Kształt tych form podpowiada, że było to pierwotne *Śląż-sko*, w którym grupa głoskowa „-żsk-” też się uprościła do zbitki dwuelementowej i tak powstało *Śląsko*, ostatecznie w naszym języku zmienione na formę rodzaju męskiego *Śląsk*. Etymologicznie jest on z dzisiejszego punktu widzenia zupełnie nieczytelny i dopiero skojarzenie z rzeczną nazwą *Ślęża* i wywiedzionymi od niej derywatami odsłania historyczną prawdę o nazwie całego naszego regionu.

tęsknię za bliskimi którzy odeszli
tyle się wydarzyło. tyle nie mogło
wydarzyć się bez nich

modlitwa nie załatwia sprawy

Idąc w orszaku

wszystko po to by ogrzać tę mroźną chwilę
ubarwić śnieg wiązką świeżych kwiatów
pochylić głowę nad marnością bytu

gdy lustro drewna patrzy inną stroną
pochyłe niebo zahacza o ziemię
natarczywy dzwon oznajmia kres

przeżegnałam noc znakiem rozdarcia
jak po nożu
deszcz obmywa łańcuszek z boskości
mróz do szpiku kości

na postrzępionych różach chłód światła

(Bez)powroty. wakacje na Wiskienicy

próżno szukać. okaże się snem zapach siana
z drewnianych stodół strzecha na bielonym domu
wuj Jan ostrzy kosę. rozpoczęcie żniw

obraz zatrzymany w oku przywołuje go przed dom
teraz przekłuty niebem. przy schodkach z kamienia
pochyła głowę przesuwają rygiel u drzwi. nocą pójdzie
wśród uspionych zagród w kolejności stróżowania

patrzę. wszystko jakby tak samo. brązowy krzyż
zrosnięty z pejzażem wsi. korzeniem w ziemi patrzy w niebo
może coś w tym jest. może trzeba sięgnąć poza martwe
drewno. poza uschnięte ściernisko

horyzont rozcięty pługiem spowija mgła

Szmaragdy perły kamienie

obrazy jak bierki z dzieciństwa. oblizane wkładane
do ust. pierwszy smak śnieg wchłonięty w płuca
skaleczenie zniczem listopada
źródło Słudwi wsłuchuje się w dźwięki z zewnątrz
mikroświat jest planetą pełną cennych surowców
i grubych skór. tutaj uszyje metalowe buty na podróż
to tak jakby porzucić szmaragdowy sen i wziąć
we władanie drugi: inna rzeka obejmuje nurt
zapamięta refleksy słońca pąk kruchy jak kryształ
mieniące się aksamitne płatki w barwnej sukience
zatrzyma wiersze choć stopy nie wiodą na szczyt
szklanej góry. bo księżniczka na wieży z papieru
jest z kości i krwi. śmiertelna jak wiersz
w głębi nurtu zachowa czarne oczy psa. zastygłe
jak kamień. otwarte na przestrzał jakby nie wierzyły
że tu jest absolutny koniec
gdy już będzie po wszystkim wieczna Przemsza
z kwiatów wodnych uwije wianek

Przeprawa przez Słudwię

wilgoć wzdłuż rzeki rosi łąkę. żółcienie oplatają
stopy białe jak kości. wyrwa po roztopach spada
w rozmokły lej. urwany brzeg przypomina śmierć ojca
rzeka wypływa sine pokręcone zielsko

chwytamy wystające patyki mokrą korę
zapach stęchłej wody nikogo nie obchodzi
bo choćby tuż obok oglądają własny spektakl

dziewczynka w szortach otrząsa kawałki wspomnień
powraca myśl że ktoś wywinął się z tego jak obła ryba
sami bogowie postawili kropkę na początku zdania
w nocy świeci nieskończonym żółtym światłem

Jasna strona wieczności

przez pięć dioptrii plus widać wyraźniej
– mówiła babcia o swoich przeżyciach
po śmierci mojego ojca. nie wolno płakać
bo wtedy Marian dźwiga tam wiadra wody

teraz przemierzają razem wieczny ogród
w moim śnie powiada: nie bój się ciemności
gdy wzrok się oswoi nawet jej nie zauważysz

rys. Bogna Skwara



Między nocą

zima. sine niebo stoi nad miastem nieruchomo
czujnie jak straż. wystarczy nieopatrzny ruch
a przynicie do ziemi. zetrze w proch

ale oto bezdomny w kurtce podszytej wiatrem
grzebie w śmieciach. patrzy wyczekująco licząc na puszki
i resztki żywności. odkąd ostatni raz przekroczył próg domu
nie jest zbyt rozmowny. wolałby nie pamiętać
patrzy nieufnie „spode łba” głaszcze śmietnikowego kota
który nagle uciekł i zniknął za niską chmurą
ma nadzieję że jemu się uda choć Bóg mieszka daleko
a mróz mocno trzyma

nie spotkałam go już więcej. słucham prognozy:
śnieg leci ciurkiem

Pointa

spacerują wytyczoną alejką wzdłuż cienia
jakby nic więcej nie przykuwało uwagi
kobieta zbyt wrażliwa w szaleństwie wiatru
która wcześniej widziała śmierć teraz obserwuje
nakrapiane gołębie: to duchy mojego strachu
– mówi. falują w bezsenności by jeść te pigułki
łykać ciemność w odpływie księżycy. budzić się
z przeczuciem zimy nieuchronnej w starości ojca
gdzie tu miejsce na zachwyty

niebo głodne mięsa i deszczu siada na ławce
rozpuszczając tabletki w kieszeni jej szlafroka
bądź pozdrowiony Wielki Smoku

przestały wierzyć że cokolwiek ktokolwiek
jakby mówiły: nie warto nikt nie zrozumie
maleją szanse na lepszy dzień. na poskładanie Boga
z kwiatów i pogrzebów których jest pointą

Swojski klimat

mnożące się „nie ma”. lokalne nazwy znikają
choć pewnie utkwiły w jakiejś poroślej mchem pamięci:
„kurza jama” „zdroje” „trzy krzyże” „dołek”
październik szuka imion wśród nowych grobów
nadaje kształt rzeczom zgubionym w czasie

jestem tu. mówię ci o „białym mostku” i latarniach róż
wyciętych w pień. już nie pamiętam kto i dlaczego
nadał im miasteczkowe przezwiska. przyłgnęły jak znak
rozpoznawczy i świadectwo niedoskonałości istnienia
powracają w rozbitych lustrach

dotykam twarzy za linią horyzontu ściskając w palcach
zielony liść. pytam jak zawsze: grasz w zielone?



rys. Maria Korusiewicz

Teleskop Hubble'a — rozważania metafizyczne

spójrz: przestrzeń się rozszerza. galaktyki
przyspieszają oddalając od siebie

czy byt jest tylko materią. tym i tylko tym?
mówiono że istnieje dom dusz
wpleciony w krajobraz arkadyjskich miejsc

boję się myśleć o drodze z fotonów
odkładam książkę na najwyższą półkę
Okno na niebie tańczy z wszechświatem

dlatego drzę i pytam o anioły:
mrówka



Profesor Zbigniew Jerzy Nowak

MARIAN KISIEL

Mam w pamięci szczupłą sylwetkę niskiego, posiwiałego mężczyzny, który dostojnym acz szybkim krokiem przemierzał polonistyczne korytarze. Zawsze chyba z aktówką, nigdy z dyplomatką lub jakąś męską torbą. Aktówka pod ramieniem, beret lekko przechylony na prawo, w garniturze i pod krawatem, w prochowcu lub palcie, zależnie od pory roku. Z daleka się kłaniał, zdejmując beret, nawet jeśli kłaniał się „braciom mniejszym”, czyli – nam – studentom. Pamiętał twarze, ubiegał w grzeczności. Był dla nas znakiem „dawnej” tradycji, która w socjalistycznych warunkach mogła objawić się tylko w postaciach uczonych (bo przecież nie w proponowanych ówczesnie wzorcach). To właśnie o takiej tradycji myślał twórca szkoły lwowsko-warszawskiej prof. Kazimierz Twardowski, kiedy pisał o „doświadczeniach Uniwersytetu”, i prof. Kazi-

mierz Michałowski, kiedy mówił o „autorytecie prawdziwej wiedzy”.

Profesor Zbigniew Jerzy Nowak – „autorytet prawdziwej wiedzy”. Tak o nim myśleliśmy za życia i tak go wspominamy po latach. Młodszym pokoleniom polonistów będzie kojarzył się z aulą jego imienia w budynku Wydziału Filologicznego (na placu Sejmu Śląskiego 1) i wiszącym w niej portretem autorstwa prof. Macieja Bieniasza, albo też z edycjami *Pism estetyczno-krytycznych* Kazimierza Brodzińskiego i *Pana Tadeusza* (oczywiście, jeżeli młodsze pokolenie zechce sięgnąć po drukowaną książkę, a nie zadowoli się elektronicznym śmieciem bez autorstwa i znaku jakości na jakichś internetowych ściągarkach).

„Urodził się 7 lipca 1919 roku w Łodzi. Egzamin dojrzałości złożył w roku 1937 w Kaliszu – i podjął studia polo-

nistyczne na Uniwersytecie im. Stefana Batorego w Wilnie. Przerwała je wkrótce wojna i trzeba było zdobywać zaliczenia nie tyle polonistyczne, ile polskie i pokoleniowe: w wileńskim więzieniu w roku 1940 za kontakty konspiracyjne, w ucieczce z Wileńszczyzny do Generalnej Guberni, w kilkuletniej pracy nauczycielskiej w tajnym nauczaniu, w Armii Krajowej, w partyzanckich potyczkach... Zaliczenia, poświęcone wpisami do tego okupacyjnego indeksu Polaka-polonisty: *Virtuti Militari*, *Krzyż Walecznych*, *Srebrny Krzyż Zasługi z Mieczami*, *Krzyż Armii Krajowej*...”

Tak pisał prof. Ireneusz Opacki w intelektualnym biogramie Zbigniewa Jerzego Nowaka z okazji jego siedemdziesiątych urodzin. Dodawał przy tym, że II wojna światowa (w jej wybuchu i trwaniu) oraz sowiecki najazd 17 września 1939 roku, zwany potocznie „czwartym rozbiorem”, dla tego reprezentanta generacji „zarażonej śmiercią” (określenie Kazimierza Wyki), były nie tylko „przeżyciem pokoleniowym”, ale zdecydowały o „hierarchii naukowych i zawodowych wartości, przede wszystkim zaś o tym, co można nazwać »strategią biografii polonistycznej«. To w tym jednak pokoleniu – pisze dalej Ireneusz Opacki – szczególnej ostrości nabrała opozycja »kariery« i »służby«, »służby« tak mocno dominującej w mentalności aktywnych konspiracyjnie w czasie okupacji Polaków. Tej tak trudnej, ale i tak czystej wartości »służby« Nowak zawierzył – i ona ukształtowała jego dalszy życiorys, również polonistyczny”.

Ten polonistyczny życiorys „z historią w tle”, jakby powiedział prof. Henryk Markiewicz, związany był po wojnie z Uniwersytetem Jagiellońskim. Tutaj Nowak kontynuował od 1945 roku studia polonistyczne, pracując okresowo na różnych stanowiskach technicznych i badawczych, ale najważniejsze dla niego było spotkanie z prof. Stanisławem Pigionem. W Wilnie uczęszczał na seminarium prof. Konrada Górskiego, teraz dane mu było pracować z drugim największym edytorem XX wieku. Te dwa kontakty znajdą później swoje odbicie w różnych naukowych podziękowaniach Zbigniewa Jerzego Nowaka: w kompletnej bibliografii prac Stanisława Pigionia i w pełnym atencji wspomnieniu o Konradzie Górskim jako historyku literatury i edytorze, słowem – twórcy „dzieła”.

Ze studiami polonistycznymi w Uniwersytecie Jagiellońskim wiąże się historia, jaką powtarzaliśmy za prof. Jerzym Starnawskim: „studia dokończył w UJ, głównie pod kierunkiem Stanisława Pigionia. Przez wiele lat cyzelował swą pracę magisterską o *Księgach narodu i pielgrzymstwa* A. Mickiewicza, którą promotor i recenzent (Juliusz Kle-

iner) podnieśli do poziomu doktorskiej, polecając napisać mniejszą magisterską. Tym razem autorem tematu był J. Kleiner, dostosował go do pewnych myśli wypowiedzianych w pracy *O Księgach*. Napisał Z.J. Nowak pracę magisterską pt. *Zołnierz w świecie poetyckim Mickiewicza*. Opublikowana została dwukrotnie, a częściowo przełożona na język niemiecki”.

To było dla nas niepojęte: szybki awans od studenta do doktora (z krótkim przystankiem na magisterium). Każdy chciałby przejść taką drogę, ale nie każdemu jest i będzie to dane.

W 1955 roku prof. Nowak związał się z Wyższą Szkołą Pedagogiczną w Katowicach. Ireneusz Opacki zanotował: „Przenosząc się z Krakowa, ze środowiska o znakomitych i ugruntowanych tradycjach humanistycznych, do Katowic – przenosił się Nowak do regionu skrajnie niemal odmiennego, nasyconego kulturą techniczną i przemyślową, niezbyt humanistycznie sprzyjającą. Przeniósł się też do regionu, który od dawna apelował o budowanie kultury humanistycznej, o utworzenie w nim humanistycznej uczelni”.

Druga połowa lat 50. XX wieku była dla katowickiej WSP niebywale łaskawa. To wtedy podjęli w niej pracę wielcy językoznawcy: Irena Bajerowa, Alina Kowalska, Henryk Wróbel. W tym gronie byli także Mieczysława Mitera-Dobrowolska, Witold Nawrocki, Edward Polański i wielu innych. Mimo ideologicznej duchoty regionu przemysłowego, rozmaitych napięć i zgrzytów codziennego życia, w śląskim środowisku polonistycznym Zbigniew Jerzy Nowak dobrze się poczuł. Po latach napisał: „Nie omyłem się, jeśli powiem, że w uczelni tej panował optymizm pedagogiczny. Polegał on na tym, by dostrzegać w studencie nie tylko jego aktualny stan intelektualny czy moralny, ale i też perspektywy rozwojowe i otwarcie na przyszłość, w której mogą przecież zająć korzystne zmiany”.

W 1968 roku został pierwszym dziekanem Wydziału Humanistycznego w nowo powstałym Uniwersytecie Śląskim. Długo nie wytrwał w tej służbie, ale dał się zapamiętać jako znakomity organizator nauki i wzór postawy etycznej. Od powstania Wydziału Filologicznego w 1973 roku dane mu było przez dwie dekady uczestniczyć w gwałtownym rozwoju polonistyki śląsko-zagłębiowskiej. Odeszli przedstawiciele dawnej szkoły i dawnych przyzwyczajęń (Jan Kazimierz Zaremba, Stanisław Zabierowski), przez dwadzieścia lat współtwórcy z Nowakiem – twarze badań literaturoznawczych WSP. Przyszli nowi profesorowie: Tadeusz Bujnicki, Ireneusz Opacki, Eleonora Udalska, Włodzisław Wójcik, a także ich uczniowie. Literaturoznawstwo uniwersyteckie od-

tąd stało na znacznie wyższym poziomie. Zwrot strukturalistyczny sprawił, że anachronizmem był powrót do badań genetycznych, poetyka historycznoliterackich przyczynków i koniektur. Nowak nie zrezygnował całkiem z tej formy badawczej ekspresji, ale każdy jego drobiazg był mocno podbudowany genologicznie i interpretacyjnie. Można by powiedzieć, że w jego pisarstwie naukowym widać wyraźnie przejście od dawnego do nowego literaturoznawstwa.

Nie ma powodu, by po raz kolejny powtarzać biogram Profesora. Czytelnika wypadnie odesłać do znakomitego szkicu prof. Krystyny Heskowej-Kwaśniewicz, pomieszczonego we współautorskim (z prof. Markiem Piechotą) tomiku *Zbigniew Jerzy Nowak* (2006). Zatrzymajmy się więc tylko na biografii intelektualnej Nowaka, bo przecież kiedy zamkną się drzwi pamięci współczesnych, tylko ona – przez zapisane słowo – odśloni nam postać człowieka, który trudził się w imię jakichś racji, po coś, dla kogoś. Marek Piechota napisał: „Nowak należał do najwybitniejszych polskich znawców epoki romantyzmu, zwłaszcza twórczości Adama Mickiewicza, i do najwybitniejszych tekstologów i edytorów XX wieku”. Co o tym świadczy?

Na pewno nie liczba jego prac. Zbigniew Jerzy Nowak – jak na półwiecze polonistycznej działalności – wiele nie napisał. Gdyby się uprzeć, powiedzieliśmy, że pozostawił tylko trzy „książki”: będącą pokłosiem magisterium rozprawę o *Zołnierzu w świecie poetyckim Mickiewicza* (1958, 62 s.), będące wersją doktoratu studium *Ze studiów nad „Księgami narodu i pielgrzymstwa polskiego”* (1961, 120 s.), a także zbiór szkiców *Wśród pisarzy i uczonych* (1980, 352 s.). Nie zapominamy także o czwartej „książce”, tj. *Bibliografii prac Stanisława Pigionia* (1961, 118 s; 1972, 67 s.). Liczba monografii uczonego nie świadczy jednak o jego kompetencji. Profesor Nowak jest autorem blisko 200 samodzielnych pozycji, a są w tej liczbie nie tylko znakomite, z pietyzmem i filologiczną akrybią pisane studia i szkice, ale także liczne recenzje, sprawozdania i przyczynki, a wreszcie – sporządzone dla studentów filologii polskiej zestawy lektur.

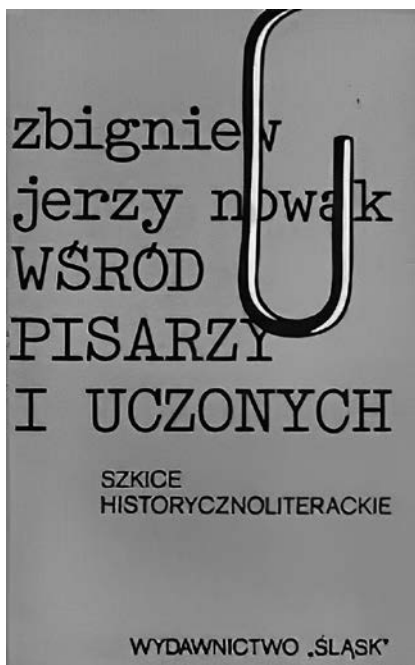
Prof. Czesław Zgorzelski tak lapidarnie ujął postać naszego badacza: „W środowisku polonistyki uniwersyteckiej Zbigniew Jerzy Nowak znany jest przede wszystkim jako kontynuator rzetelnej, gruntownej erudycyjnie i bogatej w doświadczenia tradycji badań filologicznych. I tak jest istotnie: filolog ze świetnej szkoły Pigionia; erudyta troskliwy o udokumentowane ustalenie faktów; historyk wytrawny w opisie zjawisk literackich; doświadczony edytor poezji;

kompetentny biograf, umięjętny autor bibliografii...”

Był więc Zbigniew Jerzy Nowak – powiedzmy raz jeszcze – filologiem *sensu stricto*: badaczem romantyzmu, znawcą Mickiewicza (choć wiele jego prac dotyczyło raczej przełomu romantycznego, kiedy brał się za bary z klasycyzmem), bibliografem, komentatorem, dopisywaczem uwag do już powstałych komentarzy, a także znawcą pomniejszych zagadnień, jakichś wytłumaczeń pojęć z zakresu poetyki, jakichś przypomnień, koniektur i emendacji. Ba! Jak on o tym umiał opowiadać! Nasuwa się porównanie z aleksandryjskim filologiem przeniesionym w nasze czasy.

Pamiętam jego wykład o interpunkcji Mickiewicza w *Panu Tadeuszu*. Szczelnie wypełniona „ósemka” w sosnowieckim budynku polonistycznym (dawniej ul. Bieruta, dzisiaj Kościelna – aula Zagłębiowskiej Mediateki). Profesor na podium wydawał się trochę wyższy niż był w rzeczywistości, zielona tablica powieszona na wprost schodków po prawej stronie (od widza). Miał na tym podium jakąś ławkę i krzesło. Rozłożył swoje notatki (kartka podzielona na dwie części: jedna do własnego tekstu, druga do uwag i koniektur), a potem ani usiadł, malował interpunkcyjne robaczki na tablicy, dowodząc jak są ważne w zrozumieniu znaczeń Mickiewiczowskiego arcypoeematu. Kto nie usłyszał, nie pozna na wieki. Dla nas, strukturalizujących podrostków polonistycznych, było to wtedy – oczywiście – nienowoczesne.

Zbigniew Jerzy Nowak wierzył w służebność pracy filologa. Prof. Marek Piechota wspomina: „Profesor wpajał nam szlachetne przekonanie, iż jesteśmy tylko komentatorami, usiłujemy objaśniać sensy przed innymi zakry-



te, zgłębiaamy prawa wewnętrzne procesu historycznoliterackiego, niekiedy ośmielamy się wartościować, jeśli uda się wypracować obiektywne kryteria oceny, bardzo rzadko dobry los pozwala nam przez chwilę poczuć się odkrywca- mi nieznanego, literackich, poetyckich czy poetycznych łądów. Tę pokorę wobec przedmiotu, wobec tekstów autorów – zawsze większych od nas – zapamiętałem dobrze z wystąpienia profesora. Zawierała się ona również, co dzisiaj może się wydać wręcz paradoksalne, w owej uroczystości tonu, która każde spotkanie z literaturą w jego obecności czyniła humanistycznym świętem.

„Jesteśmy tylko komentatorami...” To chyba najdoskonalsze wyformułowanie postawy filologa-hermeneuty. Kim on jest? *Is, qui docet*. Tym, który wie i uczy innych. Umie czytać i uczy czytać. Najpiękniejsza definicja filologa, jaka kiedykolwiek się pojawiła. Filolog to ktoś, kto nie ma większej ambicji, ponad misję, jaką ma do spełnienia. Prof. Irena Bajerowa dodawała przy tym, że Nowak „był prawdziwym, w dosłownym znaczeniu tego słowa filologiem, a więc – miłośnikiem słowa, czyli tekstu, czyli języka. Ta jego cecha przejawiała się przede wszystkim w wielkiej wrażliwości na język, na wysłownienie; sam wykladał czy przemawiał płynnie i pięknie, a jego wystąpienia były wzorem elokwencji”

„Jesteśmy tylko komentatorami...” Pod koniec znakomitego eseju o *Żmucie* Jarosława Marka Rymkiewicza, Nowak napisał coś, co każe spojrzeć na jego postać właśnie od tej strony: „Zwiedzałem wystawę *Żydzi polscy*. Zapamiętałem cytaty widniejący na ścianie jednej z sal wystawowych: »Bądź ostrożny w nauce, bo błąd w nauce to więcej niż grzech« (*Talmud*, Awot 4,16). Wpisuję tę sentencję Rymkiewiczowi do jego romantycznego sztambucha. Ale jest to również *memento* dla mnie, bym pamiętał o moich dotychczasowych błędach i o tych, które może popełniłem [...]”

Zatrzymajmy się więc nad słowem: „komentarz”, który nie może i nie powinien być „błędem”. Dorobek naukowy Zbigniewa Jerzego Nowaka trudno jest ująć w jakąś skalającą formułę, ponieważ funkcjonuje w rozproszeniu. W jakimś sensie jest on rozpięty między dwiema epokami: dawną (źródłem miłości) i sobie współczesną (źródłem obecności). Owo „rozpięcie” przyniosło odmienne wyniki starań. Pierwsze źródło dało efekty analityczne i edytorskie, drugie – dopiski do lektur i przyjaźni.

Najpierw o źródle pierwszym. Edytorstwo było atutem Zbigniewa Jerzego Nowaka. Miał się go uczyć – powtórzmy raz jeszcze – nie od byle kogo, bo od profesorów Górskiego i Pigionia. Najważniejsze prace to dwutomowe *Pisma estetycz-*

no-krytyczne Kazimierza Brodzińskiego (1964) oraz *Pan Tadeusz* w ramach wydania rocznicowego *Dzieł* Adama Mickiewicza (1995). „Prace edytorskie Nowaka – pisał Ireneusz Opacki – [...] to najzupełniej znakomite popisy sztuki edytorskiej i komentatorskiej, sytuujące Nowaka w pierwszym rzędzie nielicznego dziś grona polskich edytorów i tekstologów. Są to edycje wzbudzające szacunek głębokością i wielostronnością erudycji, trafnością i samodzielnością rozstrzygnięć, zawsze wielostronnie i przekonująco motywowanych”.

Źródło drugie to różnego rodzaju eseje o bliskich Nowakowi pisarzach (Jerzy Szaniawski, Gustaw Morcinek, Czesław Miłosz), recenzje książek naukowych, sylwetki badaczy (Ignacy Chrzanowski, Piotr Grzegorzczak, Stanisław Pigoń, Jerzy Starnawski, Stanisław Zabierowski). Nie wszystkie weszły do zbioru szkiców historycznoliterackich *Wśród pisarzy i uczonych*, a z pewnością byłyby ich znakomitym dopełnieniem. Zwłaszcza w pracach recenzentkich (a osiągnął w nich doskonałość) ujawniły się te cechy piarstwa krytycznego Profesora, które odnajdujemy w znanej zasadzie sprawiedliwości: *suum cuique*. Z jednej strony okazując szacunek do osoby, z drugiej – ujawniając moc sądu polemicznego. A sąd ten zawsze musiał być poparty solidną wiedzą o epoce lub zdarzeniu.

Akrybia Zbigniewa Jerzego Nowaka ujawniała się nie tylko wobec książek opublikowanych, z jednakową sumiennością traktował również opiniowane przez siebie prace doktorskie. Często wtedy nawiązywał kontakt z doktorantem, nie udawał, że jakiejś rzeczy nie wie, prosił o podanie dodatkowych informacji, by móc sobie wyrobić zdanie o przedmiocie recenzji. Wszystko po to, aby możliwa do ominięcia omyłka nie wyszła spod pióra piszącego.

O swoim Mistrzu, prof. Stanisławie Pigioniu, napisał kiedyś we wspomnieniu: „A każda książka w rękach Profesora! Postępował z nią tak czule, jak muzyk, który dotyka swego ulubionego instrumentu. Patrząc na Profesora nachylonego nad książką i kartkującą ją pilnie, wiedziało się, że ten znawca osądził ją bez omyłki, choćby to był tylko pierwszy przelotny z nią kontakt”. Słowa te bez cienia wątpliwości również dobrze przystają do prof. Nowaka – człowieka książki.

Bezbłędnie poruszał się po całej literaturze, choć najlepiej czuł się na obszarze dobrze już sprawdzonym, gdzie obowiązują prawa historii literatury. Napisał (w recenzji *Żmuta*): „historia literatury feruje inne wyroki niż eseista zdominowany przez swój gust czy antypatie”. W tym przekonaniu zawarł swoje niezbywalne przekonanie, że historyk literatury nie może lekceważyć opinii nawet już przebrzmiałych, niezdarne sformułowanych lub nie do końca uargumentowanych. Szacunek do przeszłości jest także obroną dawnych badaczy literatury, albowiem zdarzyć się może, że ich myśl, która nie trafiła na podatny grunt *opinio communis*, po latach ujawni swoją przenikliwość i odmieni kierunek interpretacji.

Otwarty na przyszłość, odnosił się profesor Zbigniew Jerzy Nowak do przeszłości z wielką atencją i nabożnym stosunkiem. Za kotarą czasu widział te same namiętności poznawcze, te same dążenia twórcze, te same pragnienia, jakie ujawniały się również w czasie jego życia. W pantheonie śląskich uczonych był wzorem postawy etycznej, „dostojeństwa Uniwersytetu”, „autorytetem prawdziwej wiedzy”. Warto o tym przypomnieć w stulecie urodzin Profesora. ■





SILESIA PREZENTUJE

XIII Ogólnopolski Festiwal Promocyjny Sierpień Talentów

KATOWICE | 20-31 sierpnia 2019

wtorek | 27 sierpnia godz. 17:00
Biblioteka Śląska, Sala „Parnassos”, pl. Rady Europy 1



ETNO ŚLŃSK
Koncert dedykowany 100. Rocznicy wybuchu I Powstania Śląskiego

ETNOS ENSEMBLE:
BARTOSZ PACAN – klarnet
KONRAD MERTA – akordeon
PIOTR GACH – wiolonczela
ŁUKASZ MAZANEK – kontrabas
ALICJA KOTYL – prowadzenie koncertu



PROGRAM: improwizacje na temat śląskich pieśni powstańczych i ludowych, muzyka etno
Bezpłatne wejściówki (od 15 lipca) dostępne są w biurze IPIUM Silesia (pl. Sejmu Śląskiego 2, parter, pokój 20) lub telefonicznie 32 219-33-44 w. 33.

wtorek | 20 sierpnia, godz. 18:00
Studio Koncertowe Polskiego Radia, ul. Ligonia 29



INAUGURACJA FESTIWALU

MARTA CHLEBICKA – flet
ŁUKASZ DYCZKO – saksofon
MICHAŁ ORLIK – skrzypce
HANNA SOSIŃSKA-KRASKI – fortepian
GRZEGORZ SKROBINSKI – fortepian
DARIUSZ NORAS – fortepian
EWA KAFEL – prowadzenie koncertu

PROGRAM: Wilhelm Popp, Carl Reinecke, Camille Saint-Saëns, Philip Glass, Franz Waxman, Henryk Wieniawski, Robert Schumann

Bezpłatne wejściówki (od 15 lipca) dostępne są w biurze IPIUM Silesia (pl. Sejmu Śląskiego 2, parter, pokój 20) lub telefonicznie 32 219-33-44 w. 26.

czwartek | 22 sierpnia godz. 18:00
Muzeum Archidiecezjalne, ul. W. Stwosza 16



SZTUKA INTERPRETACJI

BARTŁOMIJ FRAŚ – skrzypce
GABRIELA STANISZ – fortepian
ALICJA PRZYTUŁA – prowadzenie koncertu

PROGRAM: Franz Schubert, Karol Lipiński, Eugène Ysaÿe, Witold Lutosławski

niedziela | 25 sierpnia godz. 18:00
Studio Koncertowe Polskiego Radia, ul. Ligonia 29



PORTRET MŁODEGO ARTYSTY

SZYMON MECHLIŃSKI – baryton
Laureat Międzynarodowego Konkursu Wokalistyki Operowej im. Adama Didura 2019
i nagrody specjalnej Prezydenta Miasta Katowice
ALEKSANDER CHODACKI – fortepian
AGNIESZKA NOWOK-ZYCH – prowadzenie koncertu

PROGRAM: Richard Wagner, Richard Strauss, Gaetano Donizetti, Giuseppe Verdi, Franciszek Mirecki, Jan Skrzydlewski, Roman Statkowski, Adam Münchheimer, Stanisław Moniuszko

Bezpłatne wejściówki (od 15 lipca) dostępne są w biurze IPIUM Silesia (pl. Sejmu Śląskiego 2, parter, pokój 20) lub telefonicznie 32 219-33-44 w. 21.

środa | 28 sierpnia godz. 18:00
Studio Koncertowe Polskiego Radia, ul. Ligonia 29



FORTEPIANADA

WIKTORIA JAGODZIŃSKA – fortepian
BARTŁOMIJ KOKOT – fortepian
PIOTR ORŁOW – fortepian
BEATA BILIŃSKA – fortepian/Gość Festiwalu
ALEKSANDRA KONIECZNA – prowadzenie koncertu

PROGRAM: Fryderyk Chopin, Karol Szymanowski, Grażyna Bacewicz, Siergiej Rachmaninow, Claude Debussy

Bezpłatne wejściówki (od 15 lipca) dostępne są w biurze IPIUM Silesia (pl. Sejmu Śląskiego 2, parter, pokój 20) lub telefonicznie 32 219-33-44 w. 33.

czwartek | 29 sierpnia godz. 18:00
Muzeum Archidiecezjalne, ul. W. Stwosza 16



MAGIA KLARNETU

ALEKSANDRA MARCHEWKA – klarnet
AGNIESZKA NATANEK – klarnet
ERYK OLIWA – klarnet
ROMAN WIDASZEK – klarnet/bassethorn/Gość Festiwalu
MARCIN PRYSAK – fortepian
LILIANNA MÖLL-GERLICH – prowadzenie koncertu

PROGRAM: Benny Goodman, Zdeněk Fibich, Charles-Marie Widor, Marcel Chyrzyński, Ernest Chausson, John Williams, Béla Kovács, Felix Mendelssohn-Bartholdy, Michael Jackson

sobota | 31 sierpnia godz. 19:30
Panewniki, Bazylika św. Ludwika Króla i Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny, ul. Panewnicka 76



FINAŁ FESTIWALU. MUZYKA W BAZYLICE

AKADEMICKA ORKIESTRA DĘTA AKADEMII MUZYCZNEJ
IM. KAROLA SZYMANOWSKIEGO W KATOWICACH
WOJCIECH WANTULOK – dyrygent
STANISŁAW DZIEWIÓR – kierownictwo artystyczne
BARTŁOMIJ BARWINEK – prowadzenie koncertu

PROGRAM: Georg Friedrich Händel, Johann Sebastian Bach, Antonín Dvořák, Stanisław Moniuszko, Aram Chaczaturian, Andrew Lloyd Webber, Jerry Bock



Silesia

INSTYTUCJA PROMOCJI I UPOWSZECHNIANIA MUZYKI
40-032 KATOWICE, pl. Sejmu Śląskiego 2
tel./fax+ 48 32 219 33 44
e-mail: ipium@silesia.art.pl | www.silesia.art.pl
www.facebook.com/silesia.ipium
Instytucja finansowana przez miasto Katowice

PATRONAT HONOROWY:

Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego



PATRONAT MEDIALNY:



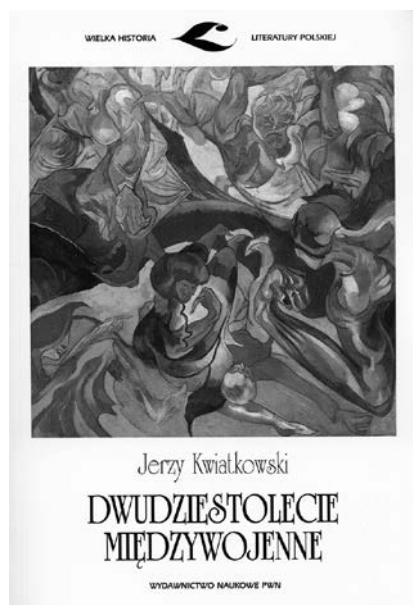
PARTNERZY MEDIALNI:



Ekspert budzący respekt

O stylu krytyka Jerzego Kwiatkowskiego

JERZY PASZEK



Będzie tu mowa głównie o jednej książce, a mianowicie *Dwudziestolecie międzywojennym* z roku 2000 (w reedycji o dwa lata późniejszej). Tom ten wchodzi do serii „Wielka Historia Literatury Polskiej” (redagowanej przez Kazimierza Wykę), choć był przeznaczony początkowo pt. *Literatura Dwudziestolecia* do nieco skromniejszej serii „Dzieje Literatury Polskiej. Synteza Uniwersytecka” (redaktorem jej był Jerzy Ziomek), w której zresztą opublikowano go w roku 1990. Taka „zamiana barw klubowych” jest moim zdaniem rzadkim przykładem transferu autora i jego dzieła do lepszej ligi! Stąd też pomysł zajęcia się tą rozprawą, mającą wersję bez ilustracji i te – co najmniej trzy – bardzo bogate w zdjęcia, winiety i rysunki.

Książkę Kwiatkowskiego należy umieszczać w dwu kontekstach czy konstelacjach: w towarzystwie konkurencyjnych opracowań epoki literackiej z okresu 1918–1939, czyli tomów Anny Nasiłowskiej (*Trzydziestolecie. 1914–1944*, Warszawa 1995, „Mała Historia Literatury Polskiej”) i Andrzeja Zawady (*Dwudziestolecie literackie*, Wrocław 1995, „A To Polska Właśnie”), a także takich obszerniejszych „cegieł”, jak segment „Obrazu Literatury Polskiej XIX i XX Wieku”, czyli 4-tomowa, choć w 6 częściach, seria VI: *Literatura polska w okresie międzywojennym*, pod red. Jerzego Kądzioły i in., Kraków 1979–1993) oraz dwa z trzech tomów *Literatury polskiej. 1918–1975* pod red. Aliny Brodzkiej i in., Warszawa 1975 i 1993 (tom I dotyczy lat 1918–1932, tom II zaś 1933–1944).

Drugim zbiorem, na którym bezpośrednio opiera się omawiana księga, jest pokaźna kolekcja prac samego Kwiatkowskiego: *U podstaw liryki Leopolda Staffa* (Warszawa 1966), *Eleuter. Szkice o wczesnej poezji Jarosława Iwaszkiewicza* (Warszawa 1966), *Świat poetycki Juliana Przybosa* (Warszawa 1975), *Poezja Jarosława Iwaszkiewicza na tle dwudziestolecia mi-*

ędzywojennego (Warszawa 1975). Z esejów krakowskiego krytyka dołączają się do tych 4 tomów m.in.: *Czerwone i czarne. O poezji Jana Lechonia; Leśmian-artysta oraz „Neologizmy” Leśmiana; Notatki o poezji Antoniego Słonimskiego; Janusowe oblicze natury. O poezji Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej* (w książce: *Szkice do portretów*, Warszawa 1960); *Poetycki przyjaciel Baczyńskiego* [chodzi o Jerzego Kamila Weintrauba], *Wierzyński przedwojenny, Lechoniowe pointy* (w tomie: *Felietony poetyckie*, Kraków 1982).

Widoczne jest w tych enumeracjach esejów i rozpraw Kwiatkowskiego, iż w swojej ostatniej książce, pisanej tuż przed śmiercią w 1986 roku, mógł śmiało nawiązywać do własnego, bogatego dorobku, poświęconego nie tylko przecież epoce sprzed 1939, ale i towarzyszącego naszej współczesnej literaturze, czyli tej od Różewicza po Białoszewskiego, Barańczaka i Szymborską. *Dwudziestolecie międzywojenne* nie stanowi przedruku ogłaszanych poprzednio prac (jak to widzimy w 5-tomowej *Agonii i nadziei* Piotra Kuncewicza, gdzie tom I omawia *Literaturę polską od 1918 [do 1939]*, Warszawa 1991). Kwiatkowski komponuje oryginalną całość, złożoną z bezlitosnego **skrótu** i zasadniczego **przeredagowania** publikowanych poprzednio rozpraw: dowodem służy porównanie dwu stronic DM (tak dalej oznaczam tom: J. Kwiatkowski: *Dwudziestolecie międzywojenne*, Warszawa 2002, posłowie: Michał Głowiński, wybór ilustracji: Szczepan Gąssowski, noty biograficzne: Jan Wojnowski, wskazówki bibliograficzne: Izabela Jarosińska; podkr. w cytatach pochodzą ode mnie, J.P.), na których zamieszczona jest charakterystyka *Oktostrychów* (1919), *Dionizji* (1922) i *Kasyd zakończonych siedmioma wierszami* (1925); otóż te dwie stronic (a może nawet tylko jedna i pół drugiej, DM 75–76) to **metamorfoza** całego 150-stronicowe-

go tomiku pt. *Eleuter!* Wynik: 150 stronic skomasowane do 1,5 stronicy!

Oczywiście chyba dla każdego będzie to, że część tomu poświęcona dziejom poezji międzywojnia powinna być ciekawsza od części, w których autor omawia równoczesną historię prozy (DM 53–202, 203–370; na s. 9–52 przybliżone zostały czytelnikowi programy literackie epoki), dramatu (DM 371–437) i krytyki literackiej (DM 438–495). Ale prozie nie stała się żadna krzywda, bo segment tekstu o niej okazał się nawet większy od tego, w którym dominuje poezja! Jako badacz twórczości Wacława Berenta zadowolony jestem z pointy rozważań o ulubionym moim pisarzu: „Berent, ten **Norwid** powieści historycznej XX wieku” (DM 366). W prezentacji autora *Nurtu* Kwiatkowski pięknie mówi o walorach jego stylu: „Opowieści biograficzne przynoszą nową wersję językowo-stylistycznej wirtuozerii Berenta, wirtuozerii, na którą składa się bogactwo konkretyzacyjnej metaforyki, niezwykła elastyczność i, by tak rzec, wymowność składni, szczególnie dbałość o walory rytmiczno-eufoniczne, wyszukana wynalazczość leksykalna” (DM 366).

Ale nie tylko o Berencie potrafi celnie pisywać krytyk. Prostej syntaksie i leksyce Marii Dąbrowskiej poświęca Kwiatkowski wiele miejsca i skupionej uwagi czy nawet przekory wobec innych współzawodników, lekceważących jej *Noce i dnie*, piszących o stylu „niezauważalnym” tej tetralogii (choć w sześciu częściach): „Wrażenie to jednak wynikać może tylko z **lektury pobieżnej**. Styl ten [...] co chwila bowiem zwraca na siebie uwagę niezawodną **trafnością w doborze słowa** czy porównania, zdumiewającą przyległością słowa i rzeczy. I **zauważa się go** – właśnie dzięki jego »niezauważalności«” (DM 269). Ładnie też ucieka się krytyk do gry słów, kojarzonych z rodziną wyrazów związanych z „rozumem”, w opisie charakteru Bogumiła i Barbary:

„Głęboka mądrość duszoznawcza [dawniejszy synonim psychologii], łącząca rozumieniem z wyrozumiałością, pozwoliła pisarce obydwu tym postawom oddać sprawiedliwość; nierównie bliższy był jej jednak wzorzec Bogumiła niż Barbary” (DM 268).

Jako autorowi palindromowej, apocyfijnej i dwuznacznej (zderzenie mitologicznej postaci Satyra i nazwy gatunku literackiego: satyra) formuły, która ma zamknąć sens i nonsens najważniejszej powieści Witolda Gombrowicza: *Ferdurke* to SATYRA-RARYTAS, przypadły mi do gustu osądy Kwiatkowskiego: „*Ferdurke* stanowiła wielką **satyrę** społeczno-kulturową: wyszydzała zacořany system edukacji [...], naiwne postępowiczostwo [ciekawy neologizm autora] obyczajowe sfer inteligenckich, zaskorupała [celna metafora] anachroniczność polskiego dworku, ale także – idee sentymentalnego bratania się z ludem” (DM 335). Wzorem Gombrowicza, krytyk nie boi się sklejać ze sobą epitetów, jeśli tylko pozwala mu to jaśniej (i krócej!) zasygnalizować ambiwalencję w opisie rzeczywistości: „narrator-bohater powieści, uczeń gimnazjalny Józio, wypowiada jej [Formie] wojnę i w serii groteskowych **dziwacznie-zabawnych i monstrualnie-śmiesznych**, skandalicznych akcji, z których każda kończy się »kupą«: wielką biatyką – kompromituje i rozbija poszczególne formy: międzyludzkie konwencje” (DM 337). Dziś takim ambiwalentnym epitetem staje się „przewygrany”, czyli ktoś jednocześnie przegrywający i wygrywający!

Kwiatkowski w pierwszej części swojej książki nie chce być gorszy od opisywanych poetów i sam ucieka się – bardzo często! – do języka poetyckiego, połączonego jednak z tłem semantyki uczoney, bo do takiej zaliczam wysublimowane lub żartobliwe aluzje literackie, figury retoryczne, oksymorony czy aliteracje. Przykładem zafascynowania „wdziękiem brzmień” (DM 186) mogą być frazy: „Zawodziński unaukował ją [krytykę], uściślił i urzetelnił” (DM 469), Kołaczkowski u Iwaszkiewicza wykrył „duchową wåtłość i wiotkość” (DM 492), Zegadłowicz to „obsesjonista seksu” (DM 286). Mową uczoną jest zapewne wyodrębnienie w poezji polskiej lat 1918-1939 okresu nazwanego Trzecim Wyrazem, czyli nurtu odróżniającego się od Pierwszego Wyrazu (Skamander!) i Drugiego Wyrazu (Awangarda Krakowska!). Tak więc Czechowicz i żagaryści to nie jest tu Druga Awangarda, lecz odrębny, syntetyczny, katastroficzny i metafizyczny ruch. Takich nowych pomysłów klasyfikacyjnych i definicyjnych bywa tu sporo, stąd ściganie się na 150 stronicach wszelakich starych i nowych, wynalezionych i propagowanych przez Kwiatkowskiego izmów!

Od początku omawianej książki czytelnik zaskakiwany jest przez neologi-

zmy oraz okazjonalizmy leksykalne. Gdy lektor zna przymiotnik „programotwórca”, to natknie się na rzeczownik „programotwórczo” (DM 9) oraz „programotwórców” (DM 11); potem przyjdzie czas na „typowego programotwórcę-krytyka” (DM 15). Na podobieństwo epitetu „wewnątrzpartyjny” krytyk tworzy „zmiany wewnątrzliterackie” (DM 9). Ulepiwszy rzeczownik „antymłodopolskość” (DM 14), autor nie baczy na to, iż słownik nie zna „młodopolskości”, lecz tylko „młodopolszczyznę” i epitet „młodopolski”. Chwistek był „racjonalistą-antymetafizykiem, wariabilistą” (DM 17): od pojęcia „wariabilizm” powstał więc „wariabilista”, a od filozoficznego „metafizyka” – „antymetafizyk”! Jeśli jest zaś „utylitaryzm”, to może zaistnieć również dobrze „antyutylitaryzm” (DM 17). Jasiński i futuryści krytykę literacką okrzyknęli „miamlaniem” (swoją drogą czasownik „miamlać” = ‘mówić niewyraźnie, przez bezzębne usta’ lubił Żeromski), a całą literaturę jako geganie gąsiora, które wedle ich uszu brzmiało „ęga” (DM 22, 23). Pisząc o genialnym dziecku Stanisława Witkiewicza, Kwiatkowski używa formuły leksykalnych w stylu Heideggera: „To właśnie w sprzecznościach i **nie-do-wy tłumaczeniach**, paradoksach i nie-domknięciach systemu przejawia się to, co Witkacy nazywał Tajemnicą Istnienia” (DM 29). Sam krytyk pokochał neologizm „poezjogenność” (DM 34; jakby ‘płodność poezji’), który po małej modyfikacji zawędruje do tytułu rozdziału z drugiej części książki: „Nowatorska proza poezjopodobna” (DM 236). Mamy jeszcze „zaciętrzewienia awangardowo-kwadryganckie” (DM 40), „kult rzeczywistości żytej” (DM 43, ale to pomyśl Nałkowskiej); stołeczna grupa Przedmieście uprawiała „turpistyczne demaskatorstwo” (DM 44; słowo „turpizm” wymyślił Przyboś o wiele później, ale krytyk krakowski lubi „preturpistów”, jak ich nazywa na s. 136; na s. 118 pojawi się „preturpizm” w opisie *Pieśni fanatycznych* Wierzyńskiego). Omówiłem niespodzianki leksykalne tylko ze wstępnej sekwencji o programach literackich! Dalej przyjrę się trudniejszym operacjom stylistycznym i retorycznym krytyka.

Zacznę od składniowego chiazmu. Czechowicz (wedle Kwiatkowskiego) „Stanowił typowy przykład »poety dwu wójen«, dwu wizji wojennych. **wspomnień** nakładających się na **przecucia i przeczuć** nakładających się na **wspomnienia**” (DM 188). W „poezji Czechowicza dominuje opozycja: **Arkadia – Katastrofa**. Jest to opozycja niezwykle płodna estetycznie. Krucha, łagodna uroda **Arkadii** potęguje apokaliptyczną grozę **Katastrofy**; apokaliptyczna groza **Katastrofy** potęguje kruchą, łagodną urodę **Arkadii**” (DM 189). Czy jest jakiś czytelnik, który nie przyswoi sobie takich aforystycznie brzmiących słów? Przez paralelizm

i powtarzanie wszak utrwalamy sobie pamięć o ważnej informacji i przesłaniu!

Niekiedy zamiast gnomnicznie skonstruowanych sentencji uwodzi nas Kwiatkowski swoim humorem z cicha pęk, delikatnym uśmieszkiem. Tak jest w opisie powieści, noszącej nagłówek po francusku *Choucas*, co na polski tłumaczy się jako ptaszek kawka: „W prozie Nałkowskiej okres ten zostaje otwarty przez *Choucas* (1927), »powieść międzynarodalną«, jak czytamy w podtytule. Ta maleńka »**czarodziejska góra**« [...] stanowi, dokonana piórem pacyfistki, [...] analizę nacjonalizmu, patriotyzmu i stosunków, jakie panują i powinny panować między narodami” (DM 263). Nieco wcześniej (DM 259), omawiając tom opowiadań Stefana Flukowskiego *Pada deszcz* (1931), szkic pt. *Zabić lisa* uznaje – nie bez uśmiechu – jako „rodzaj *Moby Dicka* w wiejskim wydaniu”! Nie bez aluzji intertekstualnych jest określenie Miłosza jako „anima naturaliter catastrophica” (DM 197) – laptop odkrywa tu kalambur „natura liter”! W istocie chodzi o frazę „Anima naturaliter Christiana” z pism apologetycznych Tertuliana (ok. 160-ok. 240).

Uważam, że tak wyjątkowe nasycenie tekstu *Dwudziestolecia międzywojennego* neologizmami i okazjonalizmami leksykalnymi sprzyja osiągnięciu zwięzłości wywodów, a jednocześnie bywa sygnałem obcowania z ówczesną rzeczywistością poetycką, czyli jak to powiada sam autor – dzięki użyciu „konkretyzacyjnej metaforyki” i „wyszukanej wynalazczości leksykalnej” (DM 366) zbliżamy się wyraźnie do epoki lat 1918-1939. Tak jak przez smakowanie archaicznych już nazw typu: aeroplan, dynamo, propeller, kinematografy, patefony, ekspresy, telegramy, zwrotnice i semafony (DM 100). A że przez cytacje o konkretyzującej metaforyce i wynalazczości leksykalnej Jerzy Kwiatkowski naśladowuje Wacława Berenta, to mnie nic a nic nie dziwi ani mi nie przeszkadza! Wszak można napisać wielki podręcznik, teraz w nowomodnej mowie uczoney – monografię i syntezę w jednym – aludując (słódko z powieści *Oświecenia*) do staromodnego stylisty, zakochanego w polskim klasycyzmie!

Na tle sąsiadujących z tomem Kwiatkowskiego segmentów „Wielkiej Historii Literatury Polskiej”, czyli Artura Hutnickiewicza *Młodej Polski* (Warszawa 1994) i Jerzego Świącha *Literatury polskiej w latach II wojny światowej* (Warszawa 1997) – księga krytyka krakowskiego wyróżnia się polotem i inwencją słótkowórczą, natomiast wolulinom jego konkurentów nie można odmówić rzetelności i rzeczowych wywodów, a także prezentacji istotnych i mało znanych faktów historycznych (to szczególnie u Świącha), które determinują literacką produktywność i poezjogenność (by rzec coś „po kwiatkowsku”), ale nie decydują o jej wielkości bądź artyzmie. ■



fot. Maria Korusiewicz

Na brzegu morza

MARIAN KISIEL

1

Na brzegu morza siedzę, wiatr
Osnuwa moje ciało zwolna
Oddechem ciepłym i powolnym,
Jakby ktoś szeptał mi do ucha,
Że trzeba słuchać, warto słuchać
Co mówią fale, szum ich prędkości,
Bo kto nie słucha, ten nic nie wie,
W tym życiu, które właśnie trwa.

2

Oto zachłysnął się już sierpień
I uroczysty powiał wiatr,
W morzu przemówień oraz westchnień
Gdzieś pobiegł rozkaz jakiś w świat,
A świat niechętny jest rozkazom,
Bo rozkaz bardzo nie na temat,
Ale się u nas ciągle bawią
I odpust trwa na Matkę Zielną.

3

Ktoś wniebowstąpił, jakiś biskup
I mówi, że cud jest, bo jest,
I że nie krew, i nie ofiarność,
Ale że boska to opatrność
Nad nami roztoczyła płaszcz,
Więc ludu wierny płacz dziś, płacz,
Bo tylko łzy twe mogą zmienić,
To, co wciąż nie chce się odmienić.

4

Co się odmienia, kiedy nie chce,
I kogo przejdą wtedy dreszcze,
Oto pytanie, wcale jasne,
Choć nie dla wszystkich, najwyraźniej
Nie każdy pragnie się przyznawać
Do tego lęku, który naraz
Ogarnia i tak trwoży serca,
Że się wciąż gubią w poniewierce.

5

Słuchałem Mistrza. Mocny głos
I wielka strata, że go nie ma,
Bo gdyby był, inna by ziemia
Się upomniała o ten głos,
Ale że nie ma, więc jesteśmy
Jako te kruki na przednówku,
Które szukają i nie znajdują,
I kraczą tylko próżną złość.

6

Ten sierpień, miesiąc nie jak inne,
Bo wyjątkowy i jedyny,
W kościołach dzwony biją w ton,
I się podnoszą baldachimy,
Tabernakulum wywyższone,
Sztandary pokłon biją wszem,
I kropi się święconą wodę
Na głowy pochylonych rzesz.

7

Wystrzały wnet. To na cmentarzach,
Placu defilad i na błoniach,
W miastach i we wsiach, tu i tam,
Wzbija się w niebo prochu dym,
I serca w trwodze się jednoczą
Z sercami w drwinie, bo tak jest,
Kiedy się wszystko tak zaprawia,
Jak w dzieży z niesolonym chlebem.

8

Gdziekolwiek pójdę, zewsząd śmiech,
Ale niech będzie, wszak tak jest,
Kiedy się tłuszcza wspólnie zgarbnie
I myśli, że jej bóg to śmiech,
A bóg przez małe „be” pisany
Śmieje się z nich, bo jak barany
Beczą nie w takt i nie do rymu,
Wreszcie je nóż powita z gminu.

9

A gmin to moc, to wielka racja,
I rozwydrzenie, i sanacja,
I demokracja, święta racja,
I pajdokracja, i sensacja,
Bo kiedy gmin się weźmie w partię,
To padnij wrogu, leż, pamiętaj,
Gmin się upomni o swe racje,
O jakie racje? Nie spamiętasz.

10

Siedzę nad brzegiem morza, wiatr
Otula moje ciało bryzą,
Myśli się płaczą, bo niedługo
Przyjdzie powrócić do swych trosk,
A tutaj słychać tylko głosy,
Sztab jakobinów swą historię
Pragnie nam sprzedać jako cud,
Nieszczęsny ten, kto mu zaufa.

11

Widziałem dary. I szaleństwa.
Szalonych druhów pożegnałem
I choć im nic nie powiedziałem
Nie zobaczyłem też w nich męstwa.
Werbigeracja, stare słowo,
Trzeba go uczyć się na nowo,
Skaziła usta ich bez reszty,
Jak rak języka lub rzut aft.

12

Więc niepodlegli, wreszcie dumni,
Kroczyć będziemy w różnych marszach,
Albo się nie nadarzy szansa
I pochód będzie wymiarowy,
Pełen sztandarów, narodowy,
I pójdą w nim owiani sławą
Im nienależną, ale prawą,
Ci, których już nic nie poróżni.

13

I nie odróżni, nie wymiecie,
I nie wydrapie, nie oskrobie,
Aż wzdrygnie się zmurszałe ciało
I raz się wzburzy w swoim grobie,
Zalkają głosy, może cienie,
Lecz się zatrzymają w sieniach,
Bo na pokoje nikt nie prosi,
Bo dziś się bóstwo rodzi w złości.

14

Zawiał znów wiatr i krzyczą mewy,
Na brzegu morza szum i łopot.

Świnoujście, 15 VIII 2018.



fol. Maria Korusiewicz

Powstańcze manierki (cz. 1)

ŁUKASZ JÓZEF HUBACZ

Trzy Powstania Śląskie, a także plebiscyt z lat 1919 – 1921 tworzą sztandarowy i najbardziej znany występ zbrojny oraz polityczny w dziejach Górnego Śląska, mający jednocześnie znaczenie gospodarcze. Pamięć o tych wydarzeniach jest nadal żywa nie tylko w skali regionu ale i całej Polski. Pomijając całą sekwencję wydarzeń i politycznych osiągnięć, warto jednak zwrócić uwagę na wątek militarny, ściśle jednak związany z wybranym wyposażeniem, jakie niewątpliwie towarzyszyło w tychże zmaganiach człon-

kom Polskiej Organizacji Wojskowej Górnego Śląska.

Niezmierzalnym czynnikiem decydującym o jakości prowadzenia działań wojennych jest ilość dobrze wyszkolonego komponentu ludzkiego, o wysokim morale oraz wyposażonego w odpowiednią liczbę uzbrojenia, amunicji i innego sprzętu. Znacznie jednak większym wysiłkiem jest zdobycie broni przez nieregularne oddziały walczące i struktury konspiracyjne, chociażby w czasie powstań narodowych, a w tym przypadku podczas wystąpień zbroj-

nych na terenie Śląska w 1919, 1920 i 1921 roku. O ile broń jest podstawowym sprzętem, to jednak, nie jedynym. W sylwetkę żołnierza powstańca, wpisana była niekiedy cała gama przedmiotów również regularnego wojska. Nie sposób wymienić ich wszystkich. Z pewnością w ramach wyposażenia czy doposażenia się indywidualnego znalazła się manierka. Zaliczyć ją należy do wartościowych i praktycznych przedmiotów spełniających rolę wojskowego bidonu o różnej pojemności.

Obecność manierki w siłach Pol-





fot. 2

skiej Organizacji Wojskowej Górnego Śląska należy rozpocząć od konstatacji, że najbardziej popularne do zdobycia na tym obszarze były naczynia należące do niemieckich żołnierzy czy choćby do oddziałów takich jak: Oberschlesisches Freiwilligen-Korps potocznie Freikorps (Górnośląski Korpus Ochotniczy), Grenzschutz Ost (Straż Graniczna Wschód) Sicherheitspolizei w skrócie Sipo (Policja Bezpieczeństwa), Oberschlesischer Selbstschutz (Samobrona Śląska) i Kampforganisation Oberschlesien (Organizacja Bojowa Górnego Śląska). Pojemniki, które uprzednio należały do wyżej wymienionych niemieckich struktur wojskowych czy organizacji mogą w sposób bardzo rzeczywisty stworzyć narrację do wizerunku przykładowego Powstańca Śląskiego. Pomocą w tym procesie są jeszcze zach-

wane manierki w muzeach i prywatnych zbiorach. Pojemniki wojskowe, niekiedy nawet bez kontekstu ich odnalezienia, pozwalają wprowadzić pasjonatów wyposażenia, w bogaty i industrialny świat omawianego okresu pod względem wzornictwa oraz użytych do ich produkcji materiałów.

Z czego zatem pili głównie powstańcy? Powstańcy Śląski szedł do walki nie tylko ale przede wszystkim w oparciu o niemiecki ekwipunek zdobyty w walce, przejęty z magazynu, przywieziony w czasie konfliktu czy po prostu przywieziony w różnych okolicznościach przed powstaniem w rodzime progi. Wielu bowiem mężczyzn śląskiej ziemi miało za sobą jak nie przygodę wojсковą w pruskiej armii to po prostu szlif w walce w czasie wojny w latach 1914 – 1918. Sposobów na zdobycie

czy w końcu posiadanie feldflasche (niem. manierka) było zatem wiele. Historię manierek u boku powstańców należy szerzej i bezsprzecznie zaprezentować w pierwszym rzędzie w oparciu o funkcjonującą niemiecką typologię naczyń okresu Wielkiej Wojny. Szczegółowa prezentacja obiektów wspomnianego państwa jest również o tyle uzasadniona, gdyż przyjęły się one do wyposażenia również odrodzonego Wojska Polskiego nie tylko w znacznej ilości ale i na długie lata.

W 1893 r. do armii niemieckiej wprowadzono owalną manierkę o pojemności 0,75 litra (fot. 1). Wykonana została z nowoczesnego jak na tamte czasy materiału — czyli z aluminium. Jej zewnętrzna powierzchnia była wypukła, a tylna ściana wklęsła. Do naczynia zaprojektowano filcowy pokrowiec w kolorze brązowym.

Zamykany był on z jednej strony przez cztery zatrzaski. Wykonywano je z mosiądzu ze wzorem czteropłatkowego kwiatu na powierzchni, a które to z kolei malowano na czarno. System skórzanych pasków oplatał pionowo całą manierkę jak również i szyjkę naczynia. Z tyłu etui przymocowany był do skózanego troku karabińczyk. Na rewersie naczynia również, w połowie wysokości paska głównego, przyszywano drugi mobilny, z zadaniem wsuwania go w zewnętrzną szlufkę chlebaka. Manierki model 1893 były często oznakowane na ustniku nazwą producenta, a niekiedy posiadały sygnatury regimentowe. Od 1896 r. wytwarzano również pojemniki tego wzoru o zwiększonej pojemności, głównie 1 litra – tzw. „labelflasche” – z przeznaczeniem dla służb medycznych (fot. 2).

Kontynuacją wzoru aluminiowego z roku 1893 była manierka model 1907 (fot. 3). Innowacją w tej wersji, była gwintowana nakrętka, przytroczona do paska głównego za pomocą zakładki podszytej pod karabińczykiem. Zmieniono nieco kształt naczynia, które jednak nadal w wersji standardowej posiadało pojemność 0,75 litra. Dla oddziałów sanitarnych przewidziano pojemniejsze naczynie 1 litra (fot. 4).

Od czasu rozpoczęcia działań wojennych racjonowane były drogie i strategiczne surowce. Ograniczenia te spowodowały wprowadzenie również i innych manierek. Pierwszym zastępczym naczyniem był model 1907, który wykonano już prawdopodobnie w listopadzie 1914 roku (fot. 5). Konstrukcja manierki składała się z dwóch zgrzewanych ze sobą stalowych blach, zewnątrz i wewnątrz malowanych lub emaliowanych. Przy tym wzorze, nadal jednak wykorzystywano aluminium do produkcji nakrętek.

Na początku 1915 r. nastąpiła masowa produkcja nowego zastępczego modelu, tym razem zbliżonego kształtem do naczynia z roku 1893. Manierka zatem otrzymała określenie jako model 1915 (fot. 6). Korpus jej wykonywano z dwóch blach stalowych i zgrzewanych oraz malowanych na zielono lub czarno. Zatyczka wytwarzana była z korka i wzmacnia-

na stalowym kapturkiem. Etui oraz skórzany stelaż początkowo wykonywano jak w opisanym już wzorze 1893. Wkrótce jednak system pasków okalających manierkę upraszczano z tyłu naczynia. Duplikację, czyli część mobilną paska usuwano. Po roku od rozpoczęcia produkcji naczyń, wprowadzono całą gamę pokrowców z rozmaitych materiałów i w różnych barwach (fot. 7). Zatrzaski pokrowca coraz częściej wytwarzano ze stali.

Od początku 1916 r. manierki pokrywano emalią wewnątrz, a zewnątrz jedynie na ustniku i szyjce. Pozostałą część naczynia malowano, choć i w tym okresie jak i pod koniec wojny zdarzały się modele całkowicie niezabezpieczone farbą czy też emalią. Niekiedy były one również ocynkowane. W kwietniu 1917 r. rozpoczęto racjonować skórę. System pasków został uproszczony i ograniczony do prostej pętli wokół szyjki i niekiedy wzmacniany metalowym guzikiem przyszytym do pokrowca (fot. 8). Pod koniec 1917 r. wprowadzono nowe etui tzw. papierstoff. Była to mieszanina włókien lnianych i papierowych. Początkowo do zamknięcia pokrowca wykorzystywano nadal metalowe zatrzaski, lecz z czasem zostały zastąpione przez cztery stalowe oczka przez które przewlekano sznurek. Pierwsze osłony z tego materiału wyposażano w skromną opaskę skózaną, która oplatała szyjkę manierki i łączyła się z karabińczykiem. W wersji ostatecznej tej konstrukcji pokrowca przyszywano do jego górnej części parcianą szlufkę łączoną z karabińczykiem (fot. 9).

Z początkiem 1917 r., rozszerzono zamówienia manierek do 5 milionów. Niezwłocznie ich wykonawstwa podjęło się wielu nowych przedsiębiorców. Wytwarzane naczynia pokrywane były najczęściej w całości (wewnątrz i na zewnątrz) szklivem o rozmaitych barwach (fot. 10). Jak już wyżej wspomniano, w tym okresie również, zdarzają się naczynia całkowicie nie malowane farbą czy też nie pokrywane polewą. Pod koniec wojny wyprodukowano też pewną ilość manierek o kształtach ustników odmiennych od standardowych

(fot. 11). Naczynie model 1915 zaprojektowano również o zwiększonej pojemności, dzięki czemu uzupełnione zostały braki „labelflasche”, które wykonane z aluminium i często z rynku cywilnego trafiały do armii (fot. 12).

Należy nadmienić, że ze względu na przeprowadzane remonty standardowych naczyń model 1915, zdarzają się bardzo często manierki posiadające różnorodne połączenia zestawów, czyli pokrowców i ich skórzanych czy parcianych elementów przeznaczonych do troczenia. Ingerencje warsztatów naprawczych jak i samych żołnierzy spowodowały, że naczynia wyprodukowane np. w 1918 r. posiadają etui o wiele starsze wraz z rozmaitym systemem pasków. Podobnie sprawa miała się z manierkami wykonanymi choćby w 1915 r., a które spotykane są w konfiguracjach pokrowców i zawieszek z końca wojny.

Ostatnim niemieckim akordem w produkcji manierek było wykorzystanie szkła. Pod koniec 1917 r. wprowadzono zastępcze naczynie ze wspomnianego materiału o pojemności 0,8 litra, które jednak często określane jest w literaturze jako model 1918 (fot. 13). Zaprojektowany większy pokrowiec z „papierstoff” posiadał z boku tym razem pięć stalowych oczek. Pasek wykorzystywany do troczenia przyszywany był nadal do jego tylnej strony.

Warto zwrócić uwagę na obecność w niemieckiej armii również pojemników wykorzystywanych z rynku cywilnego. Przedmioty te, często określane potocznie jako kanka – były bardzo popularne w codziennym życiu mieszkańców miast i wsi (fot. 14). Bardzo możliwe, że stały się one niezbędnym towarzyszem walczących stron w czasie powstańczych zmagania. Wytwarzane w różnej pojemności i często pokrywane emalią dostępne były dla cywili jeszcze przez kolejne dziesięciolecia i to w niezmienionej właściwie konstrukcji. ■

Prezentowane na zdjęciach manierki pochodzą z kolekcji autora

Łukasz Józef Hubacz

Poza życiem zawodowym i naukowym z zamiłowania historyk, konserwator oraz kustosz swojego wieloletniego zbioru wojennej „garkuchni”. Niekwestionowany znawca manierek wojskowych oraz badacz zjawiska sztuki okopowej i obozowej. Autor publikacji i artykułów w tym zakresie oraz tematycznych wystaw muzealnych. Potwierdza swoją pasją, że dobre kolekcje są pokłosiem wielu wyrzeczeń. Nie zasypia bez kilku stron przynajmniej trzech książek czytanych jednocześnie. Lubi Bieszczady i ze smakiem przokuju. Na co dzień służbą oddany Ojczyźnie.



foto. 3



foto. 4



foto. 5



foto. 6



foto. 7



foto. 8



foto. 9



foto. 10



foto. 11



foto. 12



foto. 13



foto. 14

Śląskie tajemnice cz. 19

Pałac w Wojciechowie Wielkim

JULIA MONTEWSKA



Wojciechowo Wielkie położone jest na wschód od Sycowa. To niewielka wieś, po lewej stronie drogi w kierunku na Milicz. To tutaj w dawnym folwarku dworskim zachował się pałac wybudowany w 1869 roku dla barona von Strachwitz, który stanął w miejscu istniejącego wcześniej dworu. Obiekt wzniesiono w stylu neogotyckim. Na jego tyłach znajduje się zaniedbany park w stylu angielskim, który został założony w drugiej połowie XIX wieku, niestety dziś niczym nie przypomina dawnego założenia. To trudny do przebycia gąszcz. Sam pałac również został nadgryziony kłami czasu.

Obecnie 150-letni obiekt niestety chyli się ku upadkowi. Pierwszy raz na kolana rzuciła go bezlitosna II wojna światowa, podczas której został uszkodzony. W powojennym wykazie szkód z powiatu sycowskiego, sporządzonym w 1946 roku, wartość pałacu oszacowano na 120 tysięcy zł, a powstałe szkody na 36 tysięcy zł. Jak wiele tego typu obiektów – zameczków, pałaców i rezydencji, pałac przejęty został przez Państwowe Gospodarstwo Rolne. Po dokonaniu niezbędnych napraw i remontów w jego komnatach ulokowano biura i mieszkania dla pracowników. Ostatni remont miał miejsce w 1991 roku, od tego czasu było już tylko gorzej. Można nawet powiedzieć, iż roku na rok

pałacu po prostu ubywało.

Obecnie pałac pozostaje na głucho zamknięty, okna zabito płytą OSB by uniemożliwić wejście do pałacowych wnętrz. Ozdobne elementy, odpadają z lizajami tynku a wszędobylska wilgoć sprzyja wyrastaniu samosiejek, które niszczą mury. Wejść można do piwnic, jed-

nak tam jak w większości opuszczonych pałaców panuje straszny nieład. Na tyłach, od strony parku znajduje się wejście z oszkloną werandą, być może jest to pozostałość po mini oranżerii wybudowanej przez ostatniego przedwojennego właściciela pałacu, dr Paula Grunda.

Nie udało mi się ustalić, kto jest właścicielem obiektu. Wstępne obserwacje pozwalają jednak wysnuć wnioski, iż obiekt można jeszcze uratować. Przy odrobinie dobrej woli mógłby odzyskać dawny blask. Rezydencja posiada kubaturę 5550 metrów. Wśród licznych pomieszczeń jest sala balowa, która w latach PRL służyła jako świetlica i klubokawiarnia dla mieszkańców i osób zatrudnionych w lokalnym PGR. Obecnie pałac mógłby stać się pensjonatem lub zajazdem. Istnieją też zabudowania gospodarcze, to dodatkowy atut i szansa na otwarcie w tym miejscu agroturystyki. Na razie obiekt stoi pusty, najbliższe lata pokażą czy dostanie kolejną szansę czy podzieli los innych Dolnośląskich rezydencji i popadnie w totalną ruinę. ■



Julia Montewska — inicjatorka powstania fundacji ochrony zabytków dolnego śląska „Vestigium”, regionalistka, pasjonatka ruin, miłośniczka zabytków oraz architektury obronnej i przemysłowej Dolnego i Górnego Śląska, twórczyni internetowego portalu Łowcy Historii, publikuje w miesięczniku „Odkrywca”.

Kreacja czy autorefleksja?

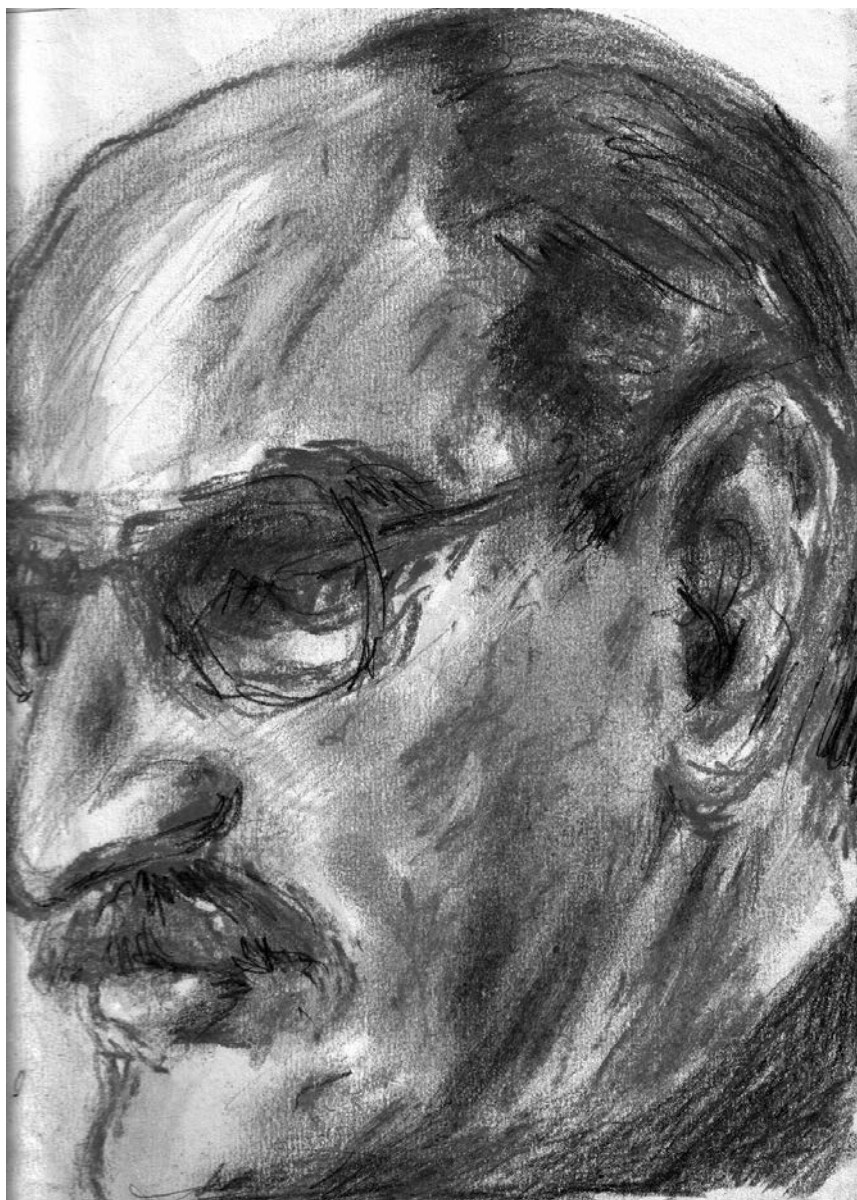
„Do dupy z tym dzienniczkiem i w ogóle z życiem ducha. Życie ducha – przeważnie i zazwyczaj to fikcja w głowie i nic więcej ani nic innego. Niepoważne obrazki – nalepianki na mózgu, z S.M. w roli głównej. Co chwilę inne i tak nam schodzi życie”.

Tako rzeczce Mroźek w jednym z wpisów swojego dziennika. Ta krótka parozdaniowa notatka prowokuje szereg pytań, które powstają w głowie odbiorcy w wyniku styczności z zapiskami jednego z najwybitniejszych polskich dramaturgów XX wieku. Po co w ogóle pisze dziennik? Jakie poruszane w nim tematy są dla Mroźka najważniejsze? Czy *Dziennik* może przynieść wiedzę i prawdę o człowieku, o wielkim pisarzu? W tym krótkim fragmencie jak w pryzmacie odbijają się też najbardziej wyraziste cechy diarystycznej twórczości Mroźka – upodobanie do filozoficznych, często niemal metafizycznych refleksji pisanych spontanicznie, lecz nie bez wyraźnie zarysowanej formy – odznaczającej się oszczędnością w słowie i bogactwem treści, a przy tym nierzadko ironicznym humorem. Zarazem brak jakiegokolwiek upodobania do odsłaniania szczegółów z życia prywatnego, czy rozległych opisów spraw doczesnych. Te oczywiście w *Dzienniku* się pojawiają – odnajdziemy tu wspomnienia o chorobach, czy przeprowadzkach. Jednak nawet w takich przypadkach zapiski Mroźka nigdy nie przybierają formy błahych wspomnień, jako że nawet najprostsze elementy stają się dla niego punktem wyjścia do snucia wewnętrznego monologu i przemyśleń dotyczących świata, ludzi, wolności, tożsamości, własnego „ja”, czy literatury.

Patrząc na różne zapisy w *Dzienniku* Mroźka, których na przestrzeni trzech tomów i kilkudziesięciu lat prowadzenia notatek zebrało się wiele setek, a może i tysięcy, szybko zauważamy, jak bardzo jego praktyka piśmiennicza nie przystaje do klasycznego rozumienia istoty dziennika. Według słownikowej definicji Michała Głowińskiego dziennik stanowi „zespół prowadzonych z dnia na dzień zapisów, od ściśle dokumentacyjnych, których zadaniem jest utrwalanie bieżących wydarzeń, do takich, które zbliżają się do wypowiedzi literackiej”. Z zasady dziennik nie posiada z góry założonej konstrukcji, o jego układzie decyduje w głównej mierze „bieg wypadków, które autor utrwała”.

W tak przedstawione ramy dzienniki Mroźka wpisują się tylko częściowo. Owszem, jest to zbiór codziennych zapisów, jednak jego w tym przypadku nierównowaga między sferą dokumentacyjną, a „zbliżaniem się do wypowiedzi literackiej” jest ogromna. Nieadekwatne w tym przypadku jest też stwierdzenie o kształtowaniu dziennika przez bieg wydarzeń. U Mroźka owa konstrukcja determinowana jest raczej przez „bieg myśli”.

Nie jest to zresztą novum w historii li-



Rys. Edward Knapczyk

Dzienniki Sławomira Mroźka

W 6. rocznicę śmierci pisarza

MACIEJ WOŹNIAK

teratury i diarystyki, ale wyraz powolnej ewolucji stylu prowadzenia takich zapisów. Choć dzienniki w kulturze europejskiej prowadzono od wieków (najstarsze angielskie dzienniki datowane są na połowę XV wieku), dopiero wiek XVIII i jeszcze bardziej XIX rozwinął w intymistyczne tendencję do przekazywania na kartach dziennika przeżyć wewnętrznych. W epoce romantyzmu wielką popularnością cieszyły się dzienniki podróży, a w zapiskach pisarzy z tamtego okresu daje się dostrzec tendencję do odsłaniania w

nich swej osobowości i tym samym proces literackiego konstruowania osobowości. To właśnie zamiłowanie artystów i literatów do podróży rozbudziło modę na dzienniki także w naszym kraju. Swoje dzienniki pisali Zygmunt Krasiński, Juliusz Słowacki, czy Seweryn Goszczyński. W ich zapiskach wciąż dominował dokumentalny opis, jednak był wzbogacony o opis życia wewnętrznego wędrowca.

Prawdziwą zmianę w sposobie pisania dzienników i patrzenia na nie przyniósł wiek XX, który w literaturze pol-

skiej przyniósł dzienniki m.in. Leopolda Tyrmanda, Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, Marii Dąbrowskiej, czy przede wszystkim Witolda Gombrowicza. *Dziennik 1954* Tyrmanda stanowił wiwiskę przeżyć wewnętrznych mieszkańca poststalinowskiej Warszawy, w *Dzienniku pisanym nocą* Herling-Grudziński zawarł ogrom myśli i refleksji ubogających twórczość literacką autora *Innego świata*, *Dzienniki* Dąbrowskiej stanowiły fascynującą podróż przez duszę pisarki i historię naszego kraju, a *Dziennik* Gombrowicza okazał się jednym z najbardziej ambitnych i skomplikowanych literackich projektów w literaturze polskiej, przynosząc przemyślaną i kunsztownie skomponowaną mozaikę życiowych obserwacji i filozoficznych przemyśleń.

Kolejne dekady przyniosły dalszą ewolucję dziennika, coraz silniej podnosząc jego pozycję. Można wręcz odnieść wrażenie, że w XXI wieku dziennik zaczyna wyprzedzać pod względem prestiżu poezję, czy prozę. Na przestrzeni ostatnich kilkunastu lat na polskim rynku wydawniczym ukazały się wydania dzienników Jarosława Iwaszkiewicza, Teodora Parnickiego, Mieczysława Jastruna, Zofii Nałkowskiej, czy Mirona Białoszewskiego. Z żyjących swoje dzienniki wydali Stefan Chwin, Andrzej Stasiuk, Jerzy Pilch, Jacek Dehnel, czy ostatnio jeden z najbardziej rozpoznawalnych obecnie polskich prozaików, autor *Króla i Morfiny* Szczepan Twardoch. To pokazuje, że dziennik współcześnie uzyskał rangę równą randze prozy literackiej. Często zresztą taką właśnie prozą się staje, stanowiąc skomponowaną z myślą o wydaniu opowieść o pisarzu.

Ale czy to oznacza, że już w tym miejscu można by zakończyć rozważania nad *Dziennikiem* Mrożka i stwierdzić, że wpisuje się w wyżej wskazane tendencje? W żadnym wypadku. W przypadku Mrożka pytanie „Literatura, czy nie literatura?”, „Kreacja czy autorefleksja?” jest dużo bardziej złożone.

Intymne odsłony

Na początek problem, którego rozwiązanie nie przynosi wielkich problemów – czy Mroźek tworzył dziennik intymny i miał skłonność do ekszhibicjonizmu? Bez wątplenia nie. Brak takich skłonności u pisarza potwierdza nie tylko ogłód wpisów z dziennika i wyjątkowo skromne informacje o jego życiu prywatnym w nim zawarte, ale także przykłady innych autobiograficznych utworów Mrożka. Najbardziej wyrazistym z nich jest *Baltazar*, książka powstała po udarze mózgu, jakiego doznał Mroźek w 2002 roku, a którego skutkiem była afazja, czyli utrata zdolności posługiwania się językiem. *Baltazar* był dla Mrożka czymś w rodzaju środka terapeutycznego, powrotem do pisania stanowiącym zarazem element

długotrwałej i bolesnej rehabilitacji. Jakże łatwo można było przeskoczyć do założenia w książkę odsłaniającą wstrząsające szczegóły, niemal sensacyjną. Tego jednak Mroźek nie uczynił, już na wstępie informując czytelnika, że próżno szukać w jego wspomnieniach intymnych wyznań, czy nawet szczegółowego opisu choroby. Ten pojawia się w *Baltazarze* jedynie szczątkowo, a główną oś narracyjną stanowią wspomnienia i obrazy związane z miejscami i ludźmi bliskimi Mroźkowi, jednak przybierające formę raczej życiowych refleksji niż zwierzeń.

Niechęć autora do wywlekania na światło dzienne osobistych szczegółów z życia, czy kreowania własnej osoby na bohatera wygrzywającego z chorobą zauważył Antoni Libera, który tak pisał o podejściu Mrożka: „nie wydaje się [...], by Autor szedł tu śladem modnych obecnie i wielce cenionych w kulturze masowej „ofiar”, które zmierzyszy się z taką czy inną przypadłością – rakiem, alkoholizmem, narkomanią itp. – i wyszedłszy z opresji w miarę obronną ręką, ogłaszają światu swój tryumf i przyjmują nieraz pozę wtajemniczonych pocieszycieli wobec innych”.

Brak jakiegokolwiek chęci do kreowania własnego mitu, czy dzielenia się informacjami dotyczącymi życia prywatnego widać też w wywiadach udzielanych przez Mrożka. W jednym z ostatnich (z Mają Przeperską z 2012 roku) czytelnik dostał do ręki od pisarza jedynie zestaw lakonicznych i enigmatycznych komunikatów. Tak odpowiedział Mroźek na pytanie o to, jak wygląda jego zwyczajny dzień w Nicei, gdzie wtedy mieszkał. Spytany, czy jego codzienność jest bajkowa, bo takie sprawia wrażenie, odparł krótko: „Nic nie jest bajkowe. O codzienności nie będę mówił, bo tak wygląda, jak wygląda. Prawdę powiedziawszy, mnie to już nudzi – ta codzienność”.

Niewiele słów, niewiele faktów. Paradoksalnie – wiele treści. Wyczuwalny dystans i ironia. Zestawienie tej odpowiedzi z przytoczonym na wstępie artykułu wpisem z *Dziennika* pokazuje podobieństwo stylistyczne obu tekstów. Ale czy rzeczywiście możemy mówić o tekście? O formie? A może podobieństwo w brzmieniu obu fragmentów wypływa z faktu, że Mroźek pisząc dziennik, o żadnej konstrukcji nie myślał? Ogłód jego zapisków prowadzi jednak do wniosków odmiennych. Z pewnością w momencie pisania *Dziennika* nie myślał o jego wydaniu. Ale o formie i konstrukcji językowej swoich zapisków na pewno tak. Nawet jeśli powstające spontanicznie, stanowiły jednak zapis jego myśli, były nasączone humorem, a zawarte w nich refleksje były zwarte i spójne. Tym samym bliżej było tym zapiskom do gombrowiczowskiego *Dziennika*, niż *Kronosu* – wydanego kilka lat temu zestawu notatek Gombrowicza, w któ-

rym ewidentny był chaos, przypadkowość i tematyczna niespójność. *Kronos* mógł być dziełem przypadkowej plątaniny myśli, *Dziennik*, tak Gombrowicza, jak i Mrożka, z pewnością nie. Ale czy możemy mówić o uporządkowaniu, jeśli autor w zamierzeniu nie zwraca się do czytelnika?

Intymność i literackość

Jak zauważa Paweł Rodak, z czasem dzienniki intymne przestały być intymne, zaczęto je pisać z myślą o czytelniku, co jednak nie pozbawiło ich automatycznie indywidualnego, osobistego charakteru. Zapisy wewnętrznych rozważań Mrożka z pewnością ów indywidualny charakter posiadają, ale tylko pozornie ich autor nie zwraca się do czytelnika. Sęk w tym, że w tej narracji czytelnik jest jeden, a jest nim on sam – Mroźek. O tym, że Mroźek żywił zamiar powrotu do swoich notatek (nawet jeśli nie zawsze realizowany) świadczą choćby wpisy, w których dramodzi się nad przygotowywanymi materiałami. Na kartach dziennika natrafiamy choćby na szkic nigdy nie ukończonego i niepublikowanego dramatu *Kto tam*.

„Napisałem ją, tę sztukę jednoaktową, która zaczęła się od pukania porannego mleczarki. Sztuka nie ma nic wspólnego z mleczarką, oczywiście. Zabrało mi to dwanaście dni. Bardzo jest miło wrócić teraz do poprzednich historycznych notatek na poprzednich stronach, przeczytać je teraz z takim spokojem”.

Ten fakt wraz z klarownością i nieprzypadkowością notowanych w dziennikach refleksji potwierdza, że mamy do czynienia z komunikatem ułożonym, kierowanym do odbiorcy, choćby był nim sam autor. A więc jeżeli istnieje zakładany odbiorca dzieła, dzieło to jest literaturą, nie tylko przypadkowym zbiorem notatek. Niech ten argument zostanie wzmocniony przez zestawienie fragmentów *Dziennika* z fragmentem *Małych Listów*, książki eseistycznej Mrożka zawierającej krótkie refleksje na rozmaite tematy”:

„Obudziłem się w nocy, księżyc. Usiadłem naprzeciwko księżycy, w fotelu. Chciałem chytrze, żeby naświetlanie księżycem coś tam ze mną zrobiło. Wydobyło ze mnie coś ciekawego, zmieniło coś we mnie... Zresztą jeżeli mnie obudził, to widocznie czegoś chciał ode mnie.

Takie wyczekiwanie, żeby coś albo ktoś z nami coś zrobił, jest powszechne. Sami nie czujemy się na siłach. Czekamy nieustannie na Mesjaszy, mesjaszków, na przesłania, poselstwa, zawiadomienia i objawienia”.

Czyż nie jest to styl podobny do stylu wpisów z *Dziennika*?

Naturalnie w *Małych Listach* Mroźek dba w większym stopniu o zwięzłość i przystępność swych refleksji dla czytelnika „zewnętrznego”. Jak zauważa Ali-

cja Kochańczyk, w *Dzienniku Mrożek* nie starał się przypodobać czytelnikowi, przez co jej zdaniem jego zapiski często zamiast fascynować, nużą. Ale niezależnie od tej subiektywnej krytyki nie odbiera ona dziennikom Mrożka statusu czegoś więcej, niż tylko codzienna praktyka piśmienna.

Zdaniem Pawła Rodaka, dziennik osobisty może być postrzegany na dwa sposoby – jako codzienna praktyka piśmienna i jako tekst. Codzienną praktykę Mrożek niewątpliwie uprawiał. By zaklasyfikować jego dziennik jako tekst, musimy wziąć pod uwagę aspekty tych notatek stanowiące o ich formie.

Zauważalny jest intelektualizm obecny we wpisach. Wynika to ze specyfiki autora i zarazem ich głównego odbiorcy – Mrożka. Pojawiają się liczne nawiązania literackie (do literatury polskiej i światowej, m.in. Hessego, Dürrenmatta i innych autorów), czy filozoficzne (na kartach dziennika spotkamy m.in. Nietzschego, czy Sartre'a).

Uwagi o pisarzach, lekturach, czy rozważanych ideach, to cecha osobistych zapisków, ale zarazem ów „cytatowy” charakter twórczości Mrożka, pełnej nawiązań, komentarzy i aluzji, rozciąga się na wszystkie jego utwory. Istotną jest też jednolitość tematyczna prezentowanych wywodów. Każdy wpis w dzienniku zawiera ściśle określony temat, tym samym całość nabiera cech zbioru quasi-eseistycznych miniatur podobnych w swej istocie do *Małych Listów*, choć wzbogaconych o wątki autobiograficzne. Skrótowość prezentowanych refleksji to naturalna cecha dziennika jako takiego, ale warto zauważyć, że jest to też naturalna cecha felietonistyki. Wpisy Mrożka, głębokie intelektualnie, pełne kulturowych nawiązań, wykwintnego językowego dowcipu, czy językowych gier wyjęte z kontekstu *Dziennika* z pewnością można by zaklasyfikować właśnie jako krótkie formy felietonu.

Dziennik ewidentnie nie stanowi więc tylko przestrzeni codziennego kontaktu ze słowem dla Mrożka, ale staje się czymś więcej. Podobnie jak w *Baltazarze*, tak i tu autor za pomocą słowa konstruuje intelektualną konstrukcję, która choć zawiera pewien pierwiastek biograficzny i faktograficzny, przede wszystkim stanowi tekstową reprezentację jego wnętrza, umysłu i ducha.

Dziennik Mrożka jest więc czymś więcej, niż tylko przypadkowym zbiorem nie poukładanych myśli, czy literackich i kulturowych nawiązań. Stanowi diariusz intelektualnej podróży utkany z drobnych elementów, które układają się w całość. Intencja autora jest przy tym kwestią drugorzędną – niezależnie od jego zamiarów (czy dziennik miał być tylko spontanicznym „spotkaniem z papierem”, czy nie) taką właśnie skomplikowaną tekstową konstrukcję stworzył. Ten wniosek prowadzi rzecz jasna do postawienia kolejnego, szerszego pytania – czy w takim razie za literaturę możemy uznać każdy zbiór osobistych notatek?

Wewnętrzna medytacja

Mówiąc o dziennikach Mrożka, zauważamy pewien paradoks – z jednej strony posiadają określoną strukturę i przejawiają cechy literackości, z drugiej zaś obecność tych cech nie jest wynikiem realizacji z góry założonego projektu, lecz raczej pokłosiem natury autora (i zarazem przez dekady głównego odbiorcy *Dziennika*) przejawiającej się w języku dzieła, kształtowanym latami poprzez jednostkowe akty twórcze. To specyficzne napięcie między kreacją i medytacją stanowi o wyjątkowości dzieła.

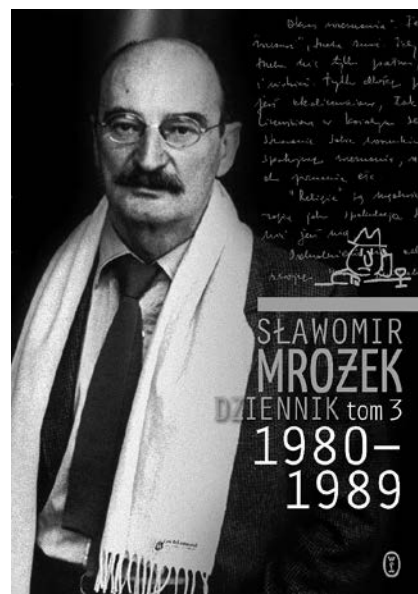
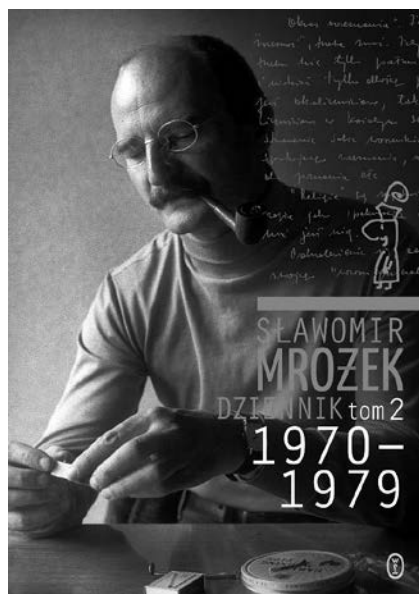
Pozostając tekstem wartościowym literacko, *Dzienniki* stanowią bowiem również właśnie rodzaj medytacji, aktu służącego porządkowaniu myśli, a jednocześnie aktu kreacyjnego.

Maciej Wróblewski pisząc o „maszynie

Mrożka”, analizował metaforyczny wymiar maszyny do pisania stosowanej przez autora. Jak zauważał, przez swoją budowę przypominającą na przykład pianino prowokowała do tego, by zacząć tworzyć, by zacząć uderzać w klawisze. Zarazem dawała Mrożkowi szansę na spotkanie z żywym słowem. Być może także pozwalała na stworzenie czegoś w rodzaju ekwiwalentu wolności wydawniczej (zapisane kartki przypominały bowiem wydrukowane karty książki), co w jakimś sensie mogłoby wyjaśniać, czemu dziennik jest tak ważny dla pisarza żyjącego na emigracji. Ta teza z braku wystarczających dowodów w tekście musi jednak pozostać w sferze domysłów.

Szymon Wróbel przypomniał, że swista medytacja jakiej oddawał się Mrożek, tworząc swój dziennik, nosi znamiona hypnematy. Hypnematy to, idąc za rozróżnieniem Platona, rodzaj sztucznej pamięci, pamięci materialnej, której powstanie jest efektem pisania. Pisanie, a tym samym rozmyślanie, któremu oddaje się pisarz, nadaje jego życiu formę poprzez tworzenie w języku. Pisząc o hypnematy, Wróbel zauważał, że owo literackie formowanie życia występowało już w średniowieczu, kiedy to przez liczne działania i zasady kształtowano forma vitae. Do tych działań zaliczały się rozmyślanie, pisanie, ćwiczenia jakim się oddawano, wspólna recytacja tekstów (w średniowieczu sakralnych), czy ciche czytanie. Te aktywności prowadziły do ukonstytuowania się tożsamości jednostki i jej pamięci.

Rozmyślanie i pisanie stanowiące fundamentalne elementy praktyki diarystycznej przyczynia się więc do powstania tekstu, który jest nie tylko wyznaniem, nie tylko dziełem literackim, ale także owym nośnikiem pamięci. Ów nośnik Michel Foucault określił jako rodzaj „materialnej pamięci” dotyczącej rzeczy przeczytanych, wypowiedzianych i zasłyszanych. Taka „zapisana pamięć” dawała według



niego szansę powrotu do tych myśli i późniejszej medytacji nad nimi.

Jak zauważał Piotr Mackiewicz, Mrozek w swoich dziennikach inaczej niż autor spisujący autobiografię, czy pamiętnik, w żaden sposób nie starał się kreować własnej osoby, tworzyć z siebie kogoś w rodzaju bohatera literackiego, lecz przyjmował postawę analityka i improvizatora. Ta postawa pasuje do specyfiki medytacji, pochylania się nad sobą, własną egzystencją, swymi myślami. Pochylenia spontanicznego, improwizowanego, ale jednocześnie głębokiego, skutkującego powstaniem wartościowej formy językowej.

Literackość *Dziennika* nie tylko nie wyklucza się z ową praktyką medytacyjną, ale wręcz stanowi z nią jednię. Mrozek-literat i Mrozek-diarysta zawsze bowiem dotyka podobnych tematów, zbliżonych problemów, wśród których jednym z najważniejszych jest kwestia tożsamości człowieka i możliwości zgłębienia własnego „ja”, a tym samym sensu istnienia. Temat ten zawsze łączył się u Mrozka z innymi – refleksją nad społeczeństwem, państwem, wolnością etc. Był też przedmiotem rozmaitych dziedzin, jakimi parał się Mrozek. Podejmował go Mrozek-prozaik, Mrozek-rysownik, przede wszystkim jednak podejmował go Mrozek-dramaturg, który w swoich utworach starał się zgłębić ów problem za pomocą środków takich jak groteska, poprzez budowanie świata nierealnego, próbując dotknąć tego, co najbardziej realne i fundamentalne dla człowieka. Groteskę ukazującą zmagania człowieka z jego „ja” widać w wielu utworach Mrozka, najmocniej zaś w *Tangu*.

W istocie bohaterowie sztuk Mrozka, czy to *Tanga*, *Emigrantów*, *Męczeństwa Piotra Oheya* czy *Zabawy* wiecznie stają przed tym samym nadrzędnym pytaniem – kim są? Co to w ogóle znaczy, że „są”? Co wynika z tego, że „są”? Pytania o byt i tożsamość zawsze najbardziej frapowały autora *Policji* i do końca pobrzmiewały w jego utworach dramatycznych. Podobnie jak pobrzmiewały na kartach *Dziennika*, gdzie Mrozek toczył niekończącą się wewnętrzną filozoficzną dysputę.

Prawie-byt

Zapiski dzienników Mrozka przypominają więc figurę wiecznego powrotu, powrotu pytania o byt, nieustannego poszukiwania odpowiedzi na nie, a zarazem na nowo ponawiane próby odkrycia istoty własnego „ja” pisarza, zdefiniowania siebie samego, nadania sobie tożsamości. W podobnych słowach ten filozoficzno-psychologiczny wymiar *Dziennika* ujęła Klaudia Muca, pisząc o „teorii prawie-bytu” u Mrozka: „Dzienniki Mrozka to miejsce rozgrywania się autoanalitycznego spektaklu, w którym główną rolę gra „ja” pisarza – nieustannie kwestionowana i tworzona na nowo forma jego obecności w świecie.

Dynamika narracji jest dynamiką kształtowania wykorzystującego słowo jako buďulec jakiejś zamkniętej i spójnej całości”.

Prawie-byt rozumiała ona tym samym jako nieustające próby piszącego podmiotu mające na celu nadanie sensu swej autobiograficznej narracji. Jednak w istocie sam Mrozek, choć ów trud podejmował, nie wierzył w jego ostateczne powodzenie, uważając, że żadna z mikro- i makronarracji nie może przetrwać. Jego dzienniki były tym samym dokumentem żmudnej filozoficznej pracy.

Czemu więc tę, jakże syzyfową pracę, wciąż na nowo podejmował? Krótkiej, lecz wyczerpującej odpowiedzi na to pytanie udzielił Antoni Libera, pochylając się nad powodami powstania *Baltazara*: „Różne bywają powody, z jakich pisarze przystępują do pisania wspomnień, albo autobiografii. Najczęściej jest to przekonanie o ważności czy wręcz wyjątkowości własnej egzystencji, czasem wola skomentowania własnej twórczości, niekiedy wreszcie – nałóg pisania”.

Słowo „nałóg” wydaje się przy tym dość niefortunne. Powołanie? Też nie, zbyt wzniosłe jak na Mrozka. Najwłaściwszym wydaje się stwierdzenie, że to natura Mrozka pchała go do pisania *Dziennika*, jego własna wewnętrzna natura, gen pisarza, nakazywał mu nieustannie rozmyślać, nieustannie tworzyć w języku, nieustannie poszukiwać odpowiedzi na fundamentalne kwestie, nawet jeśli te byłyby niemożliwe do odnalezienia. Bo pisarz po prostu musi pisać.

Ten genotyp pisarza i naturę nakazującą Mrozkowi niezależnie od postaci, sytuacji i okoliczności wykorzystywać język do tworzenia obrazów komentujących i zgłębiających rzeczywistość, uchwycił Jan Błoński, opisując początki drogi twórczej pisarza. Wspominając początki drogi Mrozka i jego pracę w „*Dzienniku Polskim*” za czasów głębokiej PRL, badacz zauważył, że pisarz choć zakuty w kajdany propagandy i komunistycznej politycznej poprawności, już tu przejawiał charakterystyczny styl pełen humoru i ironii w opisywaniu świata. Zdaniem Błońskiego, choć Mrozek-dziennikarz opisując tatrzańskie lato przytaczał pozornie informacje prawdziwe, niewinne sympatyczne, z dokonane go przezeń wyboru elementów i kontrastu między idylliczną naturą, a prozą restauracyjnego remontu powstawała komiczna osobliwość. Śmieszność i groteska przebiły więc nawet z pierwszych, jeszcze nie-literackich przeciw tekstów późniejszego dramaturga. Funkcja poetycka w jego języku uruchamiała się w sposób naturalny, organiczny, wręcz konieczny.

Wolność myśli

Wreszcie tworzenie *Dziennika* przez Mrozka należy postrzegać nie tylko jako mimowolną konstrukcję dzieła literackiego, filozoficzne zmagania z bytem, czy pisarską medytację, ale też jako przestrzeń wol-

ności, jakiej potrzebował umysł artysty. Sam Mrozek określał akt pisania *Dziennika* jako wytchnienie, coś co było mu potrzebne i co wykonywał odruchowo. Wytchnienie od czego? Możemy wnioskować, że od codzienności, frustrujących wewnętrznych rozterek nad rzeczywistością, ale być może również od trudu życia na emigracji, która ograniczała możliwość w pełni swobodnej wypowiedzi pisarza.

Tadeusz Nyczek analizując korespondencję Mrozka z Janem Błońskim, stwierdził, że najbardziej obfita była ona w latach 1963-1966, wtedy gdy obaj mieszkali za granicą i „nikt im nie wtykał nosa w listy”. Potem, gdy Błoński wraz z żoną wrócił do Polski, jego korespondencja z Mrozkim stała się rzadsza. Wynikało to oczywiście z uwarunkowań politycznych. Tylko na emigracji nie trzeba było się obawiać cenzury. Mnogość listów wymienianych z Błońskim pokazuje potrzebę wyrażania swoich myśli przez Mrozka, w pełni swobodnego i nieskrępowanego. Taką też przestrzeń odnalazł w *Dzienniku*, w którym tocząc dialog sam ze sobą, mógł przeżywać prawdziwy artystyczny i intelektualny spokój. Prawdziwe wytchnienie.

Język, który prowadzi

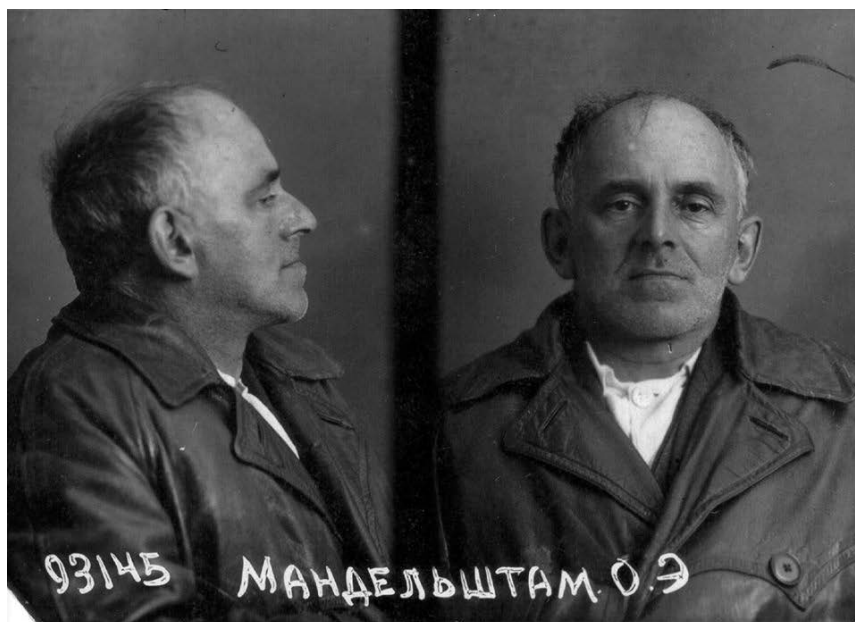
Widzimy więc, że *Dziennik* Sławomira Mrozka daleko wykracza poza tradycyjne pojmowanie tak diarystyki, jak i literatury pięknej. Stanowi intymną przestrzeń medytacji artysty i pole do filozoficznych rozważań, intelektualne laboratorium, w którym podejmowane są niełatwe próby zgłębienia tajemnicy „ja”, zarazem jest świadectwem pamięci, literacką konstrukcją świadomości i tożsamości pisarza, odbiciem jego natury – natury człowieka, który musi pisać, który jest wręcz zespolony z językiem. Jest to przestrzeń wewnętrznej wolności, biblioteka intelektualnych doświadczeń wybitnego dramaturga, świadectwo jego pasji, humoru i przenikliwości umysłu.

Dziennika nie sposób zamknąć w sztywne ramy przynależności gatunkowej. Jako dzieło literackie stanowi przede wszystkim ową intelektualną podróż, spotkanie pisarza ze słowem, pozornie błahe, lecz zawierające w sobie więcej, niż notowanie słów i myśli dzień po dniu. Zawierające tajemnicę funkcjonowania języka i jego możliwości odkrywania świata, prawdy o człowieku i jego bytowaniu w tym świecie. Prawdę, która przejawia się nie w rozstrzygających konkluzjach, lecz w nieustającym napięciu rodzącym się między językową kreacją i filozoficzną autorefleksją. Prawdę o tym, że język jest czymś więcej, niż tylko kodem, że słowo ma moc kreacji, że może nas prowadzić przez wędrówkę życia, nawet jeśli ta często wiodłaby nas na manowce.

Książd Alojzy Osieński pięknie wyjaśnia, kim była i jak wyglądała w wizjach artystów grecka bogini pamięci: „Jowisz pokochał ją i miał z niej dziewięć Muz. Zległa je [urodziła] na górze Pierius, stąd Muzy nazwane *Pierides*. Pierwszy [Anton Raphael] Mengs [malarz niemiecki z przełomu baroku i klasycyzmu] wymalował tę Muzę na stronie pysznej galerii de la villa Kardynała Alexandra Albani. Siedzi na krześle, trzyma nogi na podnóżku, i dotyka się końca ucha przez aluzję do swego nazwiska. Głowa Mnemosyny jest trochę schylona; spuszczone ma oczy, aby widok otaczających przedmiotów nie był roztargnieniem w przywodzeniu na pamięć przeszłości. Drugą rękę trzyma niedbale na piersiach, jak czynić zwykły osoby zamyślane głęboko” (A. Osieński: *Słownik mitologiczny*, t. II, Warszawa 1808, s. 509-510).

Nadieżda Mandelsztam (1899-1980) nie była roztargniona „w przywodzeniu na pamięć przeszłości”! Po pierwsze, nauczyła się mnemotechnicznie (poprzez stałe powroty do lektury manuskryptów i bezgłośnie recytacje) niedrukowanych wierszy męża. Po drugie, rozdała znajomym i powieliła, dzięki ręcznemu przepisywaniu – maszynopisy były wtedy rzadkością – teksty liryków Osipa. Po trzecie, przez prawie 30 lat przygotowywała swoje *Wspomnienia*, których pierwszy tom, pisany w latach 1958-1964, ukazał się w USA w roku 1970, drugi – w Paryżu (1972; ukończony w roku 1970), a trzeci – w Moskwie (2006). Tuż przed stanem wojennym dostępna była u nas skrócona wersja tych pamiętników, w tłumaczeniu Andrzeja Drawicza, pt. *Nadzieja w beznadziejności* (1981), która wyszła też w 1982 roku oraz 1997 (*Nadzieja w beznadziei*). Ostatnio – w latach 2015-2016 – w przekładzie i opracowaniu Jerzego Czecha ukazały się dwa obszerne tomy *Wspomnień* (s. 560 i 752).

Uważam, że pierwsza księga tych pamiętników stanowi w zasadzie zamkniętą całość, dotyczącą losów skazanego przez Stalina na „izolowanie, ale zachowanie” poety. Autorka zaczyna od zdania, które, wchodząc in medias res, daje powód i przebieg całej fatalnej i finalnej „piatiletki” (1934-1938) twórcy dwu wierszy o późniejszym generalissimusi: „Kiedy O.M. [czyli Osip Mandelsztam] spoliczkował Aleksieja Tołstoja, natychmiast wrócił do Moskwy, stamtąd zaś codziennie dzwonił do Achmatowej i błagał, żeby przyjechała” (N. Mandelsztam: *Wspomnienia*, przeł. J. Czech, Wstęp J. Brodskiego, Warszawa 2015, s. 17; edycja tę oznaczam skrótem W I). Wiadomo było, iż karierowicz Tołstoj nie żartował, krzyżując, że „zablokuje Mandelsztamowi dostęp do wszystkich wydawnictw, nie pozwoli, by go drukowano, deportuje go



Mnemosyne Nadieżdy

Wspomnienia żony Mandelsztama

JERZY PASZEK

z Moskwy” (W I, 26). Wygląda to tak, jak gdyby Josif Dżugaszwili tylko czekał na tę okazję, by przyspieszyć wyjazd Mandelsztamów na Syberię (do Czerdynia nad Kamą): do scysji z Tołstojem doszło po 20 (a przed 27) kwietnia 1934, a już w nocy z 16 na 17 maja aresztowano poetę! Nadieżda w całym inicjalnym tomie *Wspomnień* zajmuje się skutkami tego aresztowania i próbami ustalenia daty śmierci męża we Władywostoku, w obozie Wtoraja Rieczka, w roku 1938 lub później. W tomach następnych, publikowanych po sukcesie *Wspomnień* w edycji nowojorskiego emigracyjnego Wydawnictwa im. Czechowa, przedstawia szeroką panoramę wydarzeń kulturalnych i socjalnych okresu stalinizmu, a przede wszystkim losy akmeistów i twórczość Anny Achmatowej (w tomie trzecim mamy analizy wierszy Mandelsztama, a nawet listy Nadieżdy do zagranicznych przyjaciół).

Moje pytanie może dotyczyć zawartości oraz wymowy (dawniej mówiono dźwięcznej i wdzięcznej: wydźwięku) obu decydujących o losie poety utworów. Otóż pierwszy z nich jest krótką satyrą, z nieco zaszyfrowanym adresem, natomiast drugi liryk stanowi odę pochwalną na cześć wodza narodu, niezasyfrowaną w żadnym wypad-

ku, choć mającą bardzo skomplikowaną strukturę poetycką. Przytaczam wiersz z 1933 roku w tłumaczeniu Adama Pomorskiego (O. Mandelsztam: *Nieogrzybiony i nierozgromiony. Wiersze i szkice*, wybrał, przełożył i komentarzami opatrzył A. Pomorski, Warszawa 2011, s. 320-321; używam skrótu: MP), podkreślając aluzje, wskazujące na bohatera satyry:

Kraj spod nóg się usuwa i czym tu oddychać,/Już o pięć kroków od nas słów naszych nie słychać./A kto sobie w półrozmówkach pozwala,/Popamięta **kremlowskiego górala**./Jego **grube paluchy** są **tluste** jak glisty,/Mowa niby odważnik ma sens oczywisty,/Karaluszce śmieją mu się **wąsiska**./A **cholewa** niby lustro rozblęyska./**Cienkoszyich** przywódców dokoła ma zgraję,/Na usługi półludzi z uciechą się zdaje./Jeden gwizdże, drugi miauczy i kwiczy,/On sam tylko **poszturkuje i ryczy**./Ukazami podkuwa jak Cygan swą szkapę:/Temu w brzuch, temu w kark, temu w pysk, temu w czapę./**Osetyniec** lubi śmierci wyroki:/Serce wielkie, to i gest ma szeroki.

Pomorski w swoich cennych komentarzach podaje, że „Do ustnego folkloru opozycji [antystalinowskiej] należy parodystyczne skojarzenie Stalina („kremlowskiego górala” *alias* „Ose-

tyńca”) z terroryzującym świat zwierząt groźnymi wąsami karaluchem ze znanego poematu dla dzieci Kornieja Czukowskiego” (MP, 372). Nadzieżdza dodaje tu, iż Diemian Biedny nie lubił pożyczać Stalinowi własnych książek, bo ten „zostawia na kartkach ślady swoich tłustych palców” (W I, 43). Epitet „cienkoszyi” odnosi się do wyglądu Nikołaja Jeżowa, „żelaznego” dygnitarza NKWD (MP, 372), a także do długowiecznego ministra spraw zagranicznych ZSRR: „Cienką szyję O.M. zauważył u Mołotowa – sterczała z kołnierza, uwieńczona małą główką” (W I, 195). Gienrich Jagoda, poprzednik Jeżowa, potrafił wyrecytować bez zająknięcia Nikołajowi Bucharinowi ten nieuczestny i śmiertelnie niebezpieczny dla większości sowieckich obywateli wierszyk (W I, 39).

Nikomu wówczas (oprócz żony poety) nie przyszłoby do głowy nauczyć się na pamięć siedmiu strof (po 12 linijek każda) poematu o incipicie „Gdybym po węgiel sięgnął...” z roku 1937, zwanego przez krytykę *Odą do Stalina*. Bohater tego poematu jest wskazany w drugiej strofie: „Niechaj więc moją wdzięczność pojmie ziemia,/Ze kość i kiść z niej właśnie się wychyli:/Zrodzony w górach, zaznał gorzkości więzienia./Nie Stalin nazwę go, lecz Dżugaszwili!” (MP, 406). Pomorski ma rację, określając ten panegiryk „najbardziej spornym utworem Mandelsztama” oraz wskazując na to, że jest on „intertekstualnie, metaforycznie i paronimicznie [dwuznaczność jak w idiomie „kość i kiść”, gdzie „kiść” zastępuje „krew” z frazy „kość z kości, krew z krwi”; w pierwszej zwrotce będzie to aluzja do związku słów „węgiel” i „węgiel”, ros. „ugol” i „ugol”] niezwykle gęsty, a przez to skrajnie wieloznaczny” (MP, 474). Analizie tej *Ody* poświęcił komentator aż 43 strony (MP, 474-517) petitiu w książce o dużym formacie! Dla posmakowania i próby ukąszenia owej iście marmurowej struktury poetyckiej przytaczam pierwszą zwrotkę, podkreślając dwa poliptoty, czyli rodziny słów, związanych z rzeczownikiem węgiel i czasownikiem rysować (MP, 406):

Gdybym po **węgiel** sięgnął dla najwyższej chwały --/Radości, co w **rysunku** tkwi, przemożna --/Węgły przemysłnie by **rozrysowały**/Powietrze – trwożnie i z ostrożnością./Aby **rys** każdy zawarł prawdę czasów/Zuchwalstwem sztuce bliską, snułbym powieść/O tym, kto wydarł świata oś z zawiasów,/By czci dla stu czterdziestu ludów dowieść./Uniółbym **węgiel** brwi, jej kąt niewielki,/Uniółbym, poprowadził go inaczej:/To Prometeusz dmucha w swe **węgielki** --/Eschyłu, patrz, jak ja **rysując** płaczę!

Zastanawiam się, co z takiego poematu mógł zrozumieć Stalin, który w seminarium duchownym pisywał gruzińskie wiersze, sławiące „służbę ojczyźnie

i ludowi” (O. Khlevniuk: *Stalin. Nowa biografia*, przeł. D. Bal, Kraków 2016, s. 37)? Soso mógł w szkole słyszeć o Prometeuszu, ale tragedii Eschyła (Ajschylosa) o *Prometeuszu w okowach* zapewne nie studiował! Cytowany badacz sądzi, iż Kobo (następny pseudonim Gruzina) „słabo znał rosyjskich i zagranicznych klasyków literatury pięknej” (Khlevniuk, 139). A gdyby wódz światowego komunizmu okiem krytycznym przyjrzał się odzie na swoją cześć, to mógłby nawet dostrzec w chytrych i aliteracyjnych splecionych słowach pochwalnych ukrytą postać szatana, czyli czarta (ros. „czert”): 1. „ja b wozduch rasCZERTił na chitryje [stały epitet diabła w folklorze] ugły” – „Węgły przemysłnie by rozrysowały/Powietrze”; 2. „czto b nastojaszczaje w CZERTach otoczwałos” – „Aby rys każdy zawarł prawdę czasów” (strofa I); 3. „twiordost’ RTA – oTca RIECZEJ upriamyh” – „Warg jego twardość – słów upartych źródło” (strofa IV); 4. „kak morie biez morszczin, kak zawTRA iz wCZERA” – „Niby jutro bez wczoraj, jak bez zamarszczek morze” (strofa VI); 5. „jego ogromnyj put’ – CZERiez Tajgu” – „Przez tajgę [...] jego szlak olbrzymi”; 6. „prawdiwiej prawdy niet, CZEm iskRiennosT’ bojca” – „Któraż prawda przerasta prawdomówność walki?” (strofa VII; zob. MP, 406-408

i 507). Ba, Pomorski cytując wymyki z dwu kończących utworów strof („W sześcioprzysiężnym polu echa”, „Sześćkróć obwarowałem, świadek opieszają/Pra-cy, walki i żniwa”), czyli z **szóstej** i siódmej, twierdzi, iż nasuwa się „tu asocjacja z apokaliptyczną Liczbą Bestii (666) – a co za tym idzie: z tysiącletnim królestwem Antychrysta” (MP, 516)!

Nadzieżdza Mandelsztam przytacza słowa męża po napisaniu przewrotnego – jak teraz to widać! – poematu: „Teraz rozumiem – powiedział do Anny Andriejewny [Achmatowej] – to była choroba” (W I, 254). I komentuje dalsze losy dwuznacznego (oda pochwalna czy szatańska satyra?) utworu: „Przed wyjazdem z Woroneża O.M. prosił Nataszę [Sztempel, 1910-1988, nauczycielkę rosyjskiego, przyjaciółkę obojga Mandelsztamów], żeby zniszczyła *Odę*. Wielu radziło mi ją ukryć, tak jakby nigdy nic takiego nie powstało. Ale nie robię tego, bo prawda byłaby niepełna: **podwójna egzystencja** to niepodważalny fakt naszej epoki – i nikt jej nie uniknął. Różnica jest taka, że inni pisali ody w swoich mieszkaniach czy dachach i dostawali za nie nagrody, a O.M. zrobił to z pętlą na szyi... Achmatowa – kiedy pętlę zaciskano na szyi jej syna. Kto potępi ich za te wiersze?” (W I, 254-255; podkr. J.P.).



Nadzieżdza Mandelsztam w 1922 r., w dniu ślubu z Osipem Mandelsztamem



Na temat omawianego poematu wypowiedział się także Czesław Miłosz. „23 listopada 1996 ‘Gazeta Wyborcza’ pod nagłówkiem *O Osipie Mandelsztamie i jego legendzie* przedrukowała z niskonakładowego krakowskiego czasopisma o drugoobiegowym rodowodzie (‘NaGłos’ nr 22) obszernie fragmenty spisane z magnetofonu tekstu Czesława Miłosza” (MP, 622). Laureat Nobla mówił m.in.: „Pod koniec swego wygnania w Woroneżu, w 1937 roku, zdobył się na *Odę do Stalina*, o której istnieniu długo nie wiedzano. Została opublikowana po raz pierwszy w 1975 w Ameryce, w piśmie ‘The Slavic Review’. [...] Jego dawny tytuł [tomu] *Tristia*, z odwołaniem do Owidiusza, teraz miałby zastosowanie, bo przecież sam powtarzał teraz los rzymskiego poety, który wypadł z łaski Cesarza. [...] Mandelsztam, któremu Pasternak i inni koledzy zarzucali arogancję, bo odmawiał przyznania się do winy, w Woroneżu uznał słuszność kary i złorzeczył nie tyranowi, ale sobie. Bo w istocie zawsze chciał być bolszewikiem, tylko mu się nie udawało. [...] Nazywając rzeczy po imieniu, *Oda* to obrzydliwy bizantyizm, nie znający w pochlebstwach wstydu ni miary” (MP, 622–627). Gdyby Miłosz znał wyjaśnienia Pomorskiego i badaczy, na których się ten tłumacz *Fausta* powołuje, pewnie nie wydawałby tak jednostronnej oceny! I chyba nie czytał też uważnie po rosyjsku oryginału (bo pewnie zauważyłby owego czartha!) ani tego, co Nadieźda pisała o Orwellowskim dwójstnieniu i dwójmyśleniu w czasach stalinowskich!

Po wysłaniu do USA maszynopisu pierwszego tomu *Wspomnień* (zasadniczą rolę odegrał tu prof. Clarence Brown i poczta dyplomatyczna ambasady Stanów Zjednoczonych) żona Mandelsztama uważała, iż spełniła swoją misję, którą ujęła następująco: „ocalić wiersze i zostawić coś w rodzaju listu, żeby przekazi-

zić to, co nam się wydarzyło. Pierwsza książka wspomnień to właśnie taki list” (N. Mandelsztam: *Wspomnienia. Druga księga*, przeł. i wstępem pt. *Napisane bez zezwolenia* opatrzył J. Czech, Warszawa 2016, s. 215; edycję tę oznaczam skrótem W II). W drugim tomie postanowiła opisać swoje życie z poetą sprzed roku 1934, a także przedstawić szczegóły twórczości Mandelsztama (i jego kontaktów z innymi pisarzami), pominięte w poprzedniej księdze. Najczęściej narracja dotyczy tu trzech osób: Osipa Mandelsztama, Anny Achmatowej i Nadieźdy Mandelsztam. Oni stworzyli „trójstronny sojusz”: „Mimo wszystko było nas troje i tylko troje. Po śmierci Mandelsztama Achmatowa powiedziała: ‘Teraz ty jesteś wszystkim, co zostało nam po Osi’” (W II, 261, 264). Inne postaci stanowią jedynie barwne tło dla przygód intelektualnych i codziennych zmartwień tych trojga.

Autorka ma dar spostrzegawczości i dobrą pamięć. Mogę potwierdzić jej percepcję rzeczywistości na przykładzie charakterystyki poety Josifa Brodskiego: „Zdarzało mi się słuchać, jak Josif recytuje wiersze. W formowaniu dźwięku czynny udział bierze nos. Czegóż takiego nie widziałam u nikogo na świecie: nozdrza wciągają się, rozdymają, robią rozmaite esy-floresy, okraszając nosowym przydźwiękiem każdą samogłoskę i każdą spółgłoskę” (W II, 130). Gdy noblista otrzymywał w Katowicach doktorat h. c. Uniwersytetu Śląskiego w roku 1993 byłem zdumiony jego iście cerkiewnym zaśpiewem, gdy czytał swoje wiersze. Umknęło mi tylko to, jaką rolę w tej melorecytacji odgrywał nos!

Myślę, że Mnemosyne Nadieźdy ma kilka obliczy. Najpierw jest to **znakomita** pamięć. Niechaj przykładem będzie fragment rozmowy Osipa z Anną Andriejewną: „Oboje są u mnie w pokojku, wąskim i długim. Ona stoi ple-

cami do okna, on drepcze obok, zapalając papierosa. Achmatowa mówi, że trzeba jechać, bo Punin (Nikołasza) ‘jej pokaże’. ‘Pani? Kto by się odważył!’ – śmieje się Mandelsztam... Achmatowa pochyla głowę w pokorze i mówi: ‘Jestem jak trusia...’. Mandelsztam zaśmiewa się i powtarza słowo ‘trusia’ z takim ‘r’, jakby rżała młoda nieujędziona klacz. Achmatowa nagle zaczyna prosić: ‘Niech mnie pan nie wyda, pan mnie znał wcześniej. Teraz jestem inna.’” (W II, 500). Czyż nie jest to zadziwiająca, jak sama mówi, „fotografia chwili”? Nadieźda w komentarzu do *Wiersza o nieznanym żołnierzu* zauważa: „Przekłeta **pamięć wzrokowa** – widzę, jak stoi [O.M.] przy stole i zapisuje ostatnie słowa...” (W II, 545; podkr. J.P.).

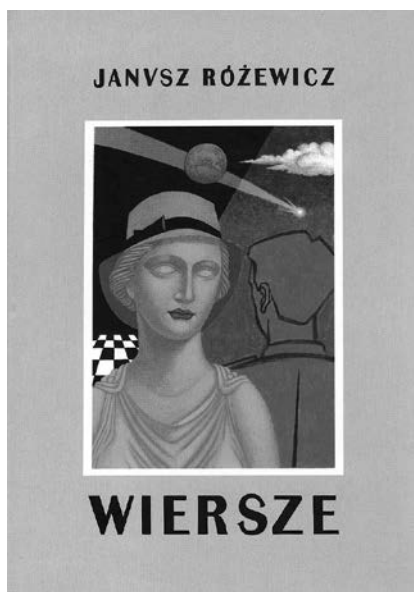
Inną twarz ma Mnemosyne, gdy bierze się pod uwagę stalinowski terror; strach ludzi, którzy byli stale podsłuchiwni i tropieni. Wtedy pojawia się **zabroniona** pamięć. Oto po spłodzeniu w Kokteblu wiersza „Nie jest pisane nam potomstwo” poeta „Nie pozwolił [jej] nauczyć się go na pamięć: ważny środek profilaktyczny przy współczesnych reżimach to nieobciążanie pamięci. Robi się tak na wszelki wypadek, żeby po znalezieniu się na Łubiance [...] nic nie wiedzieć i być jak niemowlę” (W II, 540). Trzecią figurą zjawiska mnemonicznego jest pamięć **zamazana**. Czasami autorka nie dostrzegła potrzeby „wykucia na blachę” danego tekstu: „Wiersze odtworzyć jest łatwiej niż prozę. Jeszcze za życia Mandelsztama zniszczyłam pierwszy rozdział *Czwartej prozy* i nie wpadłam na to, że trzeba się go nauczyć na pamięć (*Rozmowę o Dantem* pamiętałam całą). Teraz go już nie odtworzę. Pamiętam tylko dwa zdania: ‘Komu potrzebny ten socjalizm, zapackany...’ Potem następowały obelgi. I drugie: ‘Gdyby obywatele zaplanowali zbudować renesans, co by im wyszło? W najlepszym wypadku kawiarnia Renesans.’” (W II, 415–416).

Josif Brodski, który pisał o „przejrzystości i weredycznej surowości prozy Nadieźdy Mandelsztam” (W I, 9), odnotowuje niewiarygodną (dla nas dziś!) anegdotę z życia obu pań: „Pragnęła [żona poety] jedynie umrzeć we własnym łóżku i w jakimś sensie wyglądała śmierci, ponieważ ‘na tamtym świecie znowu będę z Osipem’. ‘Och nie – słysząc to, odparła Achmatowa. – Wszystko ci się pomyliło. Na tamtym świecie na mnie przyjdzie kolej być z Osipem.’” (W I, 13). Tak więc trójka bohaterów *Drugiej księgi* na zawsze będzie żyć w poetycko-filologicznym trójkącie (Nadieźda była lingwistką po obronie dysertacji doktorskiej, a niewiele brakowało, by wydano [nie językoznawczy, lecz] jej rozprawę habilitacyjną!).

Starszy brat

KSIĄŻKI

MARIAN KISIEL



Postać Janusza (1918–1944), starszego brata Tadeusza (1921–2014) i Stanisława (1924–2008) Różewiczów ponad ćwierć wieku temu z legendy rodzinnej przeszła do legendy literackiej. Janusz przez wiele lat uchodził za najstarszego syna Stefani i Władysława Różewiczów, kwerendy Marcina Marynicza przypominały jednak o dwóch innych, zmarłych niebawem po narodzeniu: dwumiesięcznym Bogumile Józefie (1915) i niespełna miesięcznym Eugeniuszu (1916). Z żyjących, Janusz był jednak najstarszy i od początku miał wielką nadzieję na pozostanie w literaturze. Napisał w dzienniku z roku 1937: „ja mam pretensje do literatury”!

W czasie wojny służył w wywiadzie AK. Aresztowany przez Gestapo, został stracony w listopadzie 1944 roku. „Widzę uśmiech/zdjęty z jego białej twarzy/pod murem. [...] Widzę/śmieszny posąg boleści/w przydeptanych pantoflach/przy kuchni/małą krzywą/figurkę/skamieniałej matki” – napisał dwa lata później Tadeusz Różewicz o pośmiertnej twarzy brata i zastępnicy domowej Piety. Za jego też sprawą – i w opracowaniu – ukazał się tom *Nasz starszy brat* (1992), będący wielopiętrową kompozycją wierszy, opowiadań, dzienników i listów Janusza, wierszy i małych próz Tadeusza, a także wspomnień o Januszu – braci Tadeusza i Stanisława, przyjaciela z gimnazjum Edmunda Gehringa oraz koleżanek z AK – Haliny Kłęb-Szwarcowej i Marii Śpiewakowej. Owa książka wspomnieniowa pokazała nowe możliwości współczesnego, sylwicznego „requiem”, powtórnego niebawem w „szarym trenie” *Matka odchodzi* (1999).

W nocy redakcyjnej do *Naszego starszego brata* Jan Stolarczyk napisał: „Pozostało kilkadziesiąt wierszy, kilka opowiadań, dzienniki. Ta ocalona garść utworów świadczy, kim mógłby być. Mówi o niespełnieniu. A młodzieniec miał siłę charakteru i zadatki na pisarza”. Trafne zdania! O „sile” i „zadatkach” Janusza Różewicza świadczyć może choćby odpowiedź Ludwikowi Frydemu, który zarzucał

początkującemu poecie „dość blahy impresjonizm” i „czechowiczynę” (1938). Pisał w liście do Frydego: „Nie chcę być naśladowcą Czechowicza. Nie chcę być »detalistą awangardy«. Zawsze swoje »obrazki liryczne« [...] uważam tylko za szkołę, za laboratorium doświadczeń. Tu uczę się »chwytów«, nabieram biegłości w pracy, tutaj uczę się techniki, ważę, badam, zestawiam słowa, przyglądam się zestawieniom, efektom. Traktuję te wiersze tak jak malarz swój szkicownik. Nie można dobrze malować, jeżeli się nie umie »zagruntować« płótna. Uczę się przygotowywać »farby« i »płótno»”.

Czy wzięł sobie do serca radę Józefa Czechowicza, z którym również korespondował (1937): „Mój Boże, nigdy nie twierdziłem, że należy pisać tak jak ja. Należy pisać według wewnętrznej muzyki, która nie jest niczym innym jak poruszeniem wyobraźni i wiedzy, uczucia i dna, słowem – natchnieniem, związanym z tym, kto jest natchniony. Jeśli jest to stan mizernego osobnika, jakiejś niedojedności, to muzyka wyjdzie jak musza kapela”...

Zapewne – wzięł, skoro „wewnętrzną muzykę” przedłożył nad „dojrzałość” formy. Wręczając bratu Tadeuszowi w prezencie imiennym tomik *Wierszy wybranych* (1938) Leopolda Staffa („do użytku szkolnego przygotował autor”), napisał mu w dedykacji (1941): „Dając Ci dziś Staffa, chcę Ci powiedzieć, że nie życzę być takim jak on poeta – dlaczego? Nie lubię »dojrzałości«! Staffowi brakło młodzieńczej »nierozwagi« Słowackiego, Schillera, Rimbauda – dlatego jest wielki, ale nie nieśmiertelny – a nieśmiertelność jest dopiero poezją”.

Ba! „nieśmiertelność”... Czy ktoś jeszcze w tych wymiarach myśli o sztuce poezji?

Dwanaście lat po pierwszym wydaniu – powiększony o trzy nieznanne zdjęcia, wiersz Tadeusza *Fotografia*, wspomnienie Feliksa Przyłubskiego (nauczyciela Janusza) i nieznaną z imienia łączniczki AK – *Nasz starszy brat* został ponownie opublikowany, tym razem

jak dwunasty tom *Utworów zebranych* Tadeusza Różewicza (z informacją: „opracował”). W tej edycji sąsiaduje z tomem *Matka odchodzi*, opatrzonym numerem jedenastym. Tak oto wyraził się zamysł kompozycyjny dzieła: Matka i Syn spoczęli obok siebie w ocieplającym wspomnieniu Tadeusza (Syna i Brata).

I oto trzecia odsłona pamięci o Januszu Różewicz: *Wiersze/Poems/Gedichte*, tom złożony z samych tylko liryków „starszego brata”, tym razem jednak bez udziału rodziny. Autorka wstępu do książki, strażniczka pamięci o Tadeuszu Różewicz, Maria Dębicz, przypominała, że po publikacji w Verlag Karl Stutz (Passau) niemieckiego przekładu *Matka odchodzi*, Tadeusz pragnął wydać tutaj również książkę o Januszu, niestety śmierć wydawcy przeszkodziła temu dziełu. Mam przed sobą *Mutter geht* (2009). Troje tłumaczy zmierzyło się ze słowem rodzinnym: Stefanię przełożyła Jolanta Doschek, poezję Tadeusza – Alois Voldan, jego prozę oraz wszystko inne (Janusza i Stanisława) Bernhard Hartmann. Miało być podobnie w wypadku *Naszego starszego brata*. Nie udało się, więc (na razie) niemieckozna straciła ważną możliwość poznania mocnych więzi Różewicza z jego rodziną. Ale uda się to odbudować.

Ratując część z wcześniej wykonanej pracy, wykorzystano przekłady Aloisa Voldana, który poezji Janusza Różewicza poświęcił wielką uwagę, dołączono przekłady wierszy Janusza zrobione przez Barbarę Bogoczek i Tony’ego Howarda i – ryzyko edytorów! – przedstawiono w osobnym tomie autorskim. To potrójne, w trzech językach – polskim, angielskim i niemieckim – wydanie nie jest tylko okolicznościową publikacją. Ma swój większy cel. Maria Dębicz pisze o swoim zobowiązaniu do Tadeusza, ale pewnie wiąże się z tym inna idea, której Różewicz był wielkim wyznawcą: niemarnowania pracy.

Alois Voldan jest wybitnym literaturoznawcą i tłumaczem, o tłumaczach z angielskiego wiem mniej. Ta recenzja nie jest jednak oceną ich pracy, raczej próbą oddania honoru trudu, który podjęli, aby – jak to wyraziła Maria Dębicz – „choć w części spełnić Jego pragnienie”. „Jego”, czyli Tadeusza Różewicza, pragnącego żeby pamięć o mentorze swoich pierwszych kroków nie umarła. Skromność Różewicza (Różewiczów) każe nam tu odrzucić jakieś daleko idące supozycje. To było – po prostu – pragnienie kochającego brata.

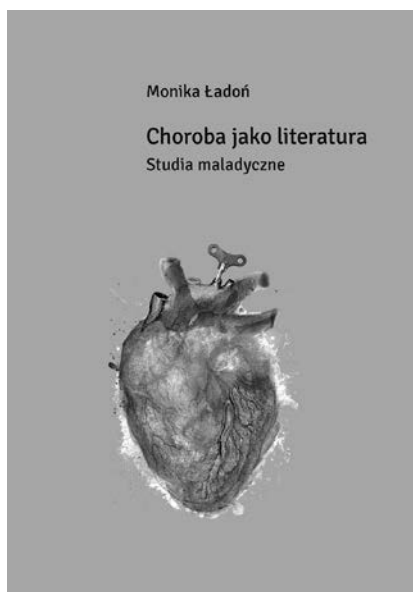
Czytając *Wiersze/Poems/Gedichte* Tadeusza Różewicz, perfekcjonista formy edytorskiej, choć z rozbijającym uśmiechem wybaczący niezdarne edycje, zapewne by się skrzywił. Wdzięczny za podjęty trud, potrafiłby długi czas rozmawiać o bracie, ciekawilby go trud tłumacza. Lubił wpatrywać się w twarze, zawsze go ciekawiły. Zapewne zdziwiły się, że Poeta Janusz Różewicz, zamiast na pierwszej stronie okładki znalazł się na ostatniej. Też się dziwię. ■

Janusz Różewicz: *Wiersze/Poems/Gedichte*. Przeł. Alois Voldan, Barbara Bogoczek, Tony Howard. [bmw]. Radomsko 2018, 116 s,

Przyjemność choroby

KSIĄŻKI

GAWEŁ JANIK



Choć jak pisze we wstępie do swojej książki Monika Ładoń, „powszechność doświadczenia choroby czyni ją jednym z centralnych problemów humanistyki” (s. 49), to badania nad doświadczeniem choroby na tym gruncie rozpoczęły się stosunkowo niedawno. Monografia *Choroba jako literatura. Studia maladyczne* jest odpowiedzią na potrzebę zbadania literackich reprezentacji choroby, sposobów jej przedstawiania, a także strategii pisarskich oraz dyskursów używanych w celu jej opisanie. Tym samym jest pozycją wyjątkowo istotną dla kształtujących się dopiero polskich studiów maladycznych, a więc badań nad kulturowym wymiarem chorowania.

Wyraźny punkt odniesienia dla rozważań badaczki stanowi esej Susan Sonntag *Choroba jako metafora*. I choć Ładoń wielokrotnie polemizuje z tezami Amerykanki, to inspiracje tekstem widoczne są już w tytule omawianej tu książki. Wśród innych ważnych dla autorki badaczy wymienić należy ponadto Emila Ciorana, Hansa-Georga Gadamera, Catherine Malabou oraz Julię Kristevą.

Monografia koncentruje się wokół trzech chorób – gruźlicy, nowotworów oraz zawału. Analizowane przez Ładoń teksty to w dużej mierze zapiski o charakterze autobiograficznym. Znajdują się wśród nich zarówno teksty uznawane za klasyczne, jak i te mniej znane szerszej publiczności, a badaczka nie ogranicza się wyłącznie do literatury polskiej.

Schorzeniem otwierającym chorobową triadę opisywaną w książce jest gruźlica. Monika Ładoń wskazuje, że „W panteonie kulturowych obrazów chorób gruźlica zajmuje miejsce szczególne jako to schorzenie, które doczekało się najwyraźniejszej estetyzacji” (s. 86). Część tę rozpoczyna szkic, w którym autorka omawia powieść Tomasza Manna

Czarodziejska góra. Badaczka zauważa, że w sanatoryjnej przestrzeni książki odbywają się niekończące się „bachalia”. Chorzy na gruźlicę pacjenci nieustannie się obżerają, co ma być częścią ich leczenia. Skupienie uwagi na posiłkach i wzmocnionym apetycie gruźlików ma, zdaniem Ładoń, służyć odwróceniu uwagi od trwającej ich choroby. Pacjenci konsumują, a jednocześnie sami są konsumowani.

Związki choroby i jedzenia kontynuowane są w rozdziale drugim poświęconym dziennikom oraz listom Franza Kafki. Życie chorującego na gruźlicę pisarza było w dużej mierze podporządkowane właśnie jedzeniu. W przeciwieństwie jednak do bohaterów powieści Manna, dla Kafki „jedzenie jest [...] męką, a nie przyjemnością” (s. 60). W jego życiu toczy się nieustanna gra „w zjedanie i bycie zjadanym” (s. 65), której towarzyszą dźwięki kaszlu, bulgotania, chrząkania czy siorbania, nazywane przez badaczkę „somatyczną muzyką” oraz „wewnętrzna pieśń gruźlicy” (s. 62).

Rozdziały trzeci i czwarty koncentrują się wokół postaci szkockiego poety Williama Soutara. Ładoń przybliży polskiemu czytelnikowi jak dotąd bardzo słabo znany „dziennik umierania” Soutara, będący zapisem zmagania młodego mężczyzny z gruźlicą. Wieloletnia choroba oswaja poetę z wizją śmierci, a oś wokół której skupia się jego życie, stanowi praca twórcza. Monika Ładoń zauważa, że „Ograniczenie życiowej aktywności do pisania sprzyja [...] postanowieniu Soutara, by oszczędzać energię. Cała »praca«, to praca umysłu, więc przymus leżenia w łóżku można traktować jako okoliczność opatrnościową” (s. 71). I tym razem gruźliczą narrację przepełniają opisy jedzenia. Inaczej jednak niż u Kafki, spożywanie posiłków nie

wiąże się ze wstydem i krępcą, a jest to „ostatnia dostępna przestrzeń przyjemności” (s. 71).

Badaczka decyduje się na dokonanie interesującego zestawienia, bowiem autobiograficzne zapiski Soutara konfrontuje z postacią literacką – Lucjanem Salisem, bohaterem powieści *Wspólny pokój* Zbigniewa Uniłowskiego. Ładoń porównuje dwie narracje, które „mimo powierzchownych różnic [...] w wielu miejscach się przecinają, w innych sprawiają wrażenie, jakby stanowiły awers i rewers tej samej gruźliczej opowieści. W obu przypadkach mamy do czynienia z umierającym na gruźlicę młodym mężczyzną, który swą aktywność łączy z literaturą” (s. 75).

Część poświęconą gruźlicy zamyka rozdział dotyczący książki Edmunda White’a *Hotel de Dream*. Autor głównym bohaterem swojej powieści szkatułkowej czyni amerykańskiego pisarza Stephena Crane’a. Opisując go, posługuje się typowymi dla przedstawienia gruźlicy metaforami – wykorzystuje cały dostępny „kulturowy szafaż choroby”, by wpisać postać pisarza w swoją „mitologię gruźlicy”. Warto jednak zaznaczyć, iż zdaniem Ładoń, „Staroświecką gruźlicę [...] można czytać jako rewers współczesności, w której miejsce [...] [gruźlicy – G.J.] zajęło przede wszystkim AIDS, [...] choroba wybrańców” (s. 95-96).

Kolejna część monografii poświęcona jest drugiej z chorób składających się na opisywaną przez badaczkę triadę gruźlica – nowotwór – zawał. W pierwszym szkicu Ładoń podejmuje się lektury zapisków chorobowych Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej. Badaczka kroczy wraz z poetką drogą ku niechybnej śmierci, doświadcza wraz z nią postępującej choroby, śledzi zmiany w prowadzeniu chorobowej narracji. Postawa Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej od samego początku ufundowana jest na na błędnym przeświadczeniu o tym, że w pełni władą ona swoim ciałem. Poetka zapomina o jego autonomii. Jak pisze Ładoń: „Pod podszewką katalogu toalet drzemie przekonanie o tym, że piękne i pielęgnowane ciało nie może być tym samym ciałem, przez które kobieta czuje się zdradzoną” (s. 103). Początkowo mamy bowiem do czynienia z lekceważeniem i bagatelizowaniem niepokojących symptomów, bo przecież takie już jest „babskie zdrowie” – kapryśne i wymagające. Nawet będąc w szpitalu, poetka „zasłania cierpiące ciało toaletowymi-parawanami” (s. 105). Siła diariusza w dużej mierze wynika z porażającego kontrastu między kreślonym na początku „dziennikowym salonem mody” (s. 106), a jego końcowymi fragmentami, w których autorka przekracza tabu, zmywa makijaż i wprowadza czytelnika w odarty z intymności i wstydu świat choroby nowotworowej.

Choroba nowotworowa stanowi także nadrzędny temat *Dziennika* Anny Kowalskiej, której diaryistyczne zapiski są dowodem na to, że pisarka „stanęła [...] po stronie werbalizacji doświadczania choroby, a nie jej przemilczenia, wyrażając przekonanie [...] o kojącej mocy tekstu” (s. 114). Proces pisania okazuje się dla Kowalskiej niezwykle ważny – postępująca choroba staje się czynnikiem napędzającym do pracy twórczej, a opisywanie zmagania z nią prowadzi do jej stopniowego oswojenia. Jak zauważa bowiem Ładoń: „Panowanie nad piórem, władza nad kartką papieru dawały [...] namiastkę władzy nad swoim losem” (s. 114).

Ostatni z rozdziałów tej części traktuje o książce Krystyny Kofty *Lewa, wspomnienie prawej. Z dziennika*, będącej niezwykle dokładnym i skrupulatnie prowadzonym zapisem choroby nowotworowej, mastektomii oraz chemioterapii. Jak podkreśla badaczka, w przypadku Kofty „trudno [...] oddzielić [...] pisanie od choroby” (s. 127). Z *Dziennika* pisarki, którego prowadzenie pełni także funkcję autoterapeutyczną, wyłania się wyraźny podział na czas przed-rakiem oraz na czas choroby – „Rytm pisania i aktywność pozwoliły pisarce złapać życie (ale i chorobę) na gorącym uczynku” (s. 138).

Trzecia część monografii koncentruje się wokół tematyki zawału. Badaczka zwraca uwagę na dwa sposoby opisu serca w literaturze – używając nomenklatury medycznej lub odwołując się do sfery emocjonalnej. Dyskursy te, choć tak od siebie różne, często łączą się ze sobą na łamach literatury. Badaczka, powołując się na Susan Sontag, podkreśla, że zawał, w przeciwieństwie do gruźlicy oraz raka, nie jest czymś wstydliwym, to „awaria mechaniczna”. Jak pisze Ładoń: „Zawał serca, jako odroczone wyrok, staje się chorobą o interesującym potencjalnie znaczeniowym – wpuszcza w nawias śmierć, zbliża się do niej, wystawia podmiot na próbę, skazuje na nieustającą gotowość i zmusza do przedefiniowania tożsamości w tych nowych ramach” (s. 143).

Pierwszy z rozdziałów tej części pracy dotyczy „zawałowych esejów” Jana Kotta, w których do opisu ataku serca używa on języka fachowego i beznamiętnego. Duży wpływ ma na to fakt, iż, jak podkreśla autor, po zawale człowiekiem i jego ciałem włada aparatura, której trzeba się w pełni podporządkować. Kott wychodzi z założenia, że język nie jest w stanie opisać ani wyrazić bólu. Podobnie jak w przypadku nowotworowej narracji Krystyny Kofty, tak i w tym przypadku choroba staje się ważną cezurą, która wyznacza życie „przed” i „po”.

W dwóch kolejnych rozdziałach Ładoń analizuje *Zawał* oraz *Listy do Eumenid* Mirona Białoszewskiego opisujące dwa ataki serca, które przeszedł pisarz. Teksty te składają się na swoisty „pamiętnik z pólgrubu” (określenie Stanisława

Rośka). Wybór twórcy *Pamiętnika z powstania warszawskiego* nie jest przypadkowy, bowiem, jak zauważa badaczka, „choroba jest jednym z podstawowych motywów twórczości Białoszewskiego, a z czasem stanie się właściwie motywem nadrzędnym” (s. 159). O ile w przypadku pierwszego z wymienionych tekstów mamy do czynienia z opisem pobytu w szpitalu i powrotu do zdrowia, o tyle *Listy do Eumenid* skupione wokół drugiego zawału Białoszewskiego są malarzycznym świadectwem, które „pisze skazaniec, a nie ozdrowieniec” (s. 187).

Monografię zamyka część zatytułowana *Zdrowie czy choroba? Na marginesach klasyfikacji chorób*, w której autorka zawarła cztery rozdziały tematyzujące choroby nie mieszczące się w głównej triadzie: gruźlica – nowotwór – zawał.

Na bohaterkę dwóch pierwszych szkiców badaczka wybiera Marię Dąbrowską. Ładoń, na podstawie *Dzienników* oraz korespondencji pisarki z Jerzym Stempowskim, kreśli portret autorki *Nocy i dni* w ostatnich latach jej życia. Badaczka podejmuje się „próby rozczytania balansowania Dąbrowskiej między zdrowiem a chorobą” (s. 193), oraz zastanawia się, jak problemy zdrowotne przekładały się na pracę twórczą Dąbrowskiej. Okazuje się bowiem, że trapiące prozatkę dolegliwości somatyczne słyły w parze z kryzysem twórczym. Przyjmowane w bardzo dużych ilościach leki odbierały Dąbrowskiej jasność myślenia, nie pozwalały się skupić, sprawiały, że czynione przez nią zapiski sama pisarka oceniała jako grafomańskie. Jak wskazuje Ładoń, „pismo kliniczne” Dąbrowskiej naznaczone jest wewnętrzną ambiwalencją – autorka „miota się między wiarą w medycynę a odrzuceniem farmakologii, [...] między heroizmem a załamaniem” (s. 223).

Choroba ma także bezpośredni wpływ na działalność twórczą Jerzego Pilcha, dla którego „pisanie staje się wyzwaniem natury fizycznej” (s. 229). Zmagania autora z chorobą neurologiczną znalazły wyraz na kartach jego wydanego w 2012 roku *Dziennika* a także dwa lata późniejszego *Drugiego dziennika*. W przypadku pisarstwa Pilcha choroba staje się tematem dla literatury, zaś literatura pozwala zmierzyć się z chorobowym chaosem związanym ze schorzeniem neurologicznym. Autor racjonalizuje swoją chorobę, jednocześnie podważając terapeutyczną moc pisania o niej.

Zupełnie inaczej rzecz ma się w przypadku *Miłości z kamienia* Grażyny Jagielskiej, żony korespondenta wojennego Wojciecha Jagielskiego. W tym przypadku opowiadanie własnej traumy stanowi ważną część terapii narratorki/autorki. Mąż pisarki jawi się na kartach jej wyraźnie autobiograficznej powieści jako sprawca choroby. To przez niego Jagielska „zaraża” się wojną. Ładoń związek

tych dwojga nazywa „relacją pasożytniczą” (s. 243) oraz podkreśla, że „niezdrowa w gruncie rzeczy jedność, wykoncypana symbioza dwóch niezależnych osób skończyć się musi porażką tej słabszej” (s. 252). Również sama Jagielska przyczynia się do pogorszenia się jej stanu psychicznego – zaczyna wyjeżdżać na wojny wraz z mężem, chcąc w ten sposób „oswoić wroga”. Obraz wojny, który do tej pory funkcjonował tylko w sferze wyobraźniowej, nabiera realnych kształtów, co tylko potęguje strach o życie męża. Ładoń, używając bardzo obrazowej, a zarazem medycznej metafory zauważa, że „udział w zawodowym życiu męża przypomina szczypanie z żywym drobnoustrojem czy leczenie trucizną” (s. 244).

Nie ulega wątpliwości, że książkę Moniki Ładoń uznać należy za niezwykle istotną dla badań nad literackim doświadczeniem choroby. Oczywiście nie jest tak, iżby *Choroba jako literatura* wyczerpywała poruszany temat. Nie takie było zresztą założenie autorki, a każda próba stworzenia monografii ujmującej tak obszerny problem w sposób przekrojowy musiałaby zakończyć się fiaskiem. Jedynym aspektem, który może budzić wątpliwość, jest powiązanie poszczególnych chorób z płcią. Zarówno część poświęcona gruźlicy, jak i każdy z rozdziałów dotyczących zawału został oparty na podstawie narracji męskich, zaś wszystkie szkice podejmujące tematykę raka dotyczą nowotworów kobiecych. I choć zdaniem badaczki, „nie można radykalnie różnicować chorowania kobiecego i męskiego” (s. 28), to dokonany przez nią dobór tekstów sugerować może coś zgoła innego.

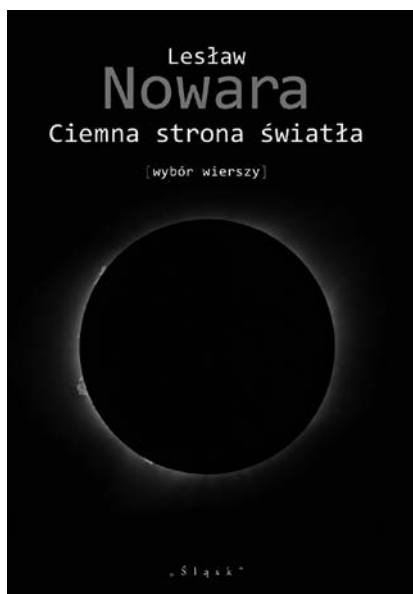
Podkreślić należy jednak z całą stanowczością, że publikacja Moniki Ładoń jest książką ważną oraz świetnie napisaną. Na uznanie zasługuje umiejętne wykorzystanie przez autorkę metodologii z zakresu różnych dziedzin nauki, a także przejrzystość i klarowność wywodu oraz dobrze przemysłana struktura całej książki i następujących po sobie rozdziałów. Tym, co szczególnie jednak ujmuje w *Chorobie jako literaturze* jest lekkość, z jaką została ona napisana. Pomimo tego, że mamy przecież do czynienia z obszerną monografią naukową bazującą na niezwykle bogatej bibliografii i poruszającej tematy niezwykle delikatne i trudne, to lektura książki sprawia prawdziwą przyjemność. Monika Ładoń ma bowiem rzadki dar łączenia stylu naukowego z literackim polotem. ■

Monika Ładoń: *Choroba jako literatura. Studia maladyczne. Stowarzyszenie Inicjatyw Wydawniczych/„Śląsk” Wydawnictwo Naukowe, Katowice 2019, 219 s.*

Wszystkie strony Nowary

KSIĄŻKI

MARCIN HAŁAŚ



Sławomir Matusz i Lesław Nowara – to dwaj najwybitniejsi poeci tworzący współcześnie na Śląsku. Oczywiście – ktoś może zarzucić, że sąd taki foruje za sprawą sentymentu do własnej młodości, w końcu obaj są mi niemal rówieśni. Lesław Nowara doczekał się wyboru wierszy w wieku 56 lat – czyli dość późno, a nawet bardzo późno, przynajmniej jak na standardy z lat naszej młodości, czyli przedostatniej dekady XX wieku. Wybór wierszy niezbyt obszerny – książka liczy 148 stron; w dodatku ułożony niechronologicznie, więc jeżeli ktoś twórczości Nowary nie zna, nie zobaczy jak poeta ten się rozwijał (i „związał”), jakimi drogami języka i dykcji peregrynował przez 33 lata swojej twórczości – od czasu arkusza *Suknia z papieru i brązu* (1987).

Najlepsze, najbardziej wartościowe wiersze Nowara pisał u początku swej twórczości. Zebrał je w tomiku *Dom o zielonych oknach*, wcześniej zapowiadając w debiutanckim arkuszu. Być może znów ktoś powie, że taka ocena wynika z moich sentymentów, niemniej warto zwrócić uwagę, że nikt chyba w taki sposób nie ujął współistnienia dwóch kultur i żywiołów, jakiego ta ziemia doświadczyła po 1945 roku: „Czemu cię mamó Bóg Śląskiem pokarał,/czemu ze Śląska do ciebie przyszedł,/w mundurze ze skórzanym pasem,/z tatuażem na lewym przedramieniu?/(...) I jak się tu mamó pojednać ze Śląskiem,/który z okien podzięrał morelowy sad,/posłał po ciebie węglowe wagony,/ułożył cię na podłodze do snu,/poduszkę kładąc pod głowę/jak worek z piaskiem?”

Niektóre wiersze Nowary kojarzą się z najlepszymi tekstami Pio-

tra Cieleśza z *Ikon rodzinnych*, w innych gliwicki twórca niejako „streszcza” esej *Dwa miasta* swego krajana, tyle że od Adama Zagajewskiego jest o wiele bardziej zwięzły: „Ci których przywożono tu zaraz po wojnie/na samym początku liczyli na powrót,/później liczyli pieniądze na powrót,/aż w końcu przestali./Łatwo jest ich poznać gdy wychodzą z pracy/niosąc bardzo ciężkie i wypchane teczki/jakby przyjechali właśnie po długiej podróży./Zakupy robią zawsze z dwudniowym zapasem/jak się robi zwykle krótko przed wyjazdem./Domy gdzie mieszkają widać już z daleka/jak wagon kolejowy gotowy do drogi/z pasażerem wychylonym do połowy w oknie./Ten pociąg ma czterdzieści lat opóźnienia/ale może właśnie dzisiaj ruszy/i słońce zacznie się przetaczać powoli za oknem/chmury się przesuną i dym znad kominów,/aż dom z naprzeciwnika zniknie za zakrętem./Przez chwilę będzie pusto jak na karczowisku,/zanim zaczną odrastać ścięte dachy Lwowa”. I jeszcze bardziej lingwistyczny obraz tej sytuacji, wszak język to także (przede wszystkim) emanacja kultury: „Głos którym mówię/mową wiążaną trawą i lykiem/jest/jak tratwa z bali sosnowych/służąca przeprowie przez Dniestr/i porzucona w wiklinie nad Bugiem”. Nikt w dotąd w sposób taki jak Lesław Nowara nie pokazał opozycji, ale i zstania na linii Śląsk – Kresy. I zapewne nikt już tego nie uczyni, bo temat jest już przedmiotem zainteresowania co najwyżej antropologów kultury, a nie poetów.

Ale o linii spięcia Śląsk – Kresy w poezji Nowary pisałem już w przeszłości. Sam poeta w autorskim wyborze

tego wątku nie uwypukla, czyni go jednym z wielu. Bo równocześnie jest Lesław Nowara poetą wielodykcyjnym. Z jednej strony świadczy to skali literackiego talentu i słuchu, z drugiej każe się zastanowić, czy w pewnym momencie nie przyjął pozycji swego rodzaju poetyckiego Żeliga. Bo potrafi być postbrulionowy i postnowofalowy – na szczęście w obu dykcjach unika sztancy. Może stara się w ten sposób uciec od „poezji martwego języka”? W wierszu zatytułowanym *Poeci martwego języka* konstatuje: „Język, którym mówili, dziś się nie nadaje/do użycia w sklepie, zamówienia kawy,/do kupienia w kasie biletu do kina/przywitania z podróży wracającej ciotki”. A przecież przeczytamy w kolejnych liniijkach: „Język, którego używali co dzień,/tak jak się używa butów, grzebienia czy szczotki/przylegał do przedmiotów i się w nich odciskał,/zostawiając cechowce i probiercze znaki”. Wydaje się, że Nowara jest w ciągłym ruchu – poszukiwania języka jak najbardziej przylegającego do opisywanej rzeczywistości, takiego którym w danej chwili można najlepiej zobrazować i zmetaforyzować świat.

Najbliżej istoty poezji Nowara jest tam, kiedy nie używa języka jako „waty”, bawelny od owijania i wypychania treści. Tam, gdzie jest najbardziej prosty i bezpośredni. Wyłówmy z tomu wiersz *Pismo obrazkowe*: „Kobiet nie czyta się do poduszki/Nie rozbiera gramatycznie ani logicznie/Kobiety rozbiera się do naga//Kobiety pisane językiem/czyta się po kryjomu/pod kołdrą przy świetle latarki//(...) Kobiety są pisane mężczyzną/na skórze/po wewnętrznej stronie//Kobiety są mężczyznom pisane”.

Lesław Nowara jest poetą prostych, czytelnych obrazów. One sprzyjają precyzji, kiedy je kreśli wydaje się najbardziej wiarygodny literacko. Bez względu na to, czy będzie opowiadał o zmitologizowanych Kresach i realnym Śląsku, czy też o współczesnych miastach – Warszawie, Nowym Jorku. Warto odświeżyć sobie poezję Nowary, czytając jej wybór. Nagrodzeni zostaniemy tak świetnymi wierszami jak np. *Zamach* albo *Bęben* z pointą niejako metaforyzującą powołanie poety, ale i kondycję współczesnego człowieka: „jestem napięty jak bęben/moja skóra przy każdym uderzeniu wydaje głuchy dźwięk/jak afrykański bęben/nawołujący do modlitwy do tańca/do wojny”.

Lesław Nowara: Ciemna strona światła. Wybór wierszy. „Śląsk” Wydawnictwo Naukowe, Katowice 2019, 148 s.

Życie w enigmie

KSIĄŻKI



FELUNI EWA KURLUK



ANDRZEJ JUCHNIEWICZ

Feluni. *Apoteoza enigmy* Ewy Kuryluk to ostatnia część trylogii, którą poprzedzają dwa autobiograficzne tomy wydane w odstępnie pięciu lat (*Goldi. Apoteoza zwierzcakowatości* z 2004 roku i *Frascati. Apoteoza topografii* z 2009 roku), jednak ostatni akord opowieści o echach Zagłady, której cyklofreniczny rytm wyznaczała choroba matki artystki – Marii Kuryluk vel Miriam Kohany, jest najmocniejszy ze względu na możliwość opowiedzenia wszystkich szczegółów dotyczących życia klanu Kuryluków. Kluczowym zdarzeniem, które wpłynęło na tę decyzję, była śmierć głównego bohatera – Piotra (zasłabł na przystanku autobusowym na Pradze) 25 października 2004 roku. Dystans czasowy, który dzieli opowiadane wydarzenia od momentu zapisu („8 lipca 2018 roku, parę dni przed wyjazdem na wakacje nad »ciemnozielony Adriatyk« Kraba Kęпки, postanowiłam skończyć książkę” [s. 314]), pozwolił Kuryluk na wyjawienie intymnych sekretów i obnażenie prawdy o kondycji rodziny niszczonej przez jedną z ofiar Zagłady.

Najpoważniejszym zarzutem, jaki Kuryluk stawia opiekunom Piotra relegowanego do kolejnych zakładów psychiatrycznych (w tym do osławionych Branic i Tworek), jest zaniedbanie stanu zdrowia brata. W ostatnich latach życia wyrwano mu wszystkie zęby, przez co cierpiał na przewlekłą gorączkę; doskwierał mu także głód. Jego historia uzmysławia bezradność personelu kolejnych placówek, które pozostawiała pacjentów bez pomocy lub zmuszały rekonwalescentów do wyczerpującej pracy (*casus* Branic), a także pazerność opiekunów, poszukujących łatwego zarobku i żerujących na afekcie rodzin. Kuryluk nikogo nie oszczędza; bez skrupułów pisze o oplakanych warunkach w Tworkach i heroicznej postawie matki, która postanowiła regularnie odwiedzać syna i dokarmiać go. Matczyna miłość nie uchroniła jednak Piotra przed przemocą. W zakładzie pozostawiony samemu sobie stał się prawdopodobnie ofiarą gwałtu. To jedno z wielu upo-

korzeń, z którymi musiała się zmierzyć także siostra – uznana i szanowana artystka, a także pośrednia ofiara nieprzystosowanego systemu zakładów i poradni psychiatrycznych w PRL-u. Jej największym sukcesem, jak wyjawiała w wywiadzie udzielonym Agacie Szwedowicz, było sprowadzenie brata na Frascati i otoczenie go opieką. *Feluni* jest więc opowieścią o woli walki o najbliższych nawet za cenę utraty niezależności i komfortu (*casus* Ewy) oraz zmagania się ze słabością własnego organizmu i poznawania życia pensjonariuszy od kulis (*casus* Marii).

Jednak *Feluni* to także opowieść o splocie uniwersum obozowego i psychiatrycznego, co poświadczają frazy podkreślające analogię między doświadczeniem osadzenia w obozie i szpitalu: „Raz napisała na maszynie: KTO OPISZE CIERPIENIE MOJEGO DZIECKA W ERZE PO T4” (s. 211). W *Felunim* można znaleźć więcej metonimii Zagłady: „Obok *Narrentum* nie dymi komin krematorium” (s. 199), „Sfotografowałam twarz, jak trupa w obozie, i biedne zmaltretowane stopy wystające spod kusej koldry” (s. 292). W *Felunim* Kuryluk mierzy się z nazistowską spuścizną pod postacią przerażających warunków i miejsc odosobnienia, w których podczas wojny dokonywano eksterminacji chorych psychicznie. W jednej z nich osadzony był brat, którego uwolnienie dokładnie relacjonuje. Jak sama przyznaje dziedzictwo nazistów procentowało w zakładach zamkniętych, gdzie upokarzani pacjenci stosowali wobec siebie przemoc fizyczną; najsłabszych można określić terminem Agambena *homo sacer*.

Splecenie wątków Zagłady i choroby psychicznej podyktowane jest podobnymi regułami, wśród których naczelną była zasada wykluczenia. Co ważne: w akcji T4 najczęściej brał udział późniejszy personel obozów zagłady (*casus* Franza Stangla – komendanta obozu w Treblince). Zarówno zabijanie chorych psychicznie, jak i Żydów, mimo że nagłośnione i podane do wiadomości publicznej, zostało usankcjonowane przez nazistowskich bonzów. Kontekst T4 po-

jawia się za każdym razem, gdy Maria uświadamia sobie, że gdyby jej syn urodził się podczas wojny, podzieliłby los innych chorych psychicznie. Połączenie opowieści o Zagładzie i narracji o chorych psychicznie motywowane jest wskazaniem grup pozbawionych praw i niemych z perspektywy sprawców (nikt nie miał prawa wyjawić tego, co działo się za drutami obozów i murami szpitali psychiatrycznych).

Poza tym w *Felunim* silnie wybrzmiewa krytyka sposobów leczenia psychozy matki Kuryluk. Być może za stan Piotra odpowiadała terapia elektrowstrząsami, której poddana została jego matka. Kolejną przyczyną stanu zdrowia Piotra mogło być obciążenie genetyczne (Agnieszka – jedna z sióstr Kuryluk – doznała wojennego szoku i do końca życia skazana była na tułaczkę po zakładach psychiatrycznych).

Choroba Piotra była więc z jednej strony podsycona lękami matki, z drugiej zaś jej pierwsze objawy pojawiły się w momencie śmierci ojca. Mogły być one wzmocnione przez silny stres związany z koniecznością przetransportowania zwłok ojca do Polski z Budapesztu (to właśnie Piotr został obarczony tym obowiązkiem, ponieważ Ewa przebywała w piwnicznej pracowni ceramiki ASP). Można więc wyszczególnić dwa źródła zapaści zdrowotnej brata Kuryluk, przy czym niebagatelny wpływ na jego kondycję miały stany maniackalne matki.

Opowieść o Marii Kuryluk, która wierzyła w muzyczne zdolności syna i określała go mianem *Wunderkind*, przyjmuje formę nostalgicznego rozpamiętywania. Jego źródła upatrywać należy w świadomości autorki o ciężącym na niej obowiązku kronikarskim, dlatego portrety ojca i matki kreślone są z czułością, mimo że każde z nich hołdowało zasadom, które w sposób szczególny odbijały się na kondycji całej rodziny. Ewa, mimo że utalentowana plastycznie, nie mogła równać się z genialnym Piotrem. Matka dezawuowała jej talent i faworyzowała syna. Jej poświęcenie dla sprawy nie licuje z terroryzowaniem rodziny wspomnieniami wojennymi i transmisją traumy. Opieka nad matką, o której donosi Kuryluk, wymagała uśpienia poczucia gorszości, które zaszczerpiła w niej matka. Ostatni tom jest rozliczeniem z przeszłością, jednak próżno poszukiwać w nim tonu oskarżycielskiego, mimo postawy matki, którą porównać można do innej ocalałej – Renaty Szwarz-Tulli, matki Magdaleny.

W *Felunim* Kuryluk oddaje głos ukochanym rodzicom, bratu, Zofii Bielińskiej, wspomina zabitych członków rodziny (m.in. Paulinę Kohany – matkę Miriam, którą zabiło w Treblince w 1942 roku), a także ujawnia tymczasowy trójkąt, w którym żyła jej matka. To właśnie Karol sprowadził jej pierwszego męża – Tedyego Gleicha (rannego najprawdopodobniej w wyniku pogromu kieleckiego) do Krakowa i pochował na Cmentarzu Rakowickim. Tak oto w historii o upadku rodu znalazło się miejsce również na miłość. W przypadku Kuryluków była to miłość trudna i dozgonna. ■

Ewa Kuryluk: *Feluni. Apoteoza enigmy*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2019, 350 s.

Dzieci i ryby głosu nie mają

KSIĄŻKI



KAROLINA WYCIŚLIK

„Gdy się mieszka w jednym pokoju z braćmi, a bracia są w dodatku więksi, nigdy nie można o niczym samej postanowić” – słowa wypowiedziane przez siedmioletnią Lisę, bohaterkę *Dzieci z Bullerbyn*, w mniemaniu siedmioletniej dziewczynki są poważnym problemem. Jej cudownie bez troski dzieciństwa, przeżywanego w atmosferze miłości, wolności i dziecięcej radości, tak naprawdę starsi bracia nie psują wcale. Lasse i Bosse oraz ich rówieśnik Olle, których mieszkanka Zagrody Środkowej i jej przyjaciółki czasami postrzegają jako prawdziwą udrękę, w rzeczywistości są najlepszymi towarzyszami dziecięcych zabaw.

Wydaje się, że Łukasza Pilipa, autora reportażu *Podwórko bez trzepaka*, z Astrid Lindgren, jedną z bardziej zaangażowanych w swoim czasie autorek w sprawę dzieci pozbawionych poczucia bezpieczeństwa, łączy wiele. Debiut literacki „wschodzącej gwiazdy polskiego reportażu” (tak się o nim pisze) jest wołaniem o prawa maluczkich – dzieci wykluczonych, spychanych na margines życia społecznego, pozostających w cieniu, o których lepiej czasami zapomnieć, żeby nie mieć moralnego kaca. Książka przybliży historię dzieci, których dzieciństwo z jakiegoś powodu pozbawione było bez troski typowej dla kolegów z podwórka: choroba rodziców lub dziecka, problemy z prawem, dysfunkcyjna rodzina, sukces czy duża rozpoznawalność, a nawet wielomiesięczny rejs po morzach i oceanach Ziemi na pływającym domu – Wyspie (nie zawsze) Szczęśliwych Dzieci... Powodów jest wiele. Pilip pokazuje, jak różnie może być przeżywane dzieciństwo, i że nie zawsze szczęście w rozumieniu rodzica jest szczęściem dla dziecka.

Opowieść ta przekona czytelnika, że kiedy dzieciom odda się głos – pozwoli, żeby podzieliły się sobą, pokaże się im, że to, co noszą w sobie, jest naprawdę ważne – najmłodszy przemówią. Bohaterowie tych historii dzielą się swo-

im życiem, doświadczeniami niejednokrotnie obcymi „dojrzałym” osobom, mówią o emocjach, które na co dzień tłamszą w sobie. Jest to książka niezwykle szczerą. Autor stara się nawiązać głębszą relację ze swymi rozmówcami, zaprzyjaźnia się z nimi, przede wszystkim jednak – słucha. Pilip pokazuje, że jego bohaterowie mają wiele do powiedzenia, i przekonuje, że prowadzenie dyskusji (czy społecznie, czy indywidualnie) o dzieciach bez dzieci jest absurdalne. Książka ta świadczy o dużej empatii jej autora, który – wchodząc w polemikę z powszechnym przekonaniem o szczęśliwości dzieciństwa – pokazuje jego ciemniejszą, tak często niestety prawdziwszą stronę. Odwracanie wzroku nie jest rozwiązaniem – zdaje się mówić czytelnikowi.

Poruszają wypowiedzi nastolatków, którzy z żalem przyznają, że ich rodzice nigdy nie rozmawiali z nimi o seksie, bo temat był niewygodny. Młodzi radzili więc sobie, jak umieli, szukając informacji, gdzie popadnie. Niewinne podpytywanie kolegów kończyło się zwykle uleganiem wpływom grupy rówieśniczej, zbyt wczesną inicjacją seksualną, nastoletnim rodzicielstwem czy uwikłaniem w pornografię. Wstrząsają też słowa Krystiana, szesnastolatka, który połowę życia spędził poza domem (ośrodki socjoterapii, wychowawcze, poprawczak), wynajmąco, że wielokrotnie jego wychowawcy znęcali się nad nim psychicznie i fizycznie. Chłopak długo pozostawał ofiarą, ponieważ jego głos był deprecjonowany. Reportaż porusza tematy aktualne, dotyczące wyzwań wychowawczych w XXI wieku, ale także obnaża chorobliwe mechanizmy funkcjonowania ośrodków pomocowych, których działania nie zawsze poprawiają sytuację małych i ich rodziców. Nie chodzi autorowi o wytykanie błędów, ale zwrócenie uwagi na zagrożenia i realne problemy, z jakimi zmagają się wychowawcy, rodzice, instytucje. Jak ważne i warte zastanowienia są słowa Maćka, dziś dwudziestosześcioletka, który

po latach lekceważących doświadczeń z różnymi ludźmi stwierdza: „Fakt, że jestem osobą autystyczną, nie odbiera mi umiejętności racjonalnego myślenia”.

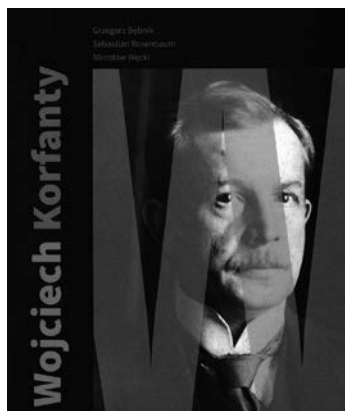
Warte zauważenia w reportażu są także postaci dorosłych. Matka młodocianego przestępcy mówi, że ich rodzina była zawsze normalna, „żadnej patologii”. Tomek, który wychowywał się wśród alkoholików, jako dorosły mężczyzna toczy walkę z instytucją, żeby nie opłacać pobytu schorowanych rodziców w DPS-ie. „Ich śmierć [rodziców – K.W.] na moich oczach nastąpiła z momentem, w którym moja psychika nie potrafiła ich już znieść. Nie przespałem tysięcy nocy przez awantury i pijaństwo” – napisał w liście do dyrektora MOPS-u. Poznajemy też historię małżeństwa pracującego jako zawodowa rodzina zastępcza, które m.in. na czas wyjazdu na zakupy zamykało swych wychowanków w psich kojach, w toalecie lub w piwnicy, znęcało się nad dziećmi psychicznie, biło je i głodziło. Milczały z powodu strachu.

Bezradność, która towarzyszy patrzeniu na krzywdy, rodzi nierzadko sprzeciw wobec organów pomocowych, prawnych, polityków. Ten reportaż nie pozostawia złudzeń, że dzieciństwo, które powinno być czasem przeżytym w poczuciu bezpieczeństwa i miłości, stanowi często arenę walki o godne życie, a w najlepszym wypadku o zdrowe emocje i psychikę. Autor podejmuje kwestie dotyczące społeczeństwa i państwa, funkcjonowania organów pomocowych i administracyjnych, ale pyta też czytelnika, dlaczego odwraca wzrok, kiedy widzi przemoc. W głowie rodzą się pytania o to, jakie warunki życia przygotowaliśmy naszym dzieciom i czy ich wchodzenie w dorosłość nie zostanie naznaczone dziecięcą traumą.

„Podwórko bez trzepaka” jest też dowodem na to, że słowo pisane ma wciąż dużą siłę oddziaływania. Pilip nie tylko opisuje – ma też realny wpływ na czyjeś życie. Opowieść o Maćku, którego koledzy nazywali „dzieckiem kalek”, poruszyła serca wielu. Po publikacji reportażu o życiu tego chłopca (jako trzynastolatek zapisał się na siłownię, żeby mieć siłę nosić chorą mamę) ruszyła lawina pomocy dla niego i jego żyjącego jeszcze taty. To pokazuje, że należy mówić światu o innych Maćkach, alarmować ośrodki pomocowe, zwracać uwagę politykom na luki w prawie, poruszać w debacie publicznej ważne tematy, zamiast zamiatać je pod dywan – ponieważ tylko w ten sposób mamy szansę na społecznie głębszą zmianę.

Ten reportaż jest niezwykle: pisarz siada na podłodze, gdzie jego wzrok i wzrok rozmówcy znajdują się na jednym poziomie. „To poziom szacunku między nami” – dzieli się Pilip. Więzi, jakie tworzą się między nim a bohaterami, są prawdziwe i szczerze. Autor przekonuje, że z dziećmi i nastolatkami trzeba rozmawiać i ich słuchać. On pracę tę wykonał pierwszorzędnie. ■

Łukasz Pilip: Podwórko bez trzepaka. Reportaże z dzieciństwa. Wydawnictwo Agora, Warszawa 2019, 328 s.



Grzegorz Bębniak, Sebastian Rosenbaum, Mirosław Węcki. *Wojciech Korfanty*. Wydawca: Instytut Pamięci Narodowej Oddział w Katowicach, Muzeum Śląskie w Katowicach. Katowice, 2019.



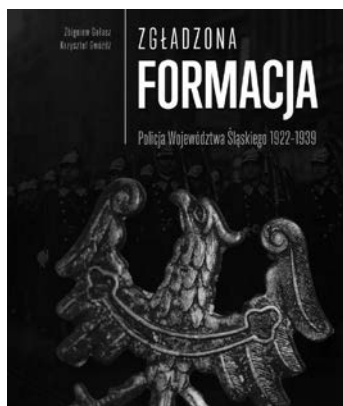
Agata Cichy. *Piolun*. Instytut Mikołowski im. Rafała Wojaczka. Mikołów 2019.



Piotr Florczyk. *Dwa tysiące słów*. Instytut Mikołowski im. Rafała Wojaczka. Mikołów 2019.



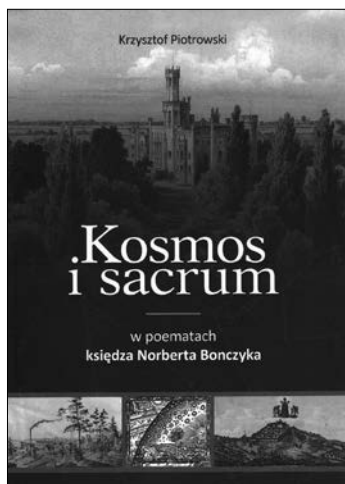
Bogusław Tracz. *Zachodźcie czerwone słoneczko. Wybory `89 w województwie katowickim*. Wydawca: Instytut Pamięci Narodowej Oddział w Katowicach, Muzeum w Gliwicach. Katowice - Gliwice, 2019.



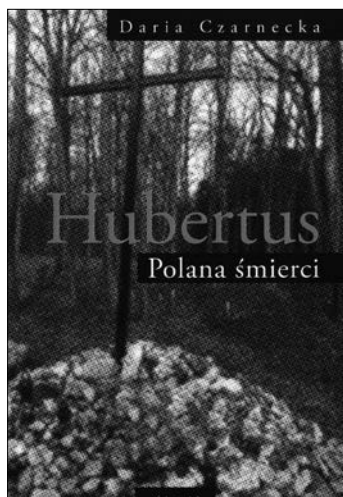
Zbigniew Gołasz, Krzysztof Gwóźdź. *Zgładzona formacja. Policja województwa śląskiego 1922 - 1939*. Wydawca: Instytut Pamięci Narodowej Oddział w Katowicach, Muzeum w Tarnowskich Górach. Katowice, 2019.



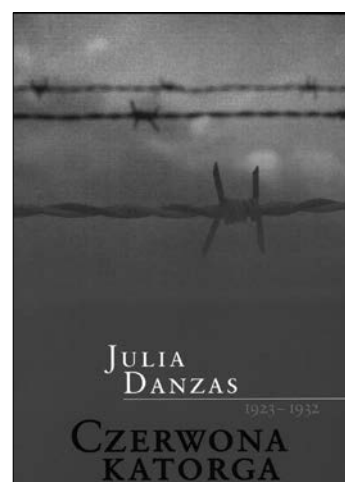
Beata Ziębińska. *Polityczne, społeczno-demograficzne i zdrowotne uwarunkowania opieki nad ludźmi starszymi*. Wydawnictwo Naukowe „Śląsk”, Katowice 2019.



Krzysztof Piotrowski. *Kosmos i sacrum w poematach księdza Norberta Bończyka*. Wydawca: PPHU Drukopol sp. j., Tarnowskie Góry 2019.



8. Daria Czarnecka. *Hubertus. Polana śmierci*. Wydawnictwo Naukowe „Śląsk”, Katowice 2019.



9. Julia Danzas. *1923-1932 Czerwona katorga*. Górnośląskie Towarzystwo Literackie; Wydawnictwo Naukowe „Śląsk”, Katowice 2018.

Malarstwo między jawą a snem

JULIA KEMPA



Jestem studentką 4 roku Akademii Sztuk Pięknych w Katowicach. Od najmłodszych lat pasjonuję się sztuką, a zwłaszcza malarstwem tradycyjnym. W swojej twórczości kładę szczególny nacisk na warsztat, ale również dążę do idealnego synkretyzmu pomiędzy realizmem, a moimi wizjami. Chętnie sięgam po technikę olejną i różnorodne spoiwa. Lubię, gdy podczas malowania pędzel mi się

poddaje, a jednocześnie zaskakuje w uzyskanym efekcie.

Obecnie tworzę cykl prac związany z tematyką problemów ze snem, bezsennością oraz paraliżem przysennym. Sen jest częścią naszego codziennego życia, lecz nie każdy doświadczył konsekwencji, jakich niesie ze sobą jego brak. Zatracanie się w koszmarze nie jest już tylko sferą nocną, ale w pewnym momencie również znieprawioną normalnością. Każda noc wydaje się taka sama — czekanie, zatracanie się w śnie, który nie jest dobry, wybudzenie oraz strach przed ponownym zaśnięciem. To jak surrealistyczna kolejka górską, która bardzo boleśnie odbija się na sferze psychicznej.

Prócz osobistych doświadczeń ukazanych w obrazach, portretuję również osoby borykające się ze wspomnianymi przypadłościami. Na szczególną uwagę zasługuje obraz „Maja”, który jest kontrastem pomiędzy siłą, którą chcemy eksponować na zewnątrz, a delikatnością i bezpieczeństwem, które pragniemy odczuwać w chwilach bezsilności i stresu. Sen jest jednym z największych luksusów, jakie podarowała nam natura. Pragnę, by te obrazy były tego przypomnieniem, a jednocześnie inspiracją i ukojeniem dla tych, którzy o ten sen i spokój jeszcze walczą.

Za swój osobisty debiut uznaję miejsce w finale jednego z najbardziej prestiżowych kon-

kursów sztuki figuratywnej Art Renewal Center w Stanach. W 2019 edycji wpłynęło około 4500 prac, z czego ponad 1000 zostało wyselekcjonowanych do finału. Miałam przyjemność brać udział również w grupowej wystawie w Brick City Gallery oraz należeć do finałowej grupy FAV15% konkursu „BoldBrush”. Jednym z kolejnych sukcesów był zdecydowanie konkurs Studencki Obraz Roku 2019, w którym zajęłam 1 miejsce. ■



Pośród Ptaków



Nimfa



Julia Kempa, "Bezsenność", olej na płótnie, 170x134cm, 2018



Julia Kempa, „Ochroń mnie przed snem”, olej na płótnie, 170x130cm, 2019

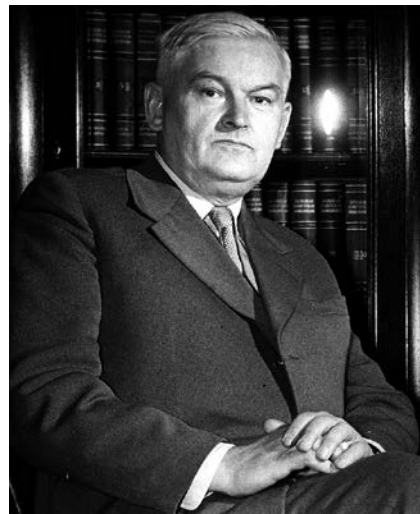


Julia Kempa, „Maja”, olej na płótnie, 60x80cm, 2019



Niezwykły zwykły człowiek

PIOTR GRELLA-MOŻEJKO



Bolesław Szabelski

foto. VTG

Wprawdzie zasługuje co najmniej na sporą ulicę swojego imienia albo nawet i pomnik, dlaczego bowiem nie postawić solidnego pomnika albo bodaj popiersia w miejscu publicznym komuś, kto rzeczywiście tego wart? Pozostały po nim jedynie skwerki w Ligoście oraz dość zaniedbany grób na panewnickim cmentarzu. Pozostały też dzieła – nieliczne, wszak których waga jest odwrotnie proporcjonalna do ich niepokornej ilości. Powinno się je stale grywać, lecz w świadomości nawet zorientowanych słuchaczy i słuchaczy istnieje tak naprawdę może jednym, może dwoma tytułami.

Piszę te słowa w sierpniu, miesiącu wyjątkowym ze względu na mnogość wydarzeń – od tych niebagatelnych w skali historycznej jak Powstanie Warszawskie, Porozumienia Sierpniowe, poprzez dwa pierwsze Powstania Śląskie, Bitwę Warszawską, po te niby mniejsze, ale nie mniej tragiczne jak mordy na generałach Grocie-Roweckim i Danucie Siedzikównie, oraz te częstokroć drobne, prawie już teraz niewidoczne, jak choćby śmierć kompozytora Bolesława Szabelskiego 27 sierpnia 1979 roku.

Szabelski urodził się 3 grudnia 1896 w Radoryżu, wyrastał jednak w Sadownem koło Warszawy, gdzie ojcu dano posadę organisty. Miał więc od wczesnego dzieciństwa kontakt z dość wysokiej klasy odtwórstwem. Nie dziwiłoby, iż poszedł w ślady ojca, jak potem o ponad dekadę młodszy Olivier Messiaen z pokorą panu Bogu służąc grą w kościołach.

W Warszawie studiował u nauczycieli – organy u Mieczysława Surzyńskiego, kompozycję u Romana Statkowskiego, konserwatystów niejako z zawodu. Na szczęście po śmierci tego ostatniego dostał się pod skrzydła Karola Szymanowskiego, u którego dorósł i dojrzał jako kompozytor. Od mistrza przejął zamiłowanie do monumentalizmu, co przejawiało się w naturze jego dzieł tj. głównie dużych, a nawet potężnych form orkiestrowych (pięć symfonii napisanych w latach 1925–1968), które charakteryzuje zgęszczona, ale zarazem wybornie zrównoważona instrumentacja, przejrzystsza niż ta w utworach wielkiego Karola. W zasadzie obce mu były ekstazyjne porwy muzyki Szymanow-

skiego, czy też poddanie się wpływom folkloru (folklorem zajął się później, we wczesnych latach pięćdziesiątych: kurpiowska *III Symfonia* z 1951). To Szymanowski w 1929 polecił Szabelskiego Witoldowi Friemannowi na stanowisko wykładowcy gry organowej (a nie kompozycji!) w Państwowym Konserwatorium Muzycznym, które Friemann właśnie zakładał. Była to jedna z najdatniejszych rekomendacji w historii polskiej muzyki. Kompozycji zaczął uczyć dopiero po wojnie; i tu osiągnął sukcesy, gdyż to z jego klasy wyszli m.in. Zbigniew Bargielski, Edward Bogusławski, Ryszard Gabryś, Henryk Mikołaj Górecki, Jan Wincenty Hawel.

Szabelskiemu udało się uniknąć swoistych manieryzmów Szymanowskiego – pod względem ujęć stylistycznych jego muzyka jest czystsza, wyraźniej zdefiniowana, jakkolwiek nie brak w niej momentów o ekspresjonistycznej proweniencji, np. w środkowej części doskonałego *Concertina*. Muzykę swą lubił ujmować w gatunki, formy i techniki wypracowane w okresie baroku, które umiejętnie przetwarzał i dostosowywał do potrzeb własnej estetyki: passacaglii (organowa *Passacaglia e-moll* z 1930 oraz kolejna *Passacaglia*, tym razem pierwsza część *III Symfonii*), suity (orkiestrowa *Suita* z 1936), sonaty (ta ostatnia barokowa raczej niż romantyczna; organowa *Sonata* z 1943), concerto grosso (*Concerto grosso* z 1954), concerto (wymienione wyżej fortepianowo-orkiestrowe *Concertino* z 1955). Stąd może wzięło się często stosowane w odniesieniu do jego dzieł określenie „neobarok”, o tyle niesłuszne, że z baroku zapożyczył Szabelski jedynie pewne rozwiązania zewnętrzne, pewne obiegowe a charakterystyczne gesty, które pod jego piórem nabierały nowych wartości. Taką typową formułą jest np. rwący jak górski strumień, jednostajnie motoryczny ruch drobnych wartości rytmicznych znany z setek szybkich części barokowych kompozycji, wśród których od razu na myśl przychodzi toczyta Pachelbela i Bacha albo *allegra* Vivaldiego (vide orkiestrowa *Toccata* ze wspomnianej *Suity*, obecnie wykonywana najczęściej jako osobny, najpopularniejszy jego utwór). W sferach harmoniki, instrumentacji, szczegółowego modelowania for-

my i jej tektoniki, a także ekspresji, Szabelski najczęściej wychodził poza standardowe barokowe ujęcia tworząc muzykę o wyraźnie współczesnym profilu, dramatycznym charakterze oraz indywidualnym kolorycie.

Z biegiem lat rosła jego reputacja jako kompozytora obdarzonego wyobraźnią i świetnym rzemiosłem. Miał talent, którego rozwojem chyba w pełni świadomie sam pokierował, stając się z czasem autorytetem na miarę Lutosławskiego. Skromny, spokojny, małomówny, Szabelski najcelniej, by tak rzec, wypowiadał się w swoich dziełach, które dla polskiej muzyki mają zasadnicze znaczenie. Katowicki kompozytor okazał się bowiem tym, którego nagły acz z rozmysłem dokonany zwrot ku technikom ówczesnej awangardy – a był już wtedy po sześćdziesiątce! – wywołał nie tylko szok, ale dał bodźca grupie młodych twórców rozpoczynających wówczas kariery. Był uosobieniem tradycji, raptem ujrzeli w nim młodzieńczego przewodnika.

W przeciwieństwie do Strawińskiego, który wtedy przeszedł podobną ewolucję, Szabelski jako „nowo narodzony” awangardysta stworzył dzieła o nieprzemijającej wartości. Dowiódł w nich nie tylko pełnego zrozumienia nowych wówczas technik dodekafonii czy serializmu, ale konstruktywnie je adaptował tworząc dźwiękowe uniwersum formalnie dynamiczne, narratywnie bujne, fakturalnie bogate, kolorystycznie atrakcyjne i emocjonalnie dosadne: *Sonety* na orkiestrę (1958), *Improwizacje* na chór mieszany i orkiestrę (1959), *Wiersze* na fortepian i orkiestrę (1961), *Aforyzmy „9”* na zespół kameralny (1962). Piękną, tajemniczą muzyką jest *Koncert fletowy* (1964), zaś ostatnie dzieło, niespełna ośmiominutowy (!) *Koncert fortepianowy* z 1978 zachwyca skomponowaną formą i intensywnym wyrazem – niezwykłym jak niezwykły był ten zwykły człowiek.

Industrialną spuścizną woj. śląskiego w dzisiejszym kształcie są nie tylko zabytki techniki, ale i budownictwo patronackie. W regionie znajduje się ok. 150 dawnych osiedli robotniczych. Większość osiedli i kolonii patronackich została wzniesiona między 1890 a 1914 r., a ich nazwy nawiązywały do zakładów macierzystych. Powstawały one w Bytomiu, Chorzowie, Czeladzi-Piaskach, Czerwionce-Leszczynach, Dąbrowie Górniczej, Gliwicach, Katowicach, Mysłowicach, Rybniku, Siemianowicach Śląskich, Sosnowcu i w Zawierciu. Część z nich zachowała się do dziś niemal w niezmiennym kształcie, np. klimatyczne osiedla Nikiszowiec i Giszowiec w Katowicach, czy w Zagłębiu Dąbrowskim osiedla kopalni „Saturn” w Czeladzi i TAZ w Zawierciu. Warto dodać, że z kolei w Dąbrowie Górniczej — choć nie przetrwały w dawnych założeniach do współczesności — robotnicze osiedla i kolonie — przyczyniły się do stworzenia miejskiej infrastruktury.

Zabytki w Rudzie Śląskiej i Zabrze

Na Śląsku najstarsza realizacja zachowała się w Chorzowie przy ul. Teodora Kalidiego (założona w 1798 r. dla pracowników Królewskiej Huty). Kolejne osiedle — Nowa Kolonia Robotnicza znajduje się w południowej dzielnicy Bytomia, Bobrku. W skład tego założenia (powstał na planie prostokąta o ściętych narożnikach) wchodzi dwa kompleksy mieszkaniowe utworzone w latach 1907-1922 dla pracowników huty „Julia” oraz kopalni „Hrabina Johanna”. Jest utrzymany w stylu historyzmu z elementami modernizmu. Jak wskazuje Agata Mucha z Oddziału Terenowego Narodowego Instytutu Dziedzictwa w Katowicach charakterystycznym elementem budynków ceglanych jest wprowadzenie dekoracyjnego muru pruskiego.

Kolejny doskonale zachowany do naszych czasów zabytek w Rudzie Śląskiej m.in. przy ul. Kościelnej, Staszica i Wieniawskiego powstał na zlecenie rodziny Ballestramów, na początku XX w. Za projekt i realizację zespołu odpowiedzialny był Hans von Poellnitz. Osiedle poza budynkami mieszkalnymi oraz gospodarczymi wzbogacono w obiekty użyteczności publicznej. Jego ważną część stanowi kościół pw. Matki Boskiej Różańcowej.

Zabudowa osiedla posiada bogaty detal oraz interesujące rozwiązania architektoniczne z widocznymi wpływami architektury niderlandzkiej — manierystycznej oraz budownictwa małomiasteczkowego — wylicza Agata Mucha.

Portal www.zabytek.pl (przygotowywany przez Narodowy Instytut Dziedzictwa) wskazuje na Śląsku jeszcze na dwa osiedla regionu Kolonię Carl-Emanuel (ul. Wolności w Rudzie Śląskiej) i kolonię hr. Franciszka von Ballestrama w Zabrzu-Rokitnicy.

Zespół w Zabrzu w wspaniałym układzie przestrzennym powstał w latach 1905-1908 dla pracowników kopalni węgla kamiennego „Castellengo”. Na terenie tego osiedla zachowały się również wpisane do rejestru zabytków szkoła i przedszkole.

— Wśród zabudowy mieszkaniowej na szczególną uwagę zasługują także cztery „stalowe domy” wykonane w eksperymentalnej konstrukcji z prefabrykowanych stalowych płyt



Charakterystyczny budynek Poczty Polskiej w Nikiszowcu. Osiedle w 2011 r. zostało uznane za Pomnik Historii.

fot. Agnieszka Zielińska

Osiedla i kolonie patronackie na Śląsku i w Zagłębiu

AGNIESZKA ZIELIŃSKA

odlanych w zabrzańskim hucie Donnersmarcka (ul. Szafarczyka nr 40-42, 41-43, 44-46 oraz 45-47) — wylicza Agata Mucha.

Piękne, jednorodne detale

Zabytkowe osiedla Giszowiec i Nikiszowiec — duma Katowic, to realizacje postępowej idei Brytyjczyka Ebenezera Howarda tworzenia „osiedli ogrodów”. (Jednym z budowniczych Giszowca i Nikiszowca był przemysłowiec i wizjoner Anton Uthemann, którego imię nosi obecnie park w Katowicach-Szopienicach). Pierwsze z osiedli przeznaczone było początkowo dla robotników i urzędników kopalni „Giesche” (powstało w latach 1907-1914) jego twórcami byli architekci bracia George i Emil Zillmanowie. Osiedle w Nikiszowcu powstawało w latach 1908 — 1918. To także przykład przemysłowej i funkcjonalnej architektury mieszkaniowej. Kamienice wykonano z charakterystycznej czerwonej cegły. Budynki otrzymały ciekawe, jednorodne detale. Całość kompleksu w Giszowcu opiera się na planie prostokąta, którego środek stanowi rynek z centrum handlowo-usługowym oraz park. Domy z niewielkimi ogródkami usytuowane są wzdłuż osiedlowych ulic. Założenie, bardzo nowoczesne, spełniało wiele funkcji, w osiedlu zlokalizowane były również ko-

ściół, apteka, poczta, szkoła czy straż pożarna. Osiedle w Nikiszowcu powstawało w latach 1908 — 1918 (nazwa pochodzi od szybu „Nikisch”, obecnie „Poniatowski”). To także przykład przemysłowej i funkcjonalnej architektury mieszkaniowej, działały tu np. restauracja, czytelnia, szpital czy nawet pływalnia. Osiedle było zelektryfikowane i posiadało własną sieć wodno-kanalizacyjną oraz centralne ogrzewanie. Obydwa założenia, a zwłaszcza zachowany w niemal niezmiennym kształcie Nikiszowiec, od lat inspirują wielu artystów: pisarzy (np. Małgorzata Szejnert), filmowców (m.in. Lech Majewski, Kazimierz Kutz, Radosław Piwowarski, Maciej Pieprzycza, Janusz Kidawa), czy malarzy (np. Grupa Janowska).

Kolonia wzorcowa w Czeladzi-Piaski

Zagłębie Dąbrowskie też ma sporo do powiedzenia w kwestii osiedli patronackich. Osiedle „Piaski” to zabudowania mieszkalne i użyteczności publicznej pracowników KWK „Saturn”, które stanowią dziedzictwo górniczej przeszłości Czeladzi, (wpisane do wojewódzkiego rejestru zabytków). Budynki były przeznaczone dla robotników i urzędników kopalni „Saturn” (oraz kolejno „Ernest”, „Czeladź”, „Czerwona Gwardia”). Duża ich część została wybudowa-

na dzięki Wiktorowi Vianney, który w latach 1905–1931 pełnił funkcję dyrektora Towarzystwa Bezimiennego Kopalni Węgla „Czeladź”. Osiedle uchodziło w tamtych czasach za kolonię wręcz wzorcową, a sam Vianney został odznaczony Złotym Krzyżem Zasługi nadanym mu przez Prezydenta RP. Początek kolonii stanowiło 8 piętrowych domów mieszkalnych dla robotników, 2 domy dla urzędników oraz dom noclegowy dla samotnych górników zbudowane przez Towarzystwo Akcyjne Kopalni Węgla „Czeladź” z siedzibą w Paryżu, w latach 1882–85. Ilość budynków mieszkalnych szybko wzrosła, szczególnie w okresie międzywojennym, tworząc tzw. starą kolonię, nową kolonię, białe domy i betony. Powstał też pałac zarządcy, kościół w stylu wczesnoromańskim, szkoły (powszechna i gospodarstwa domowego), przedszkole, klub i boisko sportowe. Obecnie osiedle pełni funkcje mieszkalne. Kopalnia została zamknięta w 1996 r., wówczas nosiła z powrotem nazwę „Saturn”. Warto przypomnieć, że część Piasków na przełomie lat 40. i 50. XX w. należała administracyjnie do Będzina i oznaczana była jako kolonia Małobądz.

Towarzystwo Akcyjne Zawiercie

Osiedle robotnicze Towarzystwa Akcyjnego Zawiercie powstało przy nieistniejącej już fabryce bawełnianej założonej w 1833 r. przez bankierów berlińskich – braci Ginsbergów. Osiedle powstało w latach 1880–1910. Architektem i budowniczym kompleksu był inż. Bigoszewski, a po jego śmierci P. Munch. Domy budowane wzdłuż regularnie położonych ulic i alei, posiadają odpowiednio dużą przestrzeń na zorganizowanie podwórek i zaplecza gospodarczego.

— Osiedle składało się z budynków mieszkalnych, z których każdy obsadzony został drzewami wyznaczającymi główne aleje kolonii. Między ulicami, a domami urządzono ogródki oddzielone płotkami i miejsca do rekreacji. Integralną częścią osiedla były obiekty użyteczności publicznej dla robotników, takie jak: szpital na 30 miejsc, dom lekarza z gabinetem przyjęć, pralnia, łaźnia miejska, Dom



fot. Agnieszka Zielińska

Dąbrowa Górnicza. Kolonia „Matheron”. Brak terenów do zabudowy w samej Dąbrowie, zmusił zarząd Towarzystwa Francusko-Włoskiego Dąbrowskich Kopalni Węgla do szukania nowych lokalizacji domów dla swoich robotników.

Ludowy, piekarnia i szkoła. Na terenie kolonii znajdowały się ponadto: willa dyrektora TAZ, tzw. Pałacyk Szymańskiego oraz dwa obiekty sakralne – kościół rzymskokatolicki pw. św. Apostołów Piotra i Pawła oraz ewangelicko-augsburski (który obecnie mieści Cech Rzemiosł Różnych), a także Resursa Obywatelska czy też nowoczesna szkoła — czytamy w Portalu regionalnym www.silesiakultura.pl Wiele informacji o osiedlu znajdziemy też na www.dawne-zawiercie.pl Strona została stworzona przez Centrum Inicjatyw Lokalnych, realizują ją: Janusz Bienkowski i Paweł Abucki oraz Jadwiga i Sławomir Gębka.

Osiedle zostało dotknięte w drugiej połowie XX w. degradacją przestrzenną i społeczną. Obecnie to jednak największy zabytek Zawiercia. W 2016 r. rozpoczęto jego rewitalizację. Priorytetowym zadaniem była poprawa warunków mieszkaniowych w 20 budynkach wraz z zagospodarowaniem terenów przyległych i zachowanie zabytkowego charakteru osiedla. Wprowadzono też dodatkowe funkcje:

w budynku przy ul. Niedziałkowskiego 22 powstały tzw. mieszkania chronione, a w kamienicy przy ul. Bohaterów Westerplatte (dawna łaźnia miejska) galeria.

Projekty Franciszka Marii Lanci

W Dąbrowie Górniczej do rozwoju miejskiej zabudowy przyczyniła się znacznie huta „Bankowa”. Kanwę osiedla początkowo stanowiło pięć ulic ułożonych równoległe do kierunku wieś Dąbrowa — huta „Bankowa”. Były to ulice, które dziś stanowią centrum miasta. Pierwotne osiedle huty „Bankowej” zaprojektowano jako zespół budynków jednorodzinnych lub dwurodzinnych. Kolonia dla francuskich urzędników i kadry huty powstała ok. 1918 r., równocześnie z kolonią „Zielona”. Składała się z 10 budynków mieszkalnych z 272 mieszkaniami dwuizbowymi. W tej samej kolonii powstało 16 budynków urzędniczych o 106 mieszkaniach. Były licowane czerwoną cegłą, wyposażone w instalację elektryczną, wodociągi, kanalizację, łaźienki. Te domy w stylu włoskim projektował Franciszek Maria Lanci. Ze względu na szkody górnicze zabudowa ta była systematycznie zastępowana od II połowy XIX wieku wielorodzinnymi, ceglany mi familokami — tłumaczy Arkadiusz Rybak, historyk i regionalista, dyrektor Muzeum Miejskiego „Szttygarka” w Dąbrowie Górniczej.

Podczas pierwszego wytopu rudy żelaza w hucie, robotnicy postanowili odlać krzyż jako pamiątkę tego wydarzenia. Krzyż znajduje się dziś przy ul. Sobieskiego. Zachowane do dziś budynki dawnej kolonii „Zielona” (przyłączono ją do Dąbrowy w 1923 r., gdy wybudowano drogę do Łagiszy) znajdują się przy ul. Robotniczej.

Nazwa kolejnej kolonii „Matheron” przy jeziorze Pogoria I, pochodzi od nazwiska dyrektora Towarzystwa Francusko-Włoskiego. Budowa kolonii została zainicjowana w 1928 r. przez Towarzystwo Francusko-Włoskie Dąbrowskich Kopalni Węgla. W efekcie do 1932 r., wybudowano 17 budynków wielorodzinnych. Zamieszkiwali tu pracownicy kopalni „Paryż”. To do dziś ciekawie zachowane obiekty.

fot. Agnieszka Zielińska



Budynki w Czeladzi posiadają proste, mało zróżnicowane bryły, wykonane zostały z cegły lub kamienia w większości z ubogim detalem architektonicznym.



Teatralne stulecia Górnego Śląska

Z prof. dr hab.

ANDRZEJEM LINERTEM,

rozmawia DOROTA RAK

Pyznam się szczerze, że nie wiem czy bardziej czuje się Pan Ślązakiem czy Krakusem?

Jestem człowiekiem pogranicza. Urodziłem się w ostatnim roku wojny w Komorowicach Krakowskich, wchodzących w owym czasie w skład diecezji krakowskiej. Dzisiaj jest to dzielnica Bielska-Białej. Tam też moi rodzice byli nauczycielami, a ojciec dodatkowo przez 60 lat organistą. Trzydzieści lat swojego życia zawodowego spędziłem początkowo na Śląsku. W latach 1974-1981 byłem kierownikiem literackim Teatru Lalek *Banialuka* w Bielsku-Białej, a także Śląskiego Teatru Lalki i Aktora *Ateneum* (1977-1979), a potem Teatru Śląskiego im. Stanisława Wyspiańskiego w Katowicach (1983-1991). Równocześnie od 1973 r. zatrudniony byłem w Śląskim Instytucie Naukowym.

A skąd te Pańskie zainteresowania historią teatru? Czy Bielsko-Biała ma aż taką bogatą tradycję teatralną?

Bielska tradycja teatralna sięga 1792 r., kiedy to książę Franciszek de Paula-Sułkowski w 1792 r. zaadaptował dla celów teatralnych stojący w sąsiedztwie wieży zamkowej budynek browaru, w którym następnie przez sześć miesięcy prawdopodobnie występowała austriacka trupa Daniela Eisenberga. Także w Bielsku już w latach 1813-1836 na Dolnym Przed-

mieściu działał tzw. Teatr Wielkksiążęcy, znany jako *Hohfurstlich Theater*. Występowały tam wyłącznie niemieckojęzyczne trupy teatralne. Z kolei w latach 1852-1882, na pierwszym piętrze w sali Domu Cechowego na pl. Giełdowym, dziś pl. Smolki, istniała sala teatralna wraz ze sceną i widownią na około 450 miejsc. Natomiast współczesny budynek Teatru Polskiego jest o trzy lata starszy od Teatru Słowackiego w Krakowie. Jest równie funkcjonalny, co zachwycający. Wzniesiony wg planu wiedeńskiego architekta Emila Rittera von Förstera, do dzisiaj zachował swój pierwotny wystrój. Dodajmy, że również w pobliskim Cieszynie, już w 1788 r. wybudowano stałą scenę w ratuszu, a następnie w 1910 r., równie piękny jak bielski, budynek teatralny. Pamiętajmy ponadto, że tereny całego księstwa cieszyńskiego legitymują się najstarszą na Górnym Śląsku tradycją polskiego teatru amatorskiego. Dodam, że w zamku książęcym w pobliskiej Pszczynie książę Friedrich Erdmann von Anhalt-Köthen-Pless już w 1775 r. zbudował scenę, usytuowaną w jednej z sal pierwszego piętra. Tam też w parku pałacowym w latach 1803-1807 istniał obszerny budynek teatru dworskiego, w pomieszczeniach którego regularnie występowały trupy teatralne z terenu Bielska oraz miejscowa grupa amatorska. Go-

ściły ponadto zespoły z Opawy i Oławy, a także teatr dworski księcia Aleksandra Fryderyka Wirtemberskiego z Karlsruhe. Oczywiście w dzieciństwie nie wszystkie te fakty znałem, ale życie społeczno-kulturalne Komorowic tuż po wojnie było bardzo rozteatralizowane.

To dlatego całe życie zawodowe poświęcił Pan historii teatrów na Śląsku i Zagłębiu Dąbrowskim. W najbliższym czasie ukaże się kolejna obszerna Pana praca. Z tej okazji chciałam na wstępie zapytać: czym dla Pana jest teatr?

W sensie bardzo ogólnym teatr to bezpośrednio i celowe działanie ideowo-artystyczne jednostki lub grupy ludzi na widza lub widzów, zmierzające do realizacji określonego komunikatu społecznego. Dlatego też teatrem dla mnie są nie tylko widowiska sceniczne, ale także parady wojskowe, manifestacje polityczne, obrzędy religijne, uroczystości państwowe i rodzinne, a także oglądane na żywo wydarzenia sportowe itp. wydarzenia. Natomiast historia teatru jest nie tylko historią sztuki, ale i instrumentem jego promocji, elementem miastotwórczym, znacznie skuteczniejszym i trwalszym w komunikacji społecznej, od stosowanych powszechnie bieżących informacji reklamowych zamieszczanych na łamach prasy, portalach internetowych itp. środ-

kach masowego przekazu. Dlatego też m.in. z takim uporem opracowuję jego dzieje.

Kiedy i gdzie zatem na Górnym Śląsku pojawiły się te pierwsze polskie widowiska? Jakich autorów wystawiano?

Kalendarium przedstawień pierwszego polskiego niezawodowego zespołu teatralnego założonego przez Karola Miarkę w Królewskiej Hucie w 1869 r. obejmuje około 40 premier widowisk autorów zarówno pisarzy śląskich, jak i ogólnopolskich. Wśród autorów znajdujemy przede wszystkim nazwiska Karola Miarki, Juliusza Ligionia i Piotra Kołodzieja, a także sztuki grane przez teatry ludowe w pozostałych regionach kraju. Były to m.in. utwory Aleksandra Ładnowskiego, Józefa Korzeniowskiego, Ludwika Budziszowskiego, Władysława Ludwika Anczyca, Karola Kucza, Wincentego Janusza Wdowiszewskiego, Władysława Bełzy, Jana Nepomucena Kamińskiego, Stanisława Dobrzańskiego i Jana Kantego Grygorowicza.

Które należały do najciekawszych?

Na gruncie górnośląskim służyła temu przyjęta gorąco przez publiczność Królewskiej Huty prapremiera sztuki Karola Marki *Kulturnik*. Ona też od razu na wstępie zdefiniowała w zasadniczych zrębach na całe pięćdziesięciolecie etos górnośląskiej dramaturgii i jej podstawowy nurt problemowy, w ramach którego zasadnicze dylematy tej rdzennie śląskiej dramaturgii dotyczyły konieczności zachowania tożsamości narodowej, w tym przede wszystkim języka, wiary katolickiej i panujących od wieków na tej ziemi obyczajów, w zderzeniu z ekspansywną kulturą niemiecką. Ekspozowana była zatem przede wszystkim potrzeba kultywowania rodzimej tradycji śląskiej. Problematyka ta dominowała zarówno w twórczości Miarki, jak i Piotra Kołodzieja, ale także Juliusza Ligionia, Jana Kupca, Franciszka Kowola i Augusta Świdra. Twier-

dzimy, że polskojęzyczny teatr niezawodowy w XIX stuleciu na Górnym Śląsku miał charakter samorodny, był efektem twórczości miejscowych chłopów i robotników. Wyjątek stanowili dwaj nauczyciele: Jan Kubisz na Śląsku Cieszyńskim i Karol Miarka, górnośląski działacz społeczny, publicysta i drukarz. Wszyscy pozostali byli bądź to robotnikami, bądź też chłoporobotnikami. Z Królewskiej Huty pochodził kowal Juliusz Ligoń i jego syn Jan Ligoń, z Siemianowic Piotr Kołodziej; chłopami byli Jakub Kania i Jan Kupiec, a także Adam Sikora i najmłodszy wśród nich Jan Wantuła.

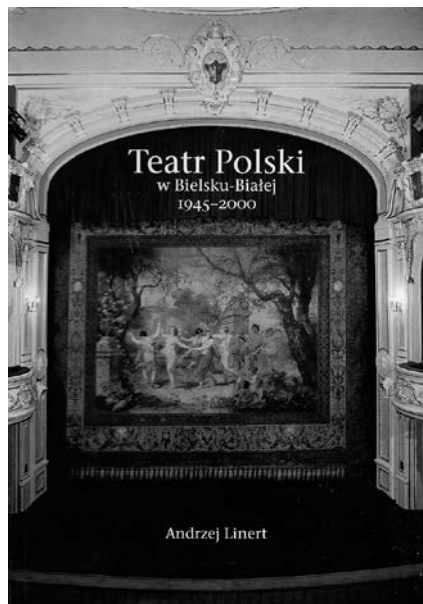
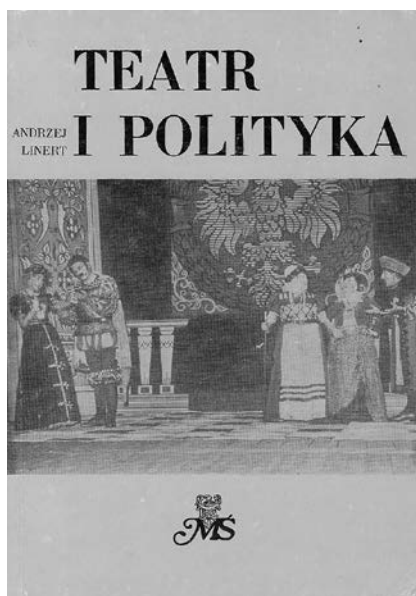
Jak można byłoby zatem zdefiniować podstawowe funkcje tej historycznej działalności teatralnej na Górnym Śląsku?

W oddziaływaniu społecznym polskiego teatru niezawodowego na Górnym Śląsku, znamieną okazała się być dominacja funkcji narodowych, połączonych z zadaniami wychowawczo-poznawczymi i emocjonalno-substytutowymi, i to zarówno w latach administracji pruskiej, jak i w okresie międzywojennym. Swoim zasięgiem ogarniała ona znakomitą większość mieszkańców Górnego Śląska. Obok kościoła, prasy i ruchu śpiewaczego, polskojęzyczny teatr był jedną z najważniejszych form życia społeczno-artystycznego i politycznego. Atrakcyjność jego sztuki sprawiała, że widowiska te gromadziły szerokie kręgi społeczne. Posiadamy relacje dokumentujące to, że gromadziły one niejednokrotnie widownię liczącą ponad 1000 osób. Władze niemieckie nie były więc zachwycone masowością tego zjawiska, zwłaszcza że teatry te od samego początku nie tylko edukowały, ale i budziły narodowego ducha. Należy podkreślić, że na barkach twórców tego samorodnego teatru polskiego, w walce o polski charakter Górnego Śląska, spoczywała konieczność stworzenia skutecznej przeciwwagi wobec dominują-

cej i bezsprzecznie znakomicie zorganizowanej niemieckiej działalności teatralnej, realizowanej m.in. w oparciu o liczne wielofunkcyjne sale widowiskowe i budynki teatralne.

Kiedy więc stanęły na tym terenie pierwsze budynki teatralne?

Potrzeba budowy budynków teatralnych pojawiła się tu już w pierwszej połowie XIX w. Jeden z pierwszych, podobnie jak ten w Pszczynie, powstał na początku XIX stulecia w Nysie przy ul. Wałowej i funkcjonował prawdopodobnie do przełomu lat 1849/1850, po czym w okresie 1851-1852 zbudowany został nowy budynek teatralny, mieszczący na parterze i balkonach 800 widzów. Miał scenę obrotową i obok sztuk dramatycznych, okresowo grano w nim także operetki i opery. Własną scenę teatralną posiadało także Opole. Mieściła się ona w ratuszu. Z czasem w drugiej połowie XIX stulecia zbudowano także teatr w Raciborzu. W konsekwencji mniej więcej od połowy XIX w., w ślad za rozwojem życia teatralnego całych ówczesnych Niemiec, odnotowujemy dynamiczny rozwój życia teatralnego całego regionu Górnego Śląska. Przykładem tego są powstałe na przełomie XIX i XX w. nowoczesne budynki teatralne m.in. w 1890 r. w Gliwicach, a następnie w 1901 r. w Bytomiu. W tym samym roku do użytku oddano także salę koncertowo-teatralną w wielofunkcyjnym gmachu Kasyna huty Donnersmarcka w Zabrze oraz mieszczącą 2000 osób obszerną salę balowo-widowską w nowo wybudowanym gmachu Hotelu Graf Reden w Królewskiej Hucie – dzisiejszym Teatrze Rozrywki w Chorzowie. Ostatnie budynki teatralne otwarte zostały w 1907 r. w Katowicach, a następnie w 1908 r. w Tarnowskich Górach, i w 1910 r. w Cieszynie. Dodajmy, że obok tego w XIX stuleciu okresowo na terenie Górnego Śląska niemieckie sceny istniały dodatkowo w Nysie i Raciborzu. Rów-



noległe z ich otwarciem do życia powołane zostały także pierwsze miejscowe zespoły teatralne.

Dotychczas niewiele wiemy o dokonaniach tych zespołów. Który z nich Pana zdaniem był szczególnie interesujący?

Gliwicki Viktoria-Theater był jednym z pierwszych. Od 1901 r. znany był jako Teatr Miejski (*Stadttheater*). Od początku był przebudowywany, remontowany i reorganizowany. Był siedzibą zespołu dramatycznego i operowego. Początkowo stanowił centrum życia teatralnego nie tylko miasta, ale i regionu. Posiadał instalację elektryczną, nowoczesną aparaturę sceniczną, krytą muszlę orkiestrową oraz przestronną widownię na 800 osób. Z czasem palmę pierwszeństwa przejął bytomski *Stadttheater* (Teatr Miejski), późniejszy *Oberschlesisches Landestheater*. Jego ambitną działalność teatralną zapoczątkowała dyrekcja Hansa Knappa. W jego repertuarze obok klasyki dramaturgii europejskiej znalazły się czołowe dzieła literatury operowej. Całkiem odmienny charakter miał powstały także w 1901 r. w Królewskiej Hucie *Oberschlesisches Volkstheater* (Górnośląski Teatr Ludowy), który do życia powołany został z myślą o działalności objazdowej na terenie całego okręgu przemysłowego Górnego Śląska. Jego repertuar adresowany był przede wszystkim do środowisk robotniczych. Mówiąc najkrócej, miał charakter ludyczny.

Co było powodem tego, że u progu XX wieku na terenie Górnego Śląska nagle pojawiło się aż tyle zawodowych zespołów i budynków teatralnych?

Ich pojawienie się, obok świadomej działalności różnego rodzaju urzędników, doradców finansowych i gospodarczych ówczesnej administracji państwowej, było przede wszystkim podyktowane potrzebami zamożnego mieszczaństwa niemieckiego. Powstające budynki teatralne stymulowały rozwój gospodarczy regionu.

Kultura była jednym z najistotniejszych czynników rozwoju przemysłowego regionu. I to do dzisiaj powinna być niezwykle ważna nauka dla naszych polityków.

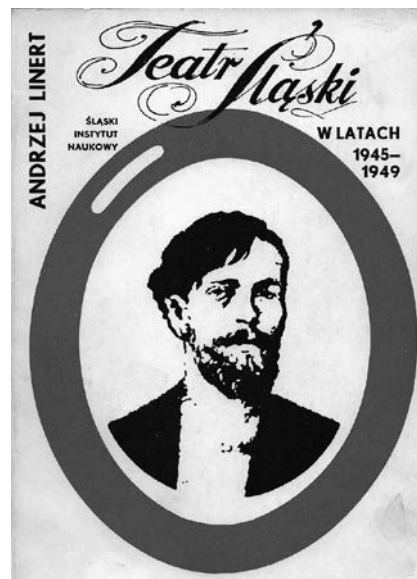
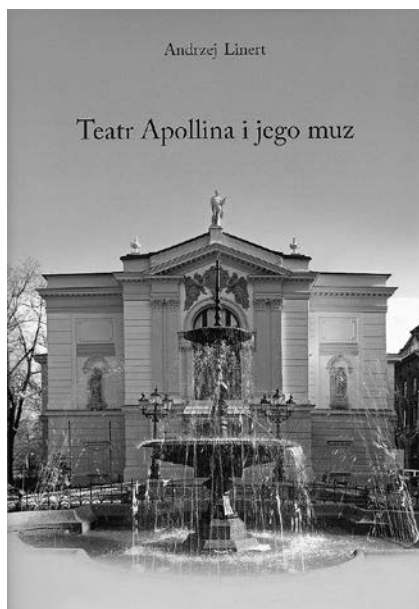
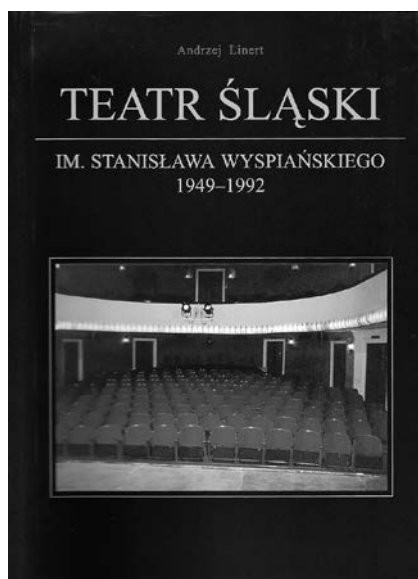
A co z polskim teatrem zawodowym, który pojawia się w 1922 r. w Katowicach? Społeczność polskojęzyczna Górnego Śląska w czasach administracji pruskiej nie posiadała polskiej sceny zawodowej. Jej funkcje, jak już mówiliśmy, pełnili miejscowe sceny amatorskie.

Pierwsze polskie gościnne występy zawodowych teatrów polskich na Górnym Śląsku pojawiły się w latach plebiscytu i powstań śląskich. Były to m.in. Teatr Edmunda Rygiera, Górnośląski Teatr Narodowy Henryka Cepnika i 150-osobowa delegacja Opery Warszawskiej pod dyktando Emila Młynarskiego. Ich pojawienie się związane było m.in. z dążeniem do równouprawnienia w dostępie do kultury teatralnej obu zamieszkujących tę ziemię narodów. Natomiast powołany do życia w 1922 r. zespół Teatru Polskiego w Katowicach był pierwszym stacjonarnym i zawodowym teatrem polskim. W pracach związanych z jego uruchomieniem uczestniczyli m.in. Juliusz Osterwa, Michał Orlicz i Jan Kochanowicz. Postanowiono, że powstanie zawodowa placówka pod nazwą *Teatr Polski w Katowicach*. Równocześnie zdecydowano, że będzie to teatr prowadzący szeroką działalność objazdową. Jego podstawowy repertuar początkowo wyznaczały sztuki popularne, adresowane przede wszystkim do szerokiego rzesz robotniczych. Z czasem pojawił się także ambitny polski repertuar klasyczny. Definiując w 1922 r., cel i zakres pracy teatru, a także sens jego istnienia, jego twórcy odwoływali się do potrzeby budowy nowej wspólnotowości polskiej. Swoją działalność zainaugurował 7 października 1922 r. premierą *Królewskiego jedyńaka* Lucjana Rydla, a w dniu następnym *Halką* Stanisława Moniuszki pod dyktando Tadeusza Wierzbickiego. Od począt-

ku istnienia był on instytucją dwoistą: komediowo-dramatyczną i do 1932 r. muzyczno-operową, występującą po obu stronach granicy. Ową działalność regulowała tzw. Konwencja Genewska. Podpisana 15 maja 1922 roku, teoretycznie zapewniała na okres piętnastu lat równe prawa cywilizacyjne i polityczne zamieszkującym po obu stronach granicy mniejszościom narodowym. Od początku też teatr katowicki, poza funkcją ludyczną, włączył się w proces odbudowy tożsamości narodowej Górnego Śląska, starając się budzić poczucie dumy i wiary Polaków w trwałość uzyskanych osiągnięć społeczno-politycznych. Celowo i z rozmysłem, poza funkcją poznawczą i apelatywną, pełnił funkcje reprezentacyjne i akcentował zawarte w klasycie treści społeczno-narodowe.

Zatem w latach międzywojennych, w warunkach administracji polskiej, działalność teatralna uległa diametralnej zmianie?

Konwencja Genewska nie tylko stała na straży praw mniejszości narodowych i uniemożliwiała likwidację własności ludności niemieckiej, ale i gwarantowała ochronę ich interesów handlowych i przemysłowych. Niemcom zagwarantowane zostało na 15 lat prawo do swobodnego zrzeszania się, organizacji własnego życia kulturalnego, w tym m.in. stałej wymiany teatralnej. W konsekwencji z jednej strony mieliśmy zespół powołanego do życia w 1922 r. Teatru Polskiego w Katowicach, a z drugiej *Oberschlesisches Landestheater* w Bytomiu, który w trakcie trwającej na terenie Górnego Śląska w latach międzywojennych „wojny teatralnej”, prowadził wzmoczoną działalność propagandową, szczególnie w środowiskach o nieugruntowanej tożsamości. Ale to już była całkiem inna, w gruncie rzeczy wzniosła i równocześnie dramatyczna karta w dziejach teatru katowickiego, który jako jedyny zawodowy polski zespół teatralny zasięgiem swojego oddziaływania obejmował nie tylko terytorium województwa śląskiego, ale i Opolszczyznę, pozostającej w granicach państwa



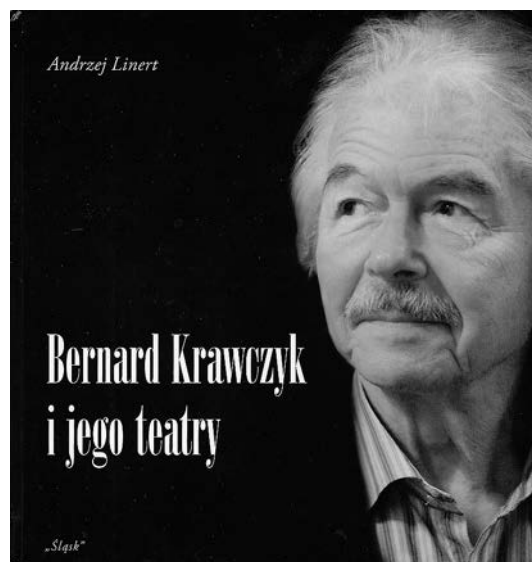
niemieckiego, gdzie jak planowano, miał równie często występować, jak bytomski *Oberschlesisches Landestheater* na terenach polskich. W praktyce Niemcy nie akceptowali równoważnie owej „wymiany”. Dowodem tego jest m.in. fakt dotkliwego pobicia artystów katowickich na dworcu w Opolu 28 kwietnia 1929 r., z okazji ich występów z *Halką* S. Moniuszki oraz pobicia w Strzelcach Opolskich 30 kwietnia 1939 r. Mariana Sobańskiego, dyrektora teatru katowickiego.

Powojenny obraz życia teatralnego w kraju zdeterminowały zarówno przemiany polityczne, następnie straty osobowościowe i materialne, a także dokonana zmiana granic. Straciliśmy ważne ośrodki życia teatralnego w stolicy i na wschodzie, zyskaliśmy natomiast nowe na zachodzie kraju. A z jakim stanem posiadania mieliśmy do czynienia na Górnym Śląsku w 1945 r.?

Początkowo na powojenny obraz działalności teatralnej na Górnym Śląsku decydujący wpływ miały masowe migracje oraz korekta granic województwa. Ponadto okazało się, że nie wszystkie budynki teatralne ocalały. Zniszczeniu uległ teatr w Nysie, a w 1945 r. żołnierze radzieccy podpalili gmachy w Gliwicach i Raciborzu. Szczęśliwie uratowały się budynki w Bielsku, Cieszynie, Katowicach i Opolu. W obrębie granic powojennego województwa śląsko-dąbrowskiego pojawił się dodatkowo teatr w Sosnowcu i Częstochowie. Obok odbudowy przedwojennego stanu posiadania, zrodziła się potrzeba tworzenia od podstaw nowych ośrodków życia teatralnego w Bytomiu, Bielsku i Opolu. Z opóźnieniem otwarta została w 1952 r. w Gliwicach *Operetka Śląska* i w 1959 r. *Teatr Nowy* w Zabrze. W połowie lat osiemdziesiątych powstał *Teatr Rozrywki* w Chorzowie. Najmłodszym w województwie zespołem dramatycznym jest *Teatr Miejski* w Gliwicach, powołany do życia w miejsce zlikwidowanego w 2016 roku *Gliwickiego Teatru Muzycznego*.

Jak można byłoby najkrócej zbilansować dorobek artystyczny tych zespołów do 1989 r.?

Najcenniejsze dokonania teatrów dramatycznych województwa śląskiego



w latach 1945–1989, zakorzenione były przede wszystkim w wielkiej literaturze światowej oraz w polskiej dramaturgii romantycznej i neoromantycznej. Natomiast z kłopotami wprowadzana była do repertuaru dramaturgia międzywojennego modernizmu i ekspresjonizmu oraz powojennych opozycyjnych dramaturgów polskich. Rolę wojewódzkiej sceny narodowej w latach 1945–1989 spełniał *Teatr Śląski*. Również pozostałe były przede wszystkim nośnikami narodowej tożsamości i obywatelskiej wolności, źródłem uniesień i przejawem społecznego trwania w zmaganiach o demokrację i suwerenność, a za sprawą prezentowanych symboli, metafor i aluzji, były w rzeczywistości narzędziem walki o wolność słowa. Ze zmiennym szczęściem też formowały swoje indywidualne oblicza. Do zrównoważonej, wiekowej tradycji mieszczańskiej odwoływał się *Teatr Polski* w Bielsku-Białej. Własną mitologię zagłębiowską kontynuował teatr sosnowiecki. Do przedwojennej tradycji odwoływał się teatr częstochowski. W najtrudniejszej sytuacji znajdował się *Teatr Nowy* w Zabrze, funkcjonujący w wielokulturowym środowisku robotniczym. Wszystkie one realizowały przede wszystkim popularny model teatru repertuarowego, korzystającego ze zdobyczy artystycznych lat międzywojennych i zweryfikowanych osiągnięć repertuarowych, aprobowanych przez władzę i cenzurę. Wszyst-

kie też w warunkach ograniczonej suwerenności politycznej, dzieliły na równi los całego społeczeństwa, odwołując się od początku swojej działalności do aluzji i niedomówień.

Jakie zatem nowe wyróżniki przyniosła nam współczesność?

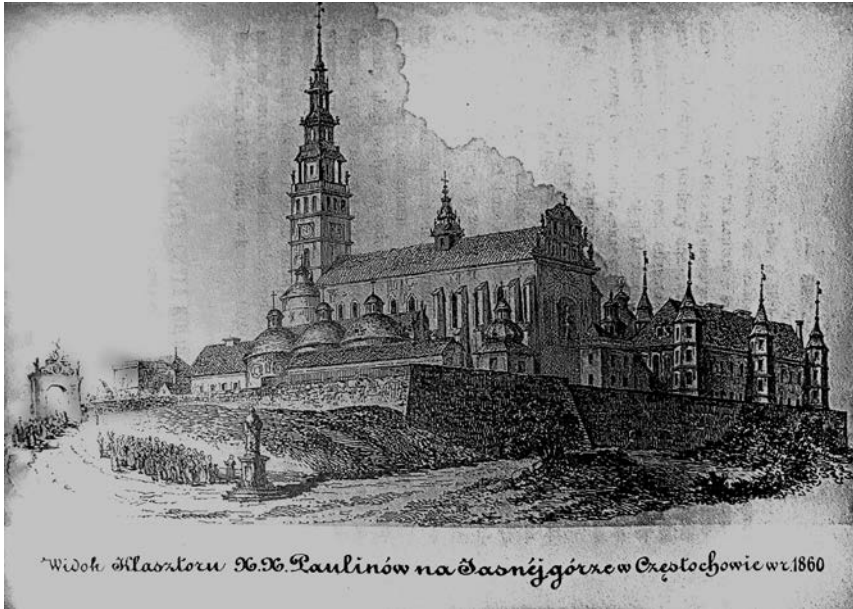
Po pierwsze, w połowie lat dziewięćdziesiątych, w wyniku przemian organizacyjnych, właścicielami teatrów na naszym terenie stały się władze marszałkowskie lub samorządowe. Po drugie, pojawiły się teatry niepubliczne, nazywane także alternatywnymi, komercyjnymi, nieinstytucjonalnymi, niezależnymi, offowymi bądź też prywatnymi. Po trzecie, zachodzące po 1989 r. przeobrażenia w repertuarze ograniczyły udział klasyki i dramaturgii tytejskiej na rzecz współczesności i do głosu doszły ponowoczesne środki wyrazu. I wreszcie po czwarte, zmiany objęły likwidację dotychczasowych ogólnopolskich festiwali teatralnych. W ich miejsce do życia powołane zostały nowe. Poza tym niewiele się zmieniło. Głos teatru, podobnie jak przed laty, tak i współcześnie, nadal momentami z przyczyn politycznych próbuje się ograniczać, a jego sztukę podporządkowywać wybranym celom politycznym. Ale wtedy przestaje on być głosem społecznym i staje się tubą polityczną. Dlatego też tak ważne jest, aby był wolny.

Dziękuję za rozmowę.

Prof. dr hab. Andrzej Linert jest absolwentem Uniwersytetu Śląskiego. Doktoryzował się w 1977 r. w Uniwersytecie Łódzkim pod kierunkiem prof. dra hab. Jerzego Starnawskiego. Od 1998 r. był wykładowcą Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie, gdzie w 1999 r. habilitował się na Wydziale Humanistycznym UJ. Jest badaczem dziejów życia teatralnego Górnego Śląska i Zagłębia Dąbrowskiego, autorem ponad 100 rozpraw i opracowań opublikowanych na łamach wydawnictw i periodyków naukowych oraz kilkunastu książek, w tym m.in. *Teatr Śląski w latach 1945–1949*; *Teatr Śląski im. Stanisława Wyspiańskiego 1949 – 1992*; *Teatr i polityka*; *Rudolf Luszczak 1902–1992*; *Teatr w kręgu Ha-Szacharu*; *Bernard Krawczyk i jego teatry. 55 lat na scenach Górnego Śląska i Zagłębia Dąbrowskiego* (WN „Śląsk” 2008); *Śląskie sezony. Teatr Katowic 1907 – 2012* (WN „Śląsk” 2012); *Teatry górnośląskiego pogranicza. Kartki z historii teatrów Królewskiej Huty i Chorzowa* (WN „Śląsk” 2015); a także *Teatr Polski w Bielsku-Białej w latach 1945–2000* i *Teatr Apollina i jego muz.* W przygotowaniu monografia *Teatr w cieniu huty. Teatr Nowy w Zabrze 1959–2019*.

Jasnogórskie księgi pątnicze

JAN MALICKI



Widok Klasztoru N. N. Paulinów na Jasnej Górze w Częstochowie w r. 1860

Ustroń. Ostatni dzień lata ubiegłego roku. W barze, tuż nad Wisłą, trzech spracowani starsi mężczyźni, pochyleni nad kuflami z piwem, głośno rozmawiają. Przebija się tubalny głos potężnej postury człowieka, który przez dłuższy czas swoimi perorami gnębi drobnego, niezbyt schludnie ubranego mężczy-

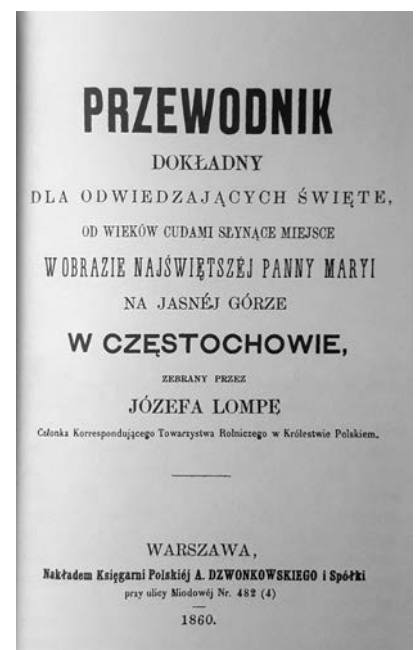
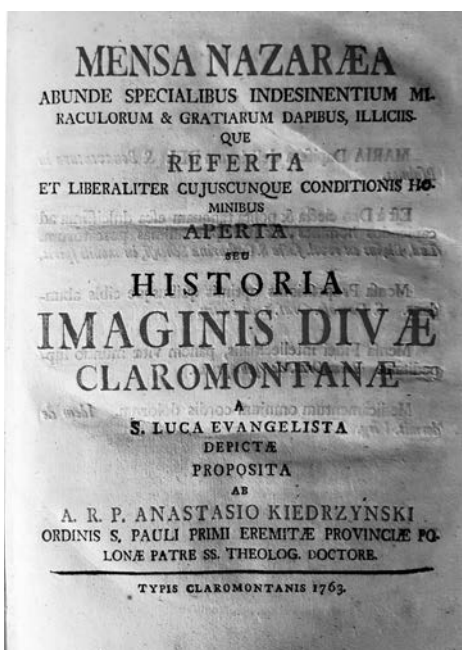
znę. Ten, w czasie monologu współbisiadnika, coraz niżej opuszcza głowę. — No, i co ty z życia masz? Żony nie masz, pracy nie masz, szwendasz się po knajpach. Nieudacznik jesteś.

Cisza. Gnębiony biedak odpowiada: — Ale ja w sierpniu na pielgrzymce byłem. Na Jasnej Górze.

Zwycięski, pełen pychy, okrucieństwa i tryumfu głos gnębiiciela: — I cóż tyś tam widział?

— Skarbiec widziałem — mówi biedak — widziałem też bibliotekę i dwie wystawy. Jedna sławnego malarza, a druga kompozytora.

Rechot obu towarzyszy nieszczęsnika przerywa jego opowieść. Ten pognębiony, zrezygnowany, coraz niżej opuszcza głowę. I wtedy coś we mnie wstąpiło. Wmieszałem się w rozmowę i zacząłem opowiadać o Golgocie jasnogórskiej Jerzego Dudy-Gracza, o Wojciechu Kilarze i wydanej przed laty książce „Na Jasnej Górze odnalazłem wolną Polskę ... i siebie”, ze znakomitymi fotografiami Zdzisława Sowińskiego. O książce, której towarzyszyła płyta z nagraniami NOSPR-u pod dyrekcją Antoniego Wita, z najpiękniejszymi dla mnie utworami Mistrza: Angelus, Exodus, Victoria. Opowiadałem też o dziejach Obrazu, o wielkim i małym Skarbcu, o przeboгатym archiwum ze słynną księgą gości odwiedzających Sanktuarium, a potem wspominanych w publikacjach klasztornych, takich jak np.: Mensa Nazaraea, ojca Anastazego Kiedrzyńskiego z roku 1763. Nie mogłem też pominąć opisu pielgrzymki gliwiczian na Jasną Górę z roku 1627. Roku tragicznego dla wielu śląskich miast. Roku jednego z trzydziestu, jakie przeorały całą chrześcijańską Europę, zacięcie walczącą o prymat i dominację bądź kultury katolickiej nad protestancką, bądź to protestanckiej nad katolicką. Ten niezwykły dokument czasów niewyobrażalnych pogromów przypomniła niedawno Beata Łukarska, niestrudzona badaczka archiwaliów jasnogórskich. 1627. Civitas Gliwicensis in Ducatu Silesiae „Obywatele miasta Gliwic Cesarze Jego Mości na Śląsku tego roku będąc w ob-



łączeniu od żołnierzy Mansffelczyków, którzy przeciwko Jego Cesarskiej Mości płądowali, odejmowali, pustoszyli, gdy już szturmy wielkie i ciężkie od tego żołnierza heretyckiego znosili, albowiem ich było dwanaście tysięcy w kupie, a mieście ledwie tysiąc do boju człeka i bacząc niepodobną do zniesienia ich, uczynili votum do tego miejsca świętego wszyscy w owym obłożeniu, zaczym widziana była Panna Najświętsza nad miastem z rozciągniętym płaszczem, a drudzy powiadają, że i na murach miejskich, co sami ciż heretyki przestrzeżeni od swego czarnoksiężnika ze szeroka ich broni, daremne nasze usiełowanie, wyznawali. Wymalowawszy tedy tego wizerunek na chorągwi, w wielkiej gromadzie oddając obietnicę Najświętszej Panny, a dziękując Panu Bogu za wielkie dobrodziejstwo dnia dzisiejszego stawili się na miejsce święte i nabożeństwo odprawili a pomienioną chorągiew zawieszeli w kościele na pociechę wszystkich nabożnych ku Naświętszej Pannie". (AJG2096). Trudno też byłoby pominąć opis refektarza o siedmiu oknach. Bo przecież zasiadali tu do wspólnego posiłku prymasi, episkopat i sam Jan Paweł II. Z refektarzem łączy się też mityczna wręcz opowieść o ślubie Michała Korybuta Wiśniowieckiego z księżniczką austriacką w roku 1670. Mówiłem też o definitorium, sali obrad kapituły, w której zapadały wszelkie istotne decyzje dla wspólnoty zakonnej, prowincji i samego klasztoru. Sali, pamiętającej czasy „potopu” i o. Augustyna Kordeckiego. Im dłużej mówiłem — a już zapadał mrok — tym bardziej pokorniał gnębiciel, a wyżej podnosił głowę ów nieszczęśnik bez żony i pracy. Umówiliśmy się na kolejne spotkanie za tydzień. Niestety, przybytek piwa i przyjacielskiego dialogu o życiu został zamknięty. Wszak to już chłodna jesień. Trzej komilitonowie wychodzili z baru pogodzeni i zadowoleni. Spotkanie to przypomniło mi książki, które współtworzą wcale bogatą kolekcję pozycji związanych z Jasną Górą, a często nieznanymi lub zapomnianymi. Jedną z nich jest wspomniana wcześniej „Mensa Nazaraea, seu Historia Imaginis Divae Claromontanae” o. Anastazego Kiedrzyńskiego, wydrukowana w 1763 roku, zaś oprawiona w kilku zaledwie egzemplarzach dopiero w roku 1999. Po 236 latach. To najprawdziwszy biały kruk! Oprawiony, a jakże w Bibliotece Śląskiej, kończąc długi proces konserwacji zbiorów jasnogórskich. Zresztą wiele tych pozycji przypomni już w 1860 roku Józef Lompa, autor „Przewodnika dla odwiedzających Święte od wieków cudami słynące miejsce”. Dzieło to już w wieku XIX prawie, a dziś już zupełnie byłoby zapomniane, gdyby nie Bractwo Myśli Bratniej Związku Górnośląskie-

go, szczególnie zaś Katarzyna Wencel i Michał Lubina, którzy doprowadzili do jego reedycji w 2003 roku. Nieprzypadkowo w tym właśnie kontekście przypominałem postać „patriarchy piśmiennictwa polskiego na Śląsku” — „s z k o l n e g o z Lubszy”. Szanowanego swego czasu nauczyciela — dokumentalisty, uznanego za autorytet przez środowiska naukowe Poznań, Krakowa czy Warszawy.

Dziś niemal ze wstydem wspominanego. Tłumacza i pisarza tworzącego „dla ludu polspolitego”. Górnołotnie można rzec, iż przywracał godność kultury i językowi lokalnemu oraz władającym nim ludziom, wzbogacając XIX-wieczne „dziś”, polsko-lokalną przeszłością historyczną owego „wczoraj i dawniej”. To powodowało radykalne zmiany wektorów wzajemnych relacji między mieszkańcami Górnego Śląska. Pisał o tym w *Liście do redaktora* opublikowanym w numerze 18 „Dziennika Górnośląskiego”:

„Przypominaj, Panie, ziomkom Twoim i moim, że będąc Prusakami są zrazem Polakami i Słowianami, że powinni kształcić i gładzić swój język macierzysty. Dlatego trzeba podawać wiadomości historyczne Śląska o jego przeszłości i terażniejszości...”

Poszedł jeszcze dalej. Postawił pytanie fundamentalne w swojej wymowie: „A my Szlązacy, jakoż o sobie pamiętamy, czegoż chcemy? Czy żeby tabaka (tytuń) złączniała? Oh, dla wolności musimy chcieć więcej”. Tego już mu nie wybaczone. To mocno zabolowało przeciwników. I tak, jak dzisiaj, tak i wtedy dla jego unicestwienia posłużono się pomówieniami, prowokacją, spiskiem i zdradą. Zawieść, zazdrość, nienawiść zniszczyła autorytet tego człowieka. Pisał o tym w liście do swego praskiego przyjaciela, a powtórzył w autobiografii opublikowanej w 1855 roku w „Gwiazdce Cieszyńskiej”: „Ponieważ bowiem figurowałem przez jakiś czas jako redaktor Dziennika Górnośląskiego „oskarżyli mnie niegodziwie

*Panu Prusakom i Małickiemu
serdecznie wyrażam poważanie
Agciew
Katorzice 1 28.XI.2003*

moi przeciwnicy, ...asystowali głównie duchowni dostojnicy”. Warszawscy dziennikarze już dawno wiedzieli o skrajnie tragicznym losie człowieka, który ośmielił stanąć w obronie godności Ślązaków. Dwa lata wcześniej jeden z nich pisał: „głód i zimno, to ultimata, które niejedną kwestyję w nader szybki i w gładki sposób rozwiązują”. W tym koszmarnym dla siebie i rodziny czasie Józef Lompa pisze „Przewodnik dokładny” po Jasnej Górze. Nie dostrzegłem w nim śladu dramatu człowieka zdeptanego. Z godnością i precyzją opisuje najważniejsze i konieczne do obejrzenia miejsca, cytuje w całości pieśni i modlitwy, w tym również „Pod Twoją obronę”, a całość kończy „Dodatkami dla tych, co od Warszawy przez Gidle na Jasną Górą przychodzą”. Swoją przewodnik zaczął pisać jeszcze w 1859 roku. 26 stycznia następnego roku tknięty apopleksją musiał na czas jakiś przerwać pracę. Jeszcze w kwietniu dołącza informację o beatyfikacji Jana Sarkandra, jezuitę męczzonego kołem i zabitego w Ołomuńcu w czasie wojny trzydziestoletniej. Całość ukazuje się w lipcu 1860 roku. Przed wyruszeniem pielgrzymki warszawskiej. Trzy lata później w biedzie, ubóstwie i w skrajnym upokorzeniu Lompa zmarł, wciąż czekając na mityczny spadek zapisany mu w Odessie. ■



NOTATNIK KULTURALNY

Redagują:
Anna Gaitoer
Joanna Kotkowska

Światła wielkich miast

CZĘSTOCHOWA. 12 lipca w OPK Gaude Mater w ramach literackiego piątku, wpisującego się w wakacyjny program kulturalny miasta *Aleje – tu się dzieje!*, odbyło się spotkanie z Jakubem Żulczykiem i Krzysztofem Skoniecznym, autorami scenariusza *Ślepnięc od światel*, nakręconym dla HBO na podstawie prozy Żulczyka.



Rozmowę moderował Robert Jasiak, dyrektor ośrodka. Goście opowiadali o pracy na poszczególnych etapach, nad powieścią, nad scenariuszem, a także o współpracy z Izabelą Łopuch. Zastanawiali się nad rolą języka i muzyki w kształtowaniu świata literackiego, a potem serialowego, wreszcie nad rozwiązaniami filmowymi, master shotami czy ścieżką muzyczną zaprojektowaną przez Skoniecznego. Żulczyk zwracał uwagę na różnice w pracy powieściopisarza i scenarzysty, dzielił się spostrzeżeniami na temat prawdopodobieństwa, które nie oznacza przecież przepisywania rzeczywistości, wspomnieniami z pracy nad adaptacją. Powieściopisarz uchwycił groźbę współczesności, strach przed nieuniknionym, a przecież jednak zależnym od wyborów człowieka. Światła wielkiego miasta potrafią oślepić. Przyciągają młodych, zapowiadając lepsze i dostać im życie. Książka nie daje nadziei, zatrzymuje się przed moralizatorstwem, ale to właśnie w tradycyjnych wartościach należałoby szukać siły przeciwko urokowi nocnych światel.

Spotkanie koncentrowało się wokół powieści i serialu. Pierwszy odcinek wyemitowano w październiku 2018 roku, książka weszła na rynek w 2014 roku. Praca nad scenariuszem trwała półtora roku, film powstawał cztery lata. Ale rozmowa po-

twierdziła siłę oddziaływania obu dzieł. W czasie spotkania słychać było rytm i dźwięki z placu Biegańskiego. Centrum miasta rozpoznało kolejny letni weekend.

Teatralna alternatywa na placu Biegańskiego

CZĘSTOCHOWA. W tym roku w ramach akcji *Aleje – tu się dzieje!* w co drugi czwartek na scenie między Ratuszem a Odwachem można oglądać występy teatrów mniej lub bardziej alternatywnych. Czasami jest beztroško, a czasami wulgarnie i skandalicznie. Tak mieszkańcy miasta spotykają się z nieco inną odmianą teatru.

Artyści alternatywni często mówią rzeczy niewygodne w sposób szokujący odbiorcę, by zmusić go do reakcji – choćby było nią przemyślenie chaosu scenicznego. To spektakle, których autorzy mają odwagę stworzyć sytuację nieprzyjemną i niewygodną. Atakują więc to, co dla widzów zdaje się najważniejsze, ponieważ celem jest pozbawienie ich poczucia bezpieczeństwa. Dobrem pożądanym jest także odczucie niechęci, jeśli towarzyszy mu pytanie o powody odrzucenia. Taka reakcja może nawet jest cenniejsza niż śmiech, będący próbą wpisania spektaklu w uznany styl odbioru i rozbrojenia jego potencjału anarchicznego.

11 lipca na zaproszenie Wojtka Kowalskiego wystąpił Teatr Terminus a Quo z Nowej Soli Edwarda Gramonta działający od ponad czterdziestu lat, wielokrotny gość Teatru from Poland. Przedstawił spektakl *Zabawa w czekanie na zabawę* grany już w naszym mieście w 2008 roku podczas III Ogólnopolskiego Festiwalu Teatrów Ogródkowych.

Urok dawnych przebojów

CZĘSTOCHOWA. O tym, że lubimy to, co znamy, przypomniła 6 lipca kolejna odsłona festiwalu Retro. Pomysłodawcą wydarzenia jest Wojciech Broda Turbiarz, założyciel Makabundy, odpowiedzialnej za nowe aranżacje piosenek. W tym roku repertuar nie pochodził jednak z międzywojnia, ale z lat nieco późniejszych. Koncertom towarzyszyły dodatkowe atrakcje: szrudlarze, bicyle oraz fotobudka.

Wystąpili: Kapela Czerniakowska, Nicola Palladini w programie *Ciao, ciao Bambina*, a koncert główny *Zaczarowany koń. Piosenki z lat pięćdziesiątych* wykonali goście i aktorzy Teatru im. Adama Mickiewicza w Częstochowie. Scenariusz przygotował Robert Dorosławski i on zajął się również reżyserią koncertu. Dziewiętnaście piosenek, wśród nich m.in. *Pamiętasz, była jesień, Kasztany, Kaziu, zakochaj się, Kuba – wyspa jak wulkan gorąca, Serduszko puka czy Karuzela*, częstochowianie usłyszeli w wykonaniu Artura Barcisia, który poprowadził koncert, prezentując także napisany specjalnie na tę okazję wierszyk, Renaty Przemyk, Hanny Śleszyńskiej, Olgi Bończyk, a także Iwony Chołuj, Marty Honzatko, Waldemara Cudzika, Macieja Półtoraka i Antoniego Rota. Frekwencja oraz reakcje publiczności dowodzą, że był to udany wieczór.

Pamięć o Stefanie Chabrowskim

CZĘSTOCHOWA. W Pawilonie Wystawowym Muzeum Częstochowskiego w lipcu wciąż można było oglądać prace zmarłego pięć lat temu częstochowianina, Stefana Chabrowskiego. Artysta uprawiał malarstwo, pastele, akwarelę, grafikę. W latach 1974–1977 i 1980–1983 przewodniczył częstochowskiemu oddziałowi ZPAP. Był także rzecznikiem współczesnej grafiki warsztatowej.

Artysta został zaprezentowany przez organizatorów jako znakomity pejzażysta, kontynuator impresjonistów oraz XIX-wiecznej szkoły monachijskiej. Na obrazach dominowało

niebo wypełnione chmurami i grą światła, woda, lasy, parki i ogrody. Można było zobaczyć drzewa najbardziej kojarzące się z polskim krajobrazem – wierzy i brzozy, pola z kopami żętego zboża, kwitnący rzepak oraz zasadzone po horyzont mieczyki. Obok dominujących liczebnie nastrojowych pejzaży pokazano też martwe natury oraz portrety, między innymi żony artysty – Romy.

Prace pokazane na wystawie pochodziły ze zbiorów Muzeum Archeologiczno-Historycznego w Głogowie, Muzeum Ziemi Lubuskiej w Zielonej Górze, Muzeum Śląskiego w Katowicach, Muzeum Okręgowego w Lesznie oraz Muzeum Częstochowskiego.

Szukanie drogi powrotnej

CZĘSTOCHOWA. Do końca czerwca w Sali Poplenerowej, Antresoli i Sali Gobelinowej Miejskiej Galerii Sztuki można było oglądać ekspozycję *Wygłani z raju. Majka/Strelnik*, na którą złożyły się prace polskich artystów mieszkających w Paryżu.

Cykl Artura Majki *Schody do nieba* wyrażał pragnienie, by wspiąć się jak najwyżej. Zamiast wieży Babel posługiwał się jednak raczej drabiną Jakubową, pozbawioną zarówno obecności aniołów, jak i Boga u szczytu. Być może taka wizja sprawia, że człowiek na tych obrazach jest uproszczony, jakby odarty z indywidualności, a jednak silnie zanurzony w świecie, z którym nieustannie się konfrontuje.

Natomiast prace Piotra Strelnika wywoływały wrażenie świata po katastrofie. Na ścianach zaprezentowano wielkoformatowe prace z serii *M. – For me*, a na ściankach tworzących alejkę cykl prezentujący katedrę Notre-Dame w Paryżu, będącą nie tylko chrześcijańskim sercem średniowiecznej Europy, ale także gotyckim wyobrażeniem człowieka modlącego się i wspinającego się ku niebu. Zarys katedry zdawał się zawierać inne budowle kojarzące się z cywilizacją.

CZĘSTOCHOWA. Krótko

* wystawiali: Wejściówka – Małwina Cieślík; OPK Gaude Mater – Joanna Ambroz, Agata Lankamer; galeria Iron Oxide – Monstfur;

* zagrali: Aleje – Fedkowicz Duo, Ludożercy z Innej Wsi; plac Biegańskiego: Papa D., Maciej „Święty” Jankowski;

* w ramach akcji *Aleje – tu się dzieje!* odbyły się również spotkania z fotograficzką Katarzyną Widmańską, podróżnikiem Piotrem Hercogiem, literatami – Witem Szostakiem i Łukaszem Orbitowskim oraz warsztaty ilustratorskie z Danielem de Latourem.

Święto Wojska Polskiego — pierwszy raz w Katowicach!

KATOWICE. W kościele garnizonowym w Katowicach odprawiona została msza św. w intencji Ojczyzny oraz żołnierzy i powstańców śląskich. Mszy przewodniczył biskup połowy Wojska Polskiego **gen. bryg. Józef Guzdek**. W uroczystości wziął udział prezydent Andrzej Duda, marszałkowie sejmu i senatu, premier Mateusz Morawiecki, minister obrony narodowej, członkowie rządu, a także parlamentarzyści, władze wojewódzkie i samorządowe, generałowie, żołnierze i kombataneci. Zaproszeni byli też mieszkańcy Katowic i całego województwa.

Katowice 15 sierpnia były gospodarzem Święta Wojska Polskiego. Uroczysta defilada „Wierni Polsce”, która była głównym punktem obchodów Święta, przeszła ulicami Katowic dla upamiętnienia 100. rocznicy wybuchu Powstań Śląskich. W defiladzie wzięło udział 2600 żołnierzy, 185 jednostek sprzętu wojskowego oraz 60 statków powietrznych.

Defiladzie towarzyszył piknik wojskowy, na terenie Strefy Kultury w godzinach od 15.00 do 22.00 oraz uroczyste wręczenie odznaczeń. W defiladzie wzięły także udział pododdziały uczelni wojskowych: Wojskowej Akademii Technicznej, Akademii Marynarki Wojennej, Akademii Wojsk Lądowych i Lotniczej Akademii Wojskowej, a także formacje proobronne i klasy mundurowe. Obok żołnierzy Wojska Polskiego defilowali żołnierze wojsk sojusznicy na co dzień stacjonujący w Polsce, a więc żołnierze Stanów Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii, Rumunii i Chorwacji. Minister Obrony Narodowej Mariusz Błaszczak zaprosił do udziału w defiladzie także górników. Do Katowic, na obchody Święta Wojska Polskiego, przybyli m.in. prezydent Andrzej Duda, premier Mateusz Morawiecki, posłowie i senatorowie, przedstawiciele środowisk kombatanckich. Na ulicach miasta pojawił się najnowocześniejszy sprzęt, jakim dysponują Siły Zbrojne RP m.in.: czołgi Leopard 2, kołowe transportery opancerzone Rosomak, samochody ciężarowo-osobowe HMM WV, wyrzutnie raketowe WR-40 Langusta, samobieżne armatohaubice Krab i Dana, moździerz samobieżne Rak, zautomatyzowane wozy dowodzenia Łowcza, pojazdy saperskie Topola, samobieżny przeciwlotniczy zestaw raketowy Poprad, pojazdy Ford 550 z rampą szturmową oraz opancerzone pojazdy M-ATV MRAP, które wykorzystują żołnierze m.in. podczas misji w Afganistanie oraz wiele innych. Podniebną defiladę rozpoczął tradycyjnie przelot Zespołu Akrobacyjnego „Biało-Czerwone Iskry” w składzie siedmiu maszyn, następnie myśliwce F-16, samoloty TS-11 Iskra, M-28 Bryza, C-295M, C-130, M-346 oraz śmigłowce Mi-2, W-3 Sokół, Mi-17 i Mi-8, samoloty przeznaczone do transportu najważniejszych osób w państwie: G550 oraz B737, które przeleciały w eskorcie myśliwców.

W dziewiętnastym roczku...

KATOWICE. 11 sierpnia w Archikatedrze Chrystusa Króla w Katowicach odbyło się widowisko historyczno-muzyczne pt. „W dziewiętnastym roczku, w tym wielkim powstaniu...” z okazji setnej rocznicy Pierwszego Powstania Śląskiego. W wydarzeniu wzięły udział m.in. premier Mateusz Morawiecki, Zarząd Województwa reprezentowała Beata Białowąs, spektakl objął patronatem honorowym metropolita katowicki abp Wiktor Skworec. Znani polscy aktorzy — Olgierd Łukaszewicz, Sonia Bohosiewicz, Anna Guzik i Sambor Czarnota, odczytali fragmenty wspomnień uczestników powstania, a także ich potomków. Historyczne teksty oraz wspomnienia powstańców przeplatane były pieśniami z tamtego okresu m.in. „Kajze mi sie podziół”, „Wojenko, wojenko”, „Powstańco, naprzód, hej w szeregi”, „Już zachodzi czerwone słońce”, czy „Do Bytomskich Strzelców”, we współczesnych aranżacjach Kasi Moś i Stanisława Soyki oraz utworami w wykonaniu rapera Arkadia. Artystom towarzyszyła Orkiestra Kameralna AUKSO pod dyrekcją Marka Mosia, Górnicza Orkiestra Dęta Kopalni Mysłowice-Wesoła oraz Żeńska Orkiestra Salonowa Polskiej Grupy Górniczej, a także Chór Filharmonii Śląskiej i Harcerski Zespół Artystyczny „Słońce”. Reżyserem spektaklu jest pochodzący z Chorzowa Ingmar Villqist, a autorem scenariusza — Joanna Zajac.

Multimedialna lekcja historii

KATOWICE. Budynek Sejmu Śląskiego w Katowicach ożył dzięki niezwyklej iluminacji przygotowanej przez grupę Tauron i wojewodę śląskiego. W ten sposób rozpoczęły się w stolicy regionu obchody setnej rocznicy wybuchu Powstań Śląskich, jak i powrotu części Górnego Śląska do Polski.

Tauron rozświetlił budynek Sejmu Śląskiego już po raz trzeci. Po Alchemii Światła i efektownych iluminacjach niepodległościowych, tym razem projekcja dotyczyła rocznicy



Powstań Śląskich. Projekcje zostały wyświetlone z pomocą najnowocześniejszych projektorów multimedialnych o łącznej mocy 200 tysięcy lumenów. Iluminacja oraz inne atrakcje przygotowane dla mieszkańców regionu to była przyjemna i nowoczesna lekcja historii.

Pamiątkowa tablica upamiętniająca wybuch I Powstania Śląskiego

MYSŁOWICE-WESOŁA. Pamiątkową tablicę upamiętniającą powstańców śląskich odsłonięto w centrum Mysłowic, w pobliżu dawnej kopalni Mysłowice. 100 lat temu masakra górników i ich rodzin przed tym zakładem stała się impulsem do wybuchu I Powstania Śląskiego.

Listy do uczestników uroczystości skierowali prezydent RP Andrzej Duda oraz premier Mateusz Morawiecki. Prezydent przekazał mieszkańcom Mysłowic w darze flagę RP.

Obchodzimy Rok Powstań Śląskich ustanowiony uchwałą Sejmu RP. To ważny jubileusz dla regionu i całego naszego kraju, Powstania Śląskie należą bowiem do najważniejszych kart w dziejach naszego narodu. (...) Mieszkańcy Śląska chwycili za broń i jednoznacznie opowiedzieli się za polskością, ona przetrwała w ich sercach przez lata przymusowej germanizacji. Przynależność do Polski była ich wolnym i suwerennym wyborem. Mieszkańcy Śląska dali wyraz prawdziwego patriotyzmu, który do dziś pozostaje dla nas wzorem — napisał z kolei do mieszkańców miasta premier Mateusz Morawiecki. Jego list odczytał wojewoda śląski Jarosław Wierczok.

— Powstańcom śląskim w setną rocznicę wybuchu I Powstania Śląskiego — mieszkańcy województwa śląskiego — głosi napis na tablicy, którą odsłoniли wspólnie m.in. prezydent miasta Dariusz Wójtowicz, marszałek woj. śląskiego Jakub Chelstowski oraz przewodniczący zarządu Górnośląsko-Zagłębiowskiej Metropolii Kazimierz Karolczak.

— Stoimy w bardzo ważnym miejscu, nie tylko dla naszego miasta i regionu, ale i dla całej Europy. Równy 100 lat temu tutaj zaczęło się Powstanie Śląskie. Górnicy i ich rodziny przyszli po wypłatę. Skończyło się to masakrą, która dała początek Powstaniu Śląskiemu. Jako gospodarz miasta czuję się odpowiedzialny za pamięć poległych powstańców, dlatego powstała strefa pamięci, która ma upamiętniać te zdarzenia — oświadczył prezydent Mysłowic Dariusz Wójtowicz.

Znaczek pocztowy upamiętniający Henryka Sławika

KATOWICE. W Urzędzie Pocztowym nr 1 w Katowicach zaprezentowano znaczek pocztowy upamiętniający Henryka Sławika — bohatera uhonorowanego tytułem „Sprawiedliwy wśród Narodów Świata” i odznaczonego Orderem Orła Białego przez Prezydenta RP Lecha Kaczyńskiego. Do obiegu znaczków wprowadziła Poczta Polska SA „Niezmiernie cieszę się, że wizerunek bohatera trzech narodów — Henryka Sławika — jednego z najbardziej zasłużonych dla ratowania Żydów w czasie Holokaustu Polaków dzięki Poczcie Polskiej trafi do miliona, a może z czasem kilku mi-

lionów odbiorców. Jest to tym bardziej cenne, ponieważ jak dotąd sylwetka Henryka Sławika nie jest powszechnie znana tak, jak na to zasługuje” – powiedział Łukasz Kobiela inicjator powstania znaczka poświęconego postaci Henryka Sławika. Uroczystości towarzyszyła wystawa „Tak płaci Polska – Henryk Sławik” autorstwa Łukasza Kobieli i dr Tomasza Kurpiera z Oddziału IPN w Katowicach. Henryk Sławik urodził się 15.07.1894 r. w Szerokiej – obecnie dzielnicy Jastrzębia-Zdroju. Za działalność w okresie powstań śląskich i plebiscytu odznaczony Krzyżem na Śląskiej Wstędze Waleczności i Zasługi oraz Krzyżem Niepodległości. Od 1920 r. współpracował z „Gazetą Robotniczą” początkowo jako dziennikarz, następnie pełnił funkcję wydawcy i redaktora naczelnego. Był członkiem Polskiej Partii Socjalistycznej. Po wybuchu II wojny światowej Sławik przedostał się na Węgry. Przebywając w obozie dla uchodźców zetknął się z Józsefem Antallem – komisarzem rządowym do spraw uchodźczych, dzięki któremu objął funkcję prezesa Komitetu Obywatelskiego dla Spraw Opieki nad Polskimi Uchodźcami na Węgrzech. W latach 1940–1944 Sławikowi i Antallowi udało się uratować co najmniej 5 tys. polskich Żydów. Aresztowany przez Gestapo w lipcu 1944 r. Henryk Sławik został powieszony 23.08.1944 r. w niemieckim obozie koncentracyjnym Mauthausen-Gusen, został w 1990 r. uhonorowany tytułem Sprawiedliwego wśród Narodów Świata, a w 2010 r. Prezydent RP Lech Kaczyński odznaczył go pośmiertnie Orderem Orła Białego. Dla uczczenia zasług Henryka Sławika Sejmik Województwa Śląskiego zdecydował o ogłoszeniu roku 2014 Rokiem Henryka Sławika, w 120. rocznicę urodzin i 70. rocznicę jego śmierci.

Razem dla Parku Śląskiego

KATOWICE. W Parku Śląskim we współpracy z Generalną Dyрекcją Lasów Państwowych, Stadionem Śląskim, Śląskim ZOO, Górnośląskim Parkiem Etnograficznym i Górnośląskim Przedsiębiorstwem Wodociągów zorganizowana została ekologiczno-edukacyjna akcja sadzenia 1327 drzew. Inicjatywa marszałka Jakuba Chełstowskiego była odpowiedzią na planowaną wycinkę drzew w sąsiedztwie Parku Śląskiego. W celu ochrony Parku Marszałek powołał Radę Społeczną ds. Parku Śląskiego, która jest organem opiniodawczo-doradczym działającym przy marszałku województwa. Do jej zadań należy rozpoznawanie potrzeb i doradzanie działań rozwojowych Parku, opiniowanie i wspieranie inicjatyw realizowanych na obszarze Parku oraz organizowanie płaszczyzny współpracy i wymiany doświadczeń pomiędzy podmiotami działającymi na rzecz wzmocnienia oferty edukacyjnej, sportowej i rozrywkowej Parku. Do szerokiej dyskusji w ramach Okrągłego Stołu dla Parku Śląskiego wszystkich zainteresowanych losami Parku. Drzewa w ramach akcji sadzili również poseł na Sejm RP Maria Nowak, radni Sejmiku Województwa Śląskiego, społecznicy, harcerze, przedstawiciele Lasów Państwowych, Nadleśnictwa Katowice, Nadleśnictwa Kobiór i Nadleśnictwa Rudy Raciborskie. Drzewa zostały zasadzone przy Alejach Harcerskich, Alei Klonowej, Gwiazd, Spacerowej i Sportowej. Wielu zainteresowanych mieszkańców i odwiedzających park uczestniczyło w sadzeniu nowych gatunków drzew.

Tragiczna śmierć młodego kolarza.

KATOWICE. Podczas III etapu wyścigu Tour de Pologne w wyniku nieszczęśliwego wypadku zginął tragiczną śmiercią kolarz Bjorg Lambrecht.

Letnia Szkoła Czytania Poezji

KATOWICE. Dzięki otrzymaniu dofinansowania z Narodowego Centrum Kultury, udzielonego Bibliotece Miejskiej w Katowicach w ramach programu Kultura — Interwencje 2019, podczas tegorocznych wakacji zorganizowano **Letnią Szkołę Czytania Poezji**. W jej ramach odbyły się cztery spotkania z poezją. Uczestnicy wspólnie czytali dzieła bardziej i mniej znane, wysłuchali wypowiedzi uznanych twórców, przypomnieli sobie czym jest poezja śpiewana oraz poznali sylwetki tych, którzy poprzez swoją twórczość przyczynili się do budowania w Polakach kulturowej i historycznej tożsamości. Zrealizowano następujące wydarzenia: *Znak Niepokoju* — koncert poezji śpiewanej Grzegorza Paczkowskiego, *Serce Chopina* — spotkanie z poetą, pisarzem i tłumaczem Jackiem Dehnelem, **spotkanie z Wojciechem Bonowiczem** — poetą, publicystą, autorem wywiadów-rzek, muzycznopopetyckie spotkanie z Wiesławem Ciecieręgą, bytomskim poetą i pieśniarzem.

Międzyszkolny Konkurs Literacki

SOSNOWIEC. Międzyszkolny Konkurs Literacki dla uczniów szkół podstawowych województwa śląskiego w roku szkolnym 2019/2020 zatytułowany „*List do ulubionego bohatera literackiego*” zorganizował Zespół Szkół Ogólnokształcących nr 11 w Sosnowcu. Koordynatorem konkursu jest dr Marzena Forma (marzenaforma@tlen.pl). Uczestnikami konkursu mogą być uczniowie klas VI – VIII. Przedmiotem konkursu jest praca pisemna, mająca formę listu. Maksymalna objętość prac do 2 stron formatu A4, nieprzekraczalny termin składania prac: **15 grudnia 2019.**

Dzień z twórczością Zofii Kossak

WIŚLA. Miejska Biblioteka Publiczna w Wiśle zorganizowała Dzień z twórczością Zofii Kossak. Zwiedzanie wystawy, spacer literacki i spotkanie z dr Joanną Jurgałą-Jureczką, autorką biografii pisarki, które to imprezy odbyły się w związku ze 130. rocznicą urodzin Zofii Kossak, która przypadła w dniu 10 sierpnia.

Tę ważną dla regionu rocznicę biblioteka podkreśla od kilku miesięcy: w maju w warsztacie metodycznym wzięli udział wiślańscy nauczyciele, a Teatr „Gry i Ludzie” wystawił przedstawienie dla dzieci „*Kłopoty Kacperka górreckiego skrzata*”. W lipcu Letnia Akademia Zabawy także pracowała nad tekstem tej pięknej baśni Zofii Kossak, a uczestnicy udali się na wycieczkę do dworu Kossaków w Górkach Wielkich, gdzie wzięli udział w grze terenowej. Od lipca do początku sierpnia w bibliotece oglądać było można wystawę pt. „*Bezcenne dziedzictwo. Zofia Kossak 1889-1968*” przygotowaną przez Fundację Zofii Kossak i Senat RP w ubiegłym roku w związku z 50. rocznicą śmierci pisarki.

Tuż przed rocznicą uczestnicy spaceru literackiego „*Śladami Zofii Kossak przez Wisłę*” zapoznali się z wystawą i wyruszyli w teren. Wycieczka doszła aż na Jarzębatą odwiedzając po drodze miejsca, w których bywała pisarka. Można było posłuchać o tym, co robił w Wiśle i Górkach Wielkich sam Witkacy, czemu wybuchła polemika pomiędzy Zofią Kossak a Janem Izydorem Sztudyngem i kogo odwiedzała pisarka na Jarzębatej. Co sądziła o przeszłości Wisły wynikało z odczytanych fragmentów jej prozy i publicystyki.

Odbyło się także spotkanie z dr Joanną Jurgałą-Jureczką, autorką opowieści biograficznej o Zofii Kossak i szeregu książek o rodzinie Kossaków.

Ciało, historia, tożsamość

RADOSŁAW KOBIERSKI

Twórcy 25. Festiwalu Sztuk Performatywnych A Part nie zaznaczyli w żaden sposób tego jubileuszu. Postanowili po prostu zrobić swoje

Nie było żadnych hucznych obchodów i ceremonii. Ani specjalnych pokazów dla publiczności, chyba że za taki uznać międzynarodowy spektakl „Ostatnie dni ludzkości”. Teatr A Part działał już w kooperatywie m.in. z Theaterlabor Bielefeld przy „Scenach z Wielkiej Wojny”, ale nigdy na taką skalę. Dwudziesty piąty rok festiwalu sztuk performatywnych powinien być szczególnie zaznaczony na mapie tegorocznych wydarzeń, zyskać jakąś jubileuszową oprawę, bo to wydarzenie szczególnie nie tylko na Śląsku, ale również w przestrzeni ogólnokrajowej. Dla przykładu: sopockie Dwa Teatry liczą 18 lat, toruński Bulwar – 14, Innowica – 11, gdańska Feta – 22. Tylko poznańska Malta może pochwalić się lepszym wynikiem – działa nieprzerwanie od 1991 roku. Więc jest się czym chwalić. Ale doceniam to, że twórcy tego

festiwalu postanowili po prostu zrobić swoje. Jak co roku. Skupić się na występach i organizacji, zamiast tracić energię na promocje i fajerwerki.

W kwestii podsumowań: w 2019 roku podczas XXV edycji FSP wzięliśmy udział w dziewiętnastu wydarzeniach, wśród których znakomitą większość stanowiły oczywiście spektakle — plenerowe jak i kameralne — występy performatywne, ale też warsztaty (prezentacje metody twórczej), dwa koncerty The Tiger Lillies (inauguracja festiwalu i występ w ramach „Ostatnich dni ludzkości”) i afterparty. Jeśli do tej ilości dodać powtórki — kluczowe dla tegorocznego rozdania „Ostatnie dni ludzkości”, „Biotop” United Cowboys, i spektakl dla jednego widza, „Projekt Dante” Teatru A Part — otrzymamy zaiste imponujący wynik.

6 czerwca wszyscy byliśmy nowi i pełni energii. Dziesięć dni później większość z nas, organizatorów i aktorów czy twórców Gazety Festiwalowej wykazywała oznaki skrajnego wyczerpania. Któż jednak zaprzeczy, że było warto?

Ze śmietnika historii

Do tradycji FSP należą inauguracyjne koncerty, które odbywają się w kinoteatrze Rialto. Po świetnych występach Vladimirskej, Drekotów, Sutari, Ivy Bittovej w latach ubiegłych, tym razem na scenie wystąpił kultowy, postbrechtowski kabaret The Tiger Lillies. Tak się składa, że zespół Martyna Jacquesa również obchodzi w tym roku swój jubileusz. Po 30 latach od pierwszych praskich koncertów The Tiger Lillies swoim symfonicznym albumem „Devil’s Fairground” wrócili do tych pierwszych doświadczeń, do postsowieckiego półświatka, czeskich freaków, do tego całego Anus Mundi, śmietnika historii, z którego tak umiejętnie i dyskretnie czerpie również Teatr A Part w wielu swoich spektaklach.

Zaden koncert inauguracyjny, który jestem w stanie sobie przypomnieć, tak doskonale nie współgrał i nie przylegał do stylistyki i strategii teatru Marcina Hericha. A nie było to, jak



już wspomniałem, wydarzenie jednorazowe – Martyn Jacques, Adrian Stout i Jonas Golland wystąpili jeszcze dwukrotnie z „Ostatnimi dniami ludzkości”. Bez tej muzyki i aury, którą zespół stworzył, spektakl straciłby nie tylko pole interpretacyjne, ale być może nawet uzasadnienie.

Żonglowanie żonglerem

Nie wiem, czy pamiętają Państwo postać słynnego nowojorskiego artysty Jeana Michela Basquiata. Ten ulubieniec Warhola (bohater powieści Lecha Majewskiego i filmu Juliana Schnabela), abstrakcjonista i artysta uliczny, który ledwo przekroczył granicę słynnego Klubu 27 (przedawkował narkotyki w 28. roku życia) był autorem słynnego graffiti „Zbuduj fortecę, a potem ją spal”. Od początku pierwszego festiwalowego spektaklu Stefana Singa myślałem, że to hasło powinno być mottem jego „Entropii”.

Co robi żongler, taki jak Stefan Sing, w teatrze? Odpowiedź jest krótka: żongluje piłkami. Jest bardzo prawdopodobne, że kuglarze pojawili się przed aktorami, że to oni założyli teatr na długo przed Grekami. Kuglarze byli w ciągłym ruchu, byli specjalistami od monodramów i noma-dycznego minimalizmu. Jeśli w tych najwcześniejszych czasach teatru ich występy przypominały działania Singa, wydaje się naturalne, że z czasem przekształciły się w formy „scenicznego” ruchu (który odkopał Grotowski), i finalnie – w występy oratorskie, które na przestrzeni wieków zdominowały sceny teatralne: i te wędrowne, i te instytucjonalne.

O Stefanu Singu ktoś napisał niezwykle celnie: żongluje i jest żonglowany. Wydaje mi się, że – w zgodzie z drugim prawem termodynamiki, a to do niej wszak odnosi się tytuł spektaklu – to drugie zdobywa przewagę. Aktor (tak!) i żongler robi, co może, żeby zatrzymać wpływ entropii, angażuje do tego ogromną energię, jest uważny i skoncentrowany, jego ciało momentami jest bliskie antycznej doskonałości i harmonii we współpracy z niełatwym zadaniem (i rekwizytem, który uparcie odmawia posłuszeństwa), ale oczywiście przegrywa, ponieważ w świecie (i w kosmosie) działają siły silniejsze od niego, a jedną z nich jest czas. W czasie, jak wiemy, entropia postępuje, cokolwiek ma się wydarzyć, wydarzy się, nawet jeśli będziemy się starali powstrzymać chaos. Wspomniałem te momenty w spektaklu, kiedy coś się nie udaje, coś wyrywa się planom i wysiłkom żonglera, COŚ rozbiera jego umiejętności, rozsądza kompozycję. I tu już nie ma mowy o harmonii. Ciało reaguje chaotycznie, lękowo, na siłę próbuje

ratować sytuację i zatrzymać zbliżającą się katastrofę. Ogromną radość sprawił mi również finał „Entropii”. Był to być może najbardziej estetyczny wizualnie moment całego spektaklu, wariacja na temat „Stworzenia” Williama Blake’a. Moment, w którym obraz przegranej ujawnił się w całej okazałości. I tak, owszem – Basquiat w swoim słynnym graffiti zakładał intencjonalność (dzisiaj zobaczylibyśmy w tym geście esencję i ducha Zen), Stefan Sing opisuje natomiast rzeczywistość, na którą wola ludzka nie ma żadnego wpływu. Ale już to, w jaki sposób opowieść o owym braku wpływu jest przedstawiana, to całe misterne budowanie obrazu po to, żeby go za chwilę zburzyć, zdaje się być całkiem równoległe wobec myśli nowojorskiego artysty.

Obrazy znikają

Od razu z kameralnego perfromance’u solo zostajemy wrzuceni na głębokie, sceniczne i historyczne wody. Obrazy znikają. Bilder verschwinden. Les images disparaissent. Зображення зникають. To jest na tyle istotna kwestia, żeby ją powtórzyć w kilku językach. Słyszymy ją w finale spektaklu, a słowa wreszcie wypowiedzane są z powagą. Ba, nawet z trwogą. A kilka minut wcześniej Michael Grunert, aktor Theaterlabor Bielefeld, który odtwarza dla nas, widzów, jedyną rozpoznawalną historycznie postać – Karla Krausa – powie coś, co powtórzy później inny pisarz, eseista i dramaturg, Imre Kertész. Że zapomniemy, kto toczył tę wojnę, kiedy, po co, i dlatego; a że zapomnimy, wydarzy się ona ponownie. Na spełnienie się proroctwa Karla Krausa Europa czekała zaledwie dwie dekady. Tyle dzieliło jedną wielką wojnę od drugiej. Ale oczywiście groźba pozostaje nadal w mocy, bo nie pracowaliśmy ani lekcji Wielkiej Wojny ani Auschwitz (Kertész). Jeśli dzisiaj w Europie można wracać do idei, które prowadziły w prostej drodze do apokalipsy, to znaczy że nic się nie zmieniło. I dlatego, być może, artyści z tej Europy (niemiecki Theaterlabor Bielefeld, serbski Plavo Pozoriste, szkocki Leith Theatre, ukraińska Kultura Medialna, francuska Association Arsène, i polski Teatr A Part) sięgają po antyjenny arsenał, po ośmiusetstronicowy dramaturgiczny zapis wojennego horroru, jakim są „Ostatnie dni ludzkości” Karla Krausa. Warto zaznaczyć, że to druga próba inscenizacji w kraju od momentu przekładu dzieła Krausa na język polski (Jacek Buras). Przedstawienie Piotra Cieślaka zostało wyreżyserowane w Teatrze Powszechnym w 1997 roku. Mówi się, że gdyby przestawić na scenie całe osiemset

stron, inscenizacja musiałaby trwać nieprzerwanie dobę, matematem mógłby się więc zainteresować specjalista od teatralnych maratonów, Krystian Lupa, ale się nie zainteresował. Mówi się również, że oczywistą trudnością tego dramaturgicznego materiału nie jest ilość, ale jakość. Wszystko, niemal każdy obraz, każda wypowiedziana kwestia, mają w sobie moc i wydają się jednakowo ważne. Ciężko, mimo to, nie sposób uniknąć. Reżyserzy teatralnej kooperacji skompresowali sztukę do niespełna dwóch godzin i stworzyli w pełni audiowizualny spektakl, który ma swoje oczywiste zalety. Wady, niestety, też. Z pewnością bombardowanie wizualnie – ekran w głębi sceny, tekst tłumaczenia wyświetlany pod samym sufitem, kąt widzenia rozciągnięty do 180, a nawet powyżej 200 stopni (akcja sztuki zbyt często zmuszała mnie do patrzenia w bok, a nawet za własne plecy) – nie służy ogniskowaniu uwagi. W zasadzie jest to prosty przepis na klęskę. Jeśli w zamyśle twórców chodziło o to, żeby stworzyć wrażenie chaosu, znieść sceniczną granicę (temat forsowany przez festiwal od lat), wtargnąć na siłę, gwałtem (jakiego dokonuje wojna i media ją relacjonujące) w intymną przestrzeń obserwatora i jej zagrozić, to częściowo zabieg się udał (zaleta). Ale nie jestem w stanie ocenić skali strat w odniesieniu do scen, działań, wypowiedzianych kwestii w tym samym momencie w innej części teatralnej przestrzeni.

„Ostatnie dni ludzkości” opowiedziane są jednak z pasją – czego nie można powiedzieć o tradycyjnej i niemrawej inscenizacji Cieślaka. Nie mamy tu gadających głów, tylko nieustanną aktywność w obrębie słowa i scenicznego ruchu, w zasadzie uczestniczymy w jakiejś apokaliptycznej, werbalnej i cielesnej konwulsji, jaką generuje doświadczenie wojenne (i świadomość końca dziejów). Temu prawu konwulsji, galopującej entropii podlegają wszystkie portretowane grupy społeczne i aktorzy je przedstawiający. Nawet sam Karl Kraus, który w archiwalnym materiale wyświetlanym na ekranie recytuje tekst „The Last Days of Mankind”. Ten język (przede wszystkim język ciała) skądś znamy, do złudzenia przypomina on inny spektakl, toczący się na większości nazistowskich trybun. Nie wiem czy to efekt zamierzony. Czy może samą postać Krausa pochłonął chaos (i metoda, którą zastosowali twórcy przedstawienia). Wielu komentatorów dzieła austriackiego dramaturga powtarzało, że tym, co ratuje ośmiusetstronicowy zapis okropności wojennych, do których, nawiasem mówiąc, nie zaliczają się wyłącznie rela-

cje z okopów, ale przede wszystkim odbiór wojny przez społeczeństwo, jest ironią. Całkiem na poważnie nie dałoby się tego po prostu znieść. I tutaj docieramy do istoty przedstawienia. „Ostatnie dni ludzkości” są dziełem międzynarodowej kooperacji teatrów, ale chyba najsilniej zaznacza się w nich estetyka Teatru A Part. Jeśli przypomnimy sobie „Cyrk Bellmera” i „Künstlerspiele. Sceny z Wielkiej Wojny” (ten drugi, również zrealizowany we współpracy z Theaterlabor Bielefeld, jak widać, był przygotowaniem do inscenizacji sztuki Krausa), od razu rozpoznamy stylistyczne i genologiczne kody. Oniryczno-alegoryczną opowieść jakby wyjętą z kliniki dra Gotarda – jeszcze jednego Schulzowskiego demiurga, który próbuje wskrzesić czas „ze wszystkimi jego możliwościami”, przesyconą kabaretową, dekadentką tradycją (nad którą w „Ostatnich dniach ludzkości” czuwali fenomenalni muzycy z The Tiger Lillies). Rozpoznamy maski i ich imiona, tanie, jarmarczne rekwizyty, umiejętnie sterowaną granicę między powagą a kiczem, i wreszcie ludzkie słabości i perwersje – nasze prawdziwe oblicze, do którego (kultura jako źródło cierpienia) nieustannie wzdychamy, i za którym potajemnie tęsknimy.

Kaszubska Kalewala

Pierwszy występ plenerowy tego festiwalu ujawnił kolejną okrągłą rocznicę. Na swoje 30-lecie Teatr Snów przyjechał do Katowic z kaszubską „Kalewalą” – Remusem (który powstał na kanwie „Życia i przygód Remusa” Aleksandra Majkowskiego). Gdański teatr „Remusa” przedstawił niemal kameralnie (jak na plener). Cóż, kultura kaszubska ma to do siebie, że do świadomości „centralnych” Polaków i polszczyzny również przebija się dość wstydliwie i jakby bez mocy. Spektakl Teatru Snów cechował oszczędny minimalizm, tak w doborze rekwizytów, jak i choreografii. Jak to w klasycznym minimalizmie (zwłaszcza muzycznym) bywa, pewne frazy czy obrazy ulegają w nim repetycji. Niekoniecznie jednak pracują one na korzyść spektaklu teatralnego. Od inscenizacji opartej na dziele literackim, zwłaszcza endemicznym, oczekiwałem zwartej, wyrazistej, a przede wszystkim zrozumiałej (nawet translacyjnej) opowieści. Oczywiście na poziomie baśniowych i ludowych kodów, mogliśmy się w „Remusie” mniej więcej połapać. Mieliśmy tu i wiejskie jarmarki, historię miłosną, starca z kosturem i rozmowę ze śmiercią. „Remus” w wydaniu Teatru Snów to trochę Leśmianowski Bajdała, trochę kaszubski Don Kichot, tyle że pasywny. Oczywiście jest w ru-

chu, jest zacytany, jest światem zainteresowany, ale nie ma prawie żadnej mocy sprawczej. Wykonuje wiele niepotrzebnych ruchów (z perspektywy opowieści i perspektywy scenicznej). Jest też, jak bohater Cervantesa, kompletnie samotny i ponosi klęskę.

Abramović z Ukrainy

Anton Romanov – kolejny autor spektaklu solowego – to obywatel Ukrainy, (narodowości rosyjskiej), na dodatek gej. Brakuje mu tylko pochodzenia żydowskiego, żeby wpisać się w idiom zmultiplikowanego wykluczenia. W absolutną obcość. Z czym mógł więc Romanov przyjechać do katowickiego Rialta, jeśli nie z własnym ciałem, skoro to właśnie ciało jest przedmiotem kulturowej represji, to ciało jest wykluczane? Byłem sceptyczny, przyznam. Raz, bo nic nie zapowiadało z początku samego performance’u, przygotowania i przemowy trwały długo, problemy z komunikacją (nie tylko z tłumaczami, również z artykulacją – kolejny zestaw do wykluczenia) jeszcze dłużej. Dwa – bo wszystko wskazywało na to, że „Mapa tożsamości” będzie tylko powtórzeniem działań Mariny Abramović. Trzy – bo Anton Romanov zapowiadał, że widzowie nie będą musieli „uczestniczyć” w jego nagości, i słowa nie dotrzymał. A to już nosiło znamiona pewnej agresji – skoro ja jestem obcy, poczujcie się (nawet na siłę) też obco.

Niemniej muszę przyznać, że ta metoda miała sens. Zredukować wszystko, co przynależy do kultury, a więc do tego, co dzieli (nawet muzyka nie jest tak otwarta, za jaką się ją uważa), zmanifestować ciało w całej jego bezbronności i przedmiotowości. Pozwolić to ciało, jak u Abramović i Greenaway, zapisywać i ranić (słowo ranić). A jednocześnie ujawnić tę przestrzeń, która pozostaje niezmienna, tak biologicznie jak i egzystencjalnie. Z jednej strony owa niezmiennosc gwarantuje, że możemy się skontaktować ze sobą na każdym poziomie, zwłaszcza omijając tę socjo-kulturową nadbudowę, właśnie jako istoty cielesne i materialne. Z drugiej, skoro komórki oka nie przechodzą procesu wymiany, być może pamiętają więcej niż skóra i nerony. A zatem porozumienie być może dokonuje się nie obok, nie za pomocą jakichś tajnych bypassów, ale pomimo. Pomimo doświadczeń i różnic. Nie dysponujemy do końca wiedzą na temat zależności na poziomie molekularnym i ich wpływu na świadomość. Możemy tylko domniemywać i życzyć sobie, żeby taki wpływ w rzeczywistości miał miejsce. W innym razie jesteśmy straceni.

Dwa spektakle odbywające się dzień po dniu w Korezje potraktuję skrótowo.

Po pierwsze dlatego, że nie do końca wiem, jak się do nich ustosunkować, po drugie np. forma performance’u Grabowskiego nie do końca do mnie przemawia, czy może inaczej: męczy mnie temat polski. Przerabiamy siebie na okrągło, bez wytchnienia, na każdym kroku, tak się jednak składa, że większość tych prób – czy to publicystycznych czy literackich, w końcu teatralnych – ma miejsce we własnych bankach informacyjnych i strefach komfortu. Arti Grabowski jest zwierzęciem scenicznym – tego nie da się ukryć. Świetnie czuje się w tej surrealistycznej, „przegiętej” formule, uderza niemal zawsze precyzyjnie, czy to w stereotyp czy lansowaną gdzieś tam (z reguły dla politycznej korzyści) narrację, umiejętnie balansuje między gorzką ironią, komizmem, a powagą. Niemal zawsze zdobywa widownię, bo jego widowni nie trzeba przekonywać. Poruszamy się tym samym torem i na tym samym wózku. No i gatunkowo jest atrakcyjny. „Raport Panika” to kolejny kolaż – mieliśmy tu i skecz, i kabaret, performance i klasyczny teatralny monodram. Ale jak mówię: to nie do końca była moja bajka. Nie do końca w takiej formule się odnalazłem.

Z kolei Anita Wach, którą mogliśmy zobaczyć w ubiegłych latach roku na tej scenie (TUKAWACH: 1923. WEBCAM, Jak umierają zające/Prywatna inwentaryzacja) wystąpiła ze słowniskim duetem i kolejną odsłoną projektu teatralnego „Parasite Now” poświęconego tematowi pasożytnictwa. Projekt został zainicjowany w 2017 roku pracą duetu TUKAWACH: „Biedny Pokoik Polskiej Wyobraźni”. „Sorry”, niemal dwugodzinny performance, przetestował zarówno siły fizyczne performerów jak i naszą, widzów, cierpliwość. Skupiał się wyłącznie na generowaniu scen/sytuacji ujawniających stan wzajemnego uzależnienia, fizycznego i mentalnego. Relacja pasożytnicza według Michaela Serresa (którego trio wzięło na warsztat) jest jedyną i podstawową relacją międzyludzką, a każda komunikacja jest zbudowana z zakłóceń i zaburzeń. Symbioza przynosi korzyści obu stronom, natomiast relacja pasożytnicza trwa aż do momentu wyczerpania sił żywiciela. W rzeczywistości oba te zjawiska dzieli bardzo cienka granica. To znaczy jesteśmy sobie w stanie wyobrazić sytuacje pasożytnicze, które po prostu przynoszą korzyść. A nawet pewien rodzaj przyjemności. Zgoda, w sensie biologicznym dzieje się to rzadko. W psychologii relacji obserwujemy je znacznie częściej. ■

Dalsza część relacji w numerze wrześniowym „Śląska”.



